

Laurie Paige
Magiczna plantacja

scandalous

Laurie Paige
Magiczna plantacja

scandalous

Mój najdroższy Remy!

Cóż to był za wieczór!

Nie powinnam była kusić losu, pytając, co jeszcze może się wydarzyć złego podczas tej nocy, kiedy zgasły światła. Zaczynam wierzyć, że kłopoty chodzą trójkami. Najpierw przerwa w dostawie prądu, potem awaria generatora, a teraz martwa kobieta w jednym z pokoi, do których wchodzi się od strony dziedzińca.

Wygląda na to, że nikt nie zna tożsamości tej biedaczki, a policja prowadzi śledztwo, więc możesz sobie wyobrazić, na jakie kłopoty naraża to gości i personel. Ale jak zawsze mówiliśmy, mon cher, mamy wspaniałe córki i wspaniałych pracowników. Zachwyciłbyś się szczególnie naszym nowym animatorem wolnego czasu, który ma na imię Luc. Od swego przybycia zrobił dla hotelu bardzo wiele i pomógł nam przetrwać wszystkie trudności, które nas ostatnio nękały. Goście przepadają za nim, a on zawsze i wszędzie gotów jest spieszyć nam z pomocą.

Mając tak wspaniałą rodzinę i lojalny personel, nie powinnam się niczym niepokoić. Muszę wierzyć, że sytuacja ułoży się pomyślniej dla naszego hotelu. Zbudowaliśmy go z miłością - coś może być od niej silniejsze?

*Tęsknię za tobą jak zawsze
Annę*

Droga Czytelniczko!

Odwiedziwszy Nowy Orlean przy okazji pewnej konferencji poświęconej literaturze, spędzałam każdą wolną minutę na oglądaniu miasta. Z radością chodziłam po muzeach, zwiedziłam słynną Dzielnicę Francuską i - nie mogłam uwierzyć we własne szczęście! - poznałam emerytowanego kapitana parowców. To było magiczne zrządzenie losu! Występował trzy razy w tygodniu jako muzyk na jednym z pływających po rzece statków i zaprosił mnie na przejażdżkę. Stałam na dachu sterówki obok tego kapitana, który grał na elektronicznej klawiaturze podłączonej do organów parowych. Czułam się jak wracająca do kraju królowa. Wielkie koło łopatkowe wzbijało fontanny piany, a my płynęliśmy w górę rzeki, zostawiając za sobą biały kilwater i dźwięki muzyki.

Ile kosztuje bilet lotniczy do Nowego Orleanu? Nie pamiętam. Wyżywienie i zakwaterowanie? Nie mogę sobie przypomnieć. Pamiętam za to, że stałam na daszku sterówki parowca obok przystojnego starszego pana i pozdrowiałam zebrane na brzegu tłumy. To jest nie do zapomnienia!

Laurie Paige

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kerry Johnston przeglądała otrzymane tego rana broszury reklamowe dotyczące Nowego Orleanu. Jadła lunch w słynnej Dzielnicy Francuskiej i była wyraźnie przygnębiona. Ta podróż miała poprawić jej humor po trudnym roku, jaki właśnie przeżyła, a tymczasem ona czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek.

Wybrana przez nią restauracja, położona w pobliżu Hotelu Marchand, w którym zamieszkała, odznaczała się miłą atmosferą, jakby przeniesioną ze Starego Świata. Teraz, kiedy minął okres zastoju wywołany przez niszczycielski huragan Katrina, była pełna klientów i zdawała się znakomicie prosperować.

Ten rejon miasta leżał na szczęście wyżej niż obszary położone na zachód od rzeki, więc na skutek powodzi tak bardzo nie ucierpiał. Kerry patrzyła z zachwytem na stare budynki ozdobione koronkowymi metalowymi okuciami. Przypominały jej one wystrojone stare damy, oczekujące na odwiedzinę wytwornych dżentelmenów.

Skrzywiła się na myśl o tym, że być może pewnego dnia ten opis może pasować do niej.

Nie czuła się stara i na nikogo nie czekała, ale z pewnością wolałaby być w trochę lepszym nastroju.

- Proszę bardzo.

Opalona kelnerka, ubrana w czarne spodnie i starannie wyprasowaną białą koszulę, postawiła przed nią dużą porcję sałatki z rakami i specjalnym sosem, będącym tajemnicą firmy.

Jak wynikało z identyfikatora, miała na imię Patti i była naprawdę piękna. Miała niebieskie oczy i najbardziej czarne rzęsy, jakie Kerry kiedykolwiek widziała. Jej uśmiech był zaraźliwy, a cera - nieskazitelna.

Kerry, która miała krótkie kasztanowe włosy, migdałowe oczy i bladą twarz po przeżytej na środkowym zachodzie zimie, odniosła wrażenie, że w porównaniu z tą dziewczyną wygląda popolicie i nieefektownie.

Patti wyglądała na jakieś dwadzieścia pięć lat, była więc od niej co najmniej o dziesięć lat młodszą. Wydawała się pogodna i zadowolona z życia, a na jej palcu lśnił kunsztownie wykonany złoty pierścionek. Czyżby od kochanka? - pomyślała Kerry, a potem spojrzała z westchnieniem na swój pozbawiony jakichkolwiek ozdób serdeczny palec. Ubiegłego lata ozdobił go zaręczynowy brylant.

- Czy przyjechała pani na karnawał? - spytała przyjaznym tonem kelnerka, stawiając na stole szklanekę mrożonej herbaty i koszyk z ciepłymi bułeczkami.

- Nie na cały okres - odparła Kerry, odwzajemniając jej uśmiech. - Spędzę tu tylko tydzień. Ta podróż to prezent urodzinowy od moich przyjaciół z sąsiedztwa.

- To muszą być dobrzy przyjaciele. Może zechciałyby pani ich tu przyprowadzić? Gdzie oni mieszkają?

Jej śmiech brzmiał dźwięcznie i czarująco. Ta dziewczyna była na tyle piękna i egzotyczna, że mogłaby zostać gwiazdą filmową. Kerry poczuła się nagle bardzo stara.

- W małym miasteczku, o którym nikt nigdy nie słyszał. Nazywa się White Bear Lake i leży w stanie Minnesota, niedaleko St. Paul-Minneapolis.

- To brzmi bardzo intrygująco.

- Czy pani pochodzi z Nowego Orleanu? - spytała Kerry.

- *Mais oui.*

- Jest pani Kreolką? - Kerry widziała kiedyś pewien film dokumentalny i wiedziała, że potomkowie Kreolów często są dumni ze swej biegłej znajomości francuskiego.

- Tak. Moja rodzina mieszka tu już od dawna. Pochodzimy z tej samej linii, która wydała cesarżową Józefinę. Ona, tak jak moi przodkowie, urodziła się na Martynice. Moja rodzina przeniosła się do Luizjany, a ona wyszła za wicehrabiego Alexandre'a de Beauharnais, syna francuskiego gubernatora wyspy, i mieszkała w Paryżu.

- Gdzie później, po egzekucji męża, z którym żyła w separacji, poznała i poślubiła Napoleona Bonaparte - dokończyła Kerry, przypomniawszy sobie lekcję historii.

W oczach Patti zalśnił zachwyty.

- Ta romantyczna opowieść jest zachwycająca, prawda?

- Chyba że oceniamy ją z punktu widzenia wiehrabiego - stwierdziła rzeczowym tonem Kerry, wywołując w dziewczynie wybuch śmiechu.

W tym momencie przy sąsiednim stoliku usiadła jakaś para, więc Patti życzyła jej smacznego i odwróciła się, by podejść do nowych gości.

Kerry nie była pewna, czy historia dziewczyny dotycząca jej przodków jest prawdziwa, czy też została zmyślona na użytek turystów, ale tak czy owak wydała jej się ona interesująca. Józefina Bonaparte, podobnie jak ona, została z czasem porzucona, a cesarz poślubił młodszą kobietę, która mogła dać mu potomka i następcę.

Tyle że Ben, narzeczony Kerry, ożenił się z kobietą w jej wieku, rozwiedzioną koleżanką z klasy, która przyjechała do miasteczka na spotkanie absolwentów szkoły. Choć był z nią zaręczony od czterech lat, zakochał się w Marli od pierwszego wejrzenia. Jak sam wyznał, zachwycił się nią już podczas ostatniego roku nauki, a gdy tylko ujrzął ją ponownie, jego uczucie wybuchło ze zdwojoną siłą. Kerry oznajmiła, że to rozumie i zwróciła mu pierścienek, by mógł znaleźć szczęście z nową kobietą.

Zastanawiała się później wielokrotnie, czy czteroletni okres narzeczeństwa nie powinien wzbudzić w niej podejrzeń, że coś jest nie w porządku. Najwyraźniej ani jej, ani jemu nie spieszyło się do zrobienia ostatecznego kroku, mającego zalegalizować ich związek.

Postanowiła zapomnieć o przeszłości i wzruszyła ramionami. To się stało w lipcu. Teraz był już styczeń.

W istocie był to wieczór Trzech Króli, początek karnawału. Jej przyjaciele próbowali zorganizować tę wyprawę w taki sposób, by mogła spędzić w Nowym Orleanie swoje urodziny przypadające w walentynki, ale wszystkie hotele były w tym terminie przepełnione.

Spojrzała w niebo, jakby chcąc podziękować za ten szczęśliwy zbieg okoliczności. Nie była pewna, czy chciałaby samotnie obchodzić swe urodziny w tym starym, romantycznym mieście. Powstrzymała napływające do oczu łzy i wypła łyk mrożonej herbaty, postanawiając przeczekać atak żalu. Gdy skończyła posiłek, który okazał się doskonały, raz jeszcze przejrzała broszury informacyjne, ale nie była w stanie podjąć decyzji w sprawie planów na oczekujący ją dzień.

- Czy była już pani w muzeum wudu? - zapytała Patti, zatrzymując się przy jej stoliku. - Większość turystów uważaj e za bardzo interesujące. - Zerknęła na zegarek. - Radzę wybrać się tam dziś po południu. Między drugą a trzecią nie ma zwykle tłoku.

- Dzięki. Chyba tak właśnie powinnam zacząć mój pierwszy dzień zwiedzania Nowego Orleanu.

- Życzę dobrej zabawy - powiedziała Patti i odeszła w kierunku nowych klientów.

Kerry zostawiła hojny napiwek, opuściła restaurację i pospacerowała po Jackson Square oraz uliczkach Dzielnicy Francuskiej. Z myślą o dzieciach swojej siostry weszła do sklepu przeznaczanego dla turystów, by obejrzeć kilka pamiątek związanych z kultem wudu.

Niestety cała trójka miała wietrzną ospę. Sharon zamierzała towarzyszyć jej w tej podróży, ale musiała zostać w domu ze względu na chorobę dzieci. Shane, jedenastoletni siostrzeniec Kerry, przeżywał właśnie okres zainteresowania magią i poprosił o zasuszoną ludzką głowę, ale jego rodzice zgłosili weto.

Postanowiła kupić mu zamiast tego figurkę przedstawiającą jedną z postaci wudu, ale zerknąwszy na metkę, stwierdziła z niesmakiem, że została ona wyprodukowana za granicą. Odstawiła ją więc na miejsce.

W jednej z broszur znalazła wzmiankę o sklepie, w którym sprzedawano „autentyczne” relikty wudu, wykonywane przez miejscowych producentów. Przystudiowała mapę otrzymaną tego ranka w recepcji hotelu i stwierdziła, że znajduje się on w pobliżu muzeum, na jednej z niezbyt oddalonych uliczek Dzielnicy Francuskiej.

Nie było jeszcze drugiej, więc postanowiła

dojść tam piechotą. Przed obejrzeniem ciemnej strony najbardziej tajemniczego miasta Ameryki chciała nacieszyć się ciepłymi promieniami słońca.

Parę minut po drugiej dotarła do muzeum. Nad frontowym wejściem umieszczona była szczeka aligatora. Kerry wiedziała z lektury, że jest to dobre Ju-Ju, mające odpędzać złe duchy. Gdy wchodziła do budynku, ów talizman nie spadł jej na głowę, co uznała za dobry znak.

Natychmiast zrozumiała, dlaczego kelnerka radziła jej odwiedziny w porze niewielkiego ruchu. Małe muzeum zajmowało tylko parter starego szeregowego domku. Gdyby spotkała w przedpokoju kogoś, kto chciałby wyjść, trudno byłoby im się wyminąć.

Poczuła ostry zapach kadzidła. W budynku panowała taka cisza, że Kerry włosy lekko się zjeżyły. Przeczytała na tablicy, ile kosztuje wstęp, i wyciągnęła portmonetkę, by odliczyć tę niewielką sumę. W tym momencie usłyszała niski kobiecy głos:

- Witam cię serdecznie. Jestem Królową Patrycją i będę twoją przewodniczką po innym świecie.

Kerry wzdrygnęła się nerwowo i omal nie upuściła pieniędzy. W drzwiach wiodących do wnętrza budynku stała jakaś kobieta w stroju, który upodabniał ją do Cyganki. Jej głowa owinięta była purpurową chustą, spod której wymykały się kruczoczarne włosy, spływające aż do pasa.

Biegająca nad oczami długa czarna kreska do-

chodziła aż do jej skroni. Powieki pomalowane były w purpurowe i złote pasy, a pełne usta błyszczały karminową kredką.

Jej bluzka pasowała do chusty i do szerokiej spódnicy mieniającej się czerwienią, zielenią i złotem, czyli tradycyjnymi kolorami nowoorleańskiego karnawału. Całości dopełniały długie kolczyki, lśniące naramienniki i liczne naszyjniki ze złotych monet. Kobieta bynajmniej nie wyglądała groźnie, ale Kerry poczuła się nieswojo.

- Przybyłaś w odpowiednim momencie - dodała kobieta. - Chodź za mną, to pokażę ci inne pomieszczenia.

- Komu mam zapłacić? - spytała Kerry, pokazując trzymane w rękę pieniądze i starając się opanować onieśmienie.

- Mnie.

Pieniądze w mgnieniu oka zniknęły w niewidocznej kieszeni przewodniczki, która z szelestem kolorowej spódnicy wkroczyła do następnej sali.

- Ach, Jolie już nie śpi. Czy chcesz zrobić sobie z nią zdjęcie?

Serce Kerry zaczęło bić bardzo szybko, bo dostrzegła wielkiego pytona. Nie, dwa pytony.

- Zdjęcie?

- To wielki zaszczyt - oznajmiła kobieta, mrużąc oczy.

Kerry wiedziała, że jej siostrzeniec będzie pokazywał tę fotografię swoim kolegom z dumą i radością, więc postanowiła przemoc lęk.

- Oczywiście. Ile to będzie kosztować?
- Nic. Zrobię je twoim aparatem.

Kerry wręczyła jej cyfrowy aparat, który dostała od Bena z okazji poprzedniego Bożego Narodzenia. Na wspomnienie o tym poczuła lekkie ukłucie bólu, ale postanowiła je zignorować.

- Zobaczymy, czy się zgodzi. - Kobieta otworzyła klatkę. - Madame Jolie? Masz gościa.

Kerry bała się przez chwilę, że zakończenie tego ostatniego zdania zabrzmii: „którego możesz pożreć”. Wąż wydawał się wystarczająco duży, by przełknąć szczupłą i niezbyt wysoką osóbkę.

- Ach, ona się zgadza!

Kerry starała się zachować nonszalancki wyraz twarzy, kiedy Królowa Patrycja kazała jej stanąć obok klatki i owinęła węża wokół jej ramion.

- Ona jest... bardzo ciężka - wykrztusiła.
- Oczywiście. Jest dorosłym okazem, po prostu królową.

- Rozumiem... - wymamrotała Kerry, nie będąc pewna, czy nie popełniła błędu, zgadzając się na sesję fotograficzną.

Kiedy Królowa Patrycja zaczęła nastawiać ps-trość, zmusiła się do uśmiechu. Jej siostrzeniec nigdy by jej nie wybaczył, gdyby wyglądała jak wystraszona turystka.

Po zrobieniu kilku zdjęć przewodniczka oddała jej aparat i zamknęła Jolie w klatce. Potem odeszła, a Kerry zaczęła zwiedzać pozostałe pomieszczenia, czytając wszystkie wypisane na tabliczkach

informacje dotyczące istoty i dziejów wudu. Dowiedziała się z nich, że pierwszą królową była legendarna Marie Laveau, biegła adeptka sztuki wudu.

Kiedy dotarła do frontowej sali, ujrzała Królową Patrycję siedzącą za stołem. Patrycja zaprosiła ją na herbatę.

- Powrózę ci - oznajmiła. - A ty przed wyjazdem z Nowego Orleanu musisz kupić torby *gris-gris* dla siostrzeńca i obu jego siostrzyczek.

- Skąd pani o nich wie? - spytała zaskoczona Kerry.

- Powiedziały mi o tym duchy. Gdyby one zapomniały o swoich obowiązkach, zrobiłaby to Madame Jolie.

Kerry poczuła, że wszystkie włosy na jej ciele nagle się podnoszą. Zanim zdążyła zerwać się z krzesła, Królowa Patrycja położyła dłoń na jej ręce.

- Pokaż mi wnętrze dłoni - powiedziała cichym głosem, w którym pobrzmiwał jednak rozkazujący ton.

Kerry wyprostowała palce, a przewodniczka przez kilka minut wpatrywała się w jej rękę.

- Dochodzisz do siebie po okresie wielkiego smutku - stwierdziła w końcu. - Ale nie masz złamanego serca, choć może ci się tak wydawać.

Kerry skrzywiła się lekceważąco. Wróżbici zawsze opowiadają klientom jakieś mgliste historie o minionych troskach i obiecują im wielkie szczęście.

- Oczekuje cię przygoda. Przeżyj ją do końca. Teraz nastąpi zapowiedź ogromnego szczęścia, pomyślała Kerry.

- Być może ona również smutno się skończy - dodała kobieta tak cicho, że Kerry musiała się pochylić do przodu, by ją usłyszeć. - Widzę jakąś tragedię.

Znów poczuła, że włosy na jej karku zaczynają się podnosić. Doszła do wniosku, że musiała ulec magii tego miejsca, skoro zaczyna poważnie traktować elementy wudu.

- Ale musisz iść świetlistą drogą, na którą wkroczysz dzisiejszego wieczoru, aż do letniego przesilenia dnia z nocą, bo inaczej na zawsze zmienisz swój los i los tych, którzy tego dnia wkroczą w twoje życie.

Pod wpływem przenikliwego spojrzenia kobiety, której ciemne oczy osłonięte były długimi, sztucznymi rzęsami, Kerry kiwnęła głową w taki sposób, jakby obiecywała, że zastosuje się do tej rady.

Królowa Patrycja wypuściła jej dłoń i nalała im po filiżance herbaty.

- Pij. To przyniesie ci spokój ducha.

- Dziękuję. - Kerry zdobyła się na uśmiech i próbowała grać rolę rozbawionej turystki, która traktuje ten spektakl z dużą dozą sceptycyzmu.

- Myślę, że mój siostrzeniec chciałby dostać lalkę wudu. Czy może mi pani coś doradzić? Kupię też torby *gris-gris*. Och, i amulety dla siostrzenic. One je uwielbiają.

- Zaraz kilka ci pokażę.

Zanim Kerry wypija aromatyczną herbatę, Patrycja przyniosła stertę różnych pamiątek i położyła je na stole. Kerry dokonała wyboru i wręczyła jej swą kartę kredytową.

- To musisz kupić dla siebie - oznajmiła przewodniczka, zakładając na jej przegub bransoletkę.

- Jest wykonana z czystego srebra. Ten amulet ma kształt krzyża. Został pokropiony święconą wodą. Wkładaj ją, kiedy będziesz musiała spędzać wieczór poza domem.

- Żeby odstraszyć wampiry?

- I wilkołaki - odparła królowa ze śmiertelną powagą. - Istnieją też duchy, ale one są zwykle dobrotliwe. Bywają tylko smutne, gdyż zostały zdradzone przez ludzi, których kochały i obdarzały zaufaniem.

- Znam to uczucie - przyznała odruchowo Kerry.

Królowa delikatnie dotknęła jej ramienia, a potem wyszła z pokoju, by załatwić formalności związane z zapłatą za zakupione przedmioty.

Kerry zaczęła oglądać amulety przymocowane do bransoletki. Znalazła mały krzyżyk, o którym wspomniała Patrycja, trzy kości, jeden amulet w kształcie pióra i jeden w postaci torby. Domyśliła się, że jest to *gris-gris*. Miała nadzieję, że te amulety przyniosą jej szczęście podczas pobytu w Nowym Orleanie. Jak dotąd miała same problemy. Kiedy opuszczała Minnesotę, padał śnieg.

Jej samolot z powodu burzy wystartował później, więc przybyła do celu poprzedniego wieczoru dopiero po dziesiątej, zmęczona i zdenerwowana.

Musiała jednak przyznać, że obsługa hotelu powitała ją bardzo życzliwie.

- Proszę bardzo - rzekła Królowa Patrycja, kładąc na stole dużą torbę z zakupami i oddając Kerry kartę kredytową. - Zapakowałam wszystkie prezenty do ozdobnych pudełek i owinęłam je wstążeczkami.

- Dziękuję. Powinam też kupić coś dla mojej siostry. Może jedną z takich bransoletek? - spytała, wskazując przegub swej ręki. Ale jej rozmówczyni potrząsnęła głową.

- Powinnaś z tym poczekać. Może znajdziesz coś, co spodoba ci się jeszcze bardziej.

- To chyba dobry pomysł - przyznała Kerry. - No cóż, spędziłam tu bardzo... pouczające popołudnie. Muzeum było fascynujące, a ja jeszcze raz dziękuję za pomoc przy zakupie pamiątek.

- Nie ma za co. Poczekaj. Coś mi przyszło do głowy. - Wyjęła z kieszeni spódnicy czerwony bilet i wręczyła go Kerry. - Jutro wieczorem stara królowa będzie odprawiała obrzędy uzdrowicielskie. Może zechcesz je obejrzeć. To autentyczna ceremonia. Na odwrocie karty wstępu są wydrukowane informacje, mówiące, jak tam dotrzeć.

Kerry spojrzała na bilet. Nie była pewna, czy ma ochotę wziąć udział w nocnych obrzędach wudu, ale nie chciała urazić kobiety odmową. Schowała

go więc do torebki i wyszła na zalaną słońcem ulicę.

- Do widzenia - powiedziała, odwracając się w stronę drzwi muzeum, w których stała Królowa Patrycja. I nagle zdała sobie sprawę, że w jasnym świetle jej oczy wcale nie są czarne, lecz ciemnoniebieskie.

Królowa uśmiechnęła się przelotnie, a potem weszła do wnętrza i zamknęła za sobą drzwi. A Kerry była tak zdumiona, że stała przez chwilę bez ruchu.

- Na miłość boską - mruknęła do siebie. - Przecież to była Patti.

Wybuchnęła głośnym śmiechem. Przez kilka minut naprawdę wierzyła w te wszystkie rzekome czary.

Ach, Nowy Orlean! - pomyślała. Królowe wudu. Pytony. Wampiry. Wilkołaki. I duchy. Nie wolno zapominać o duchach.

Ponownie zaczęła się śmiać. Patti nabrała ją na ten numer z królową wudu, ale jej występ wywarł na nią magiczny wpływ. Czuła się teraz o wiele mniej samotna niż przed południem. Postanowiła wstąpić nazajutrz do tej restauracji i powiedzieć Patti, jak bardzo jest zadowolona z wizyty w muzeum...

- Czy mogę ci powrócić, kochana? - spytała jakaś stara, pomarszczona kobieta w czarnej sukni ozdobionej koronkową mantylą, usiłując chwycić ją za rękę.

- Nie, dziękuję - odparła, cofając dłoń. - Właśnie przed chwilą ktoś to zrobił.

Z uśmiechem poszła dalej. Było około dwudziestu stopni ciepła, więc w porównaniu z Minnesotą temperatura wydawała się bardzo łagodna. Zajrzała do kilku sklepów, szukając ładnego prezentu dla siostry. Miała nadzieję, że znajdzie jakiś specjalny napój dla Sharon i jej męża - może coś w rodzaju afrodyzjaka, który pewnie im się przyda po długim okresie opieki nad chorymi dziećmi.

Tuż przed zapadnięciem zmroku znalazła idealny podarunek: zestaw buteleczek z rumem i specjalnych puszek z kawą w rzeźbionej drewnianej skrzynce, która po opróżnieniu mogła służyć do przechowywania biżuterii. Obsługa sklepu obiecała nawet, że wyśle paczkę pod wskazany przez nią adres.

Wyciągnęła kartę kredytową i z trudem powstrzymała grymas, gdy ujrzała rachunek. Całe szczęście, że reszta wycieczki została już zapłaconą.

Spacerując po parku położonym nad brzegiem Missisipi, rozmyślała o Marku Twainie i jego życiu na tej rzece. O wystrojonych hazardzistach i jeszcze bardziej wystrojonych królowych nocy, o statkach, które puły wodę przy ogłuszających dźwiękach organów parowych...

Przyglądała się przez chwilę „Creole Queen”, która odcumowała od brzegu i ruszyła w górę rzeki. Gdy Kerry uniosła rękę, by osłonić oczy

przed blaskiem zachodzącego słońca, zwisające ze srebrnej bransoletki amulety zalśniły w jego promieniach. Poruszone przez wiejący od rzeki wiatr zadzwoniły tak cicho, jakby chciały jej opowiedzieć o wielkiej przygodzie, którą miała rzekomo przeżyć.

- Mam nadzieję, że ta wróżba się spełni - mruknęła do siebie z pełnym sceptycyzmu uśmiechem.

Do hotelu wróciła o zmroku. Ulice były jeszcze bardziej zatłoczone niż w południe. Ominęła jakiegoś młodego, dwudziestoletniego mężczyznę, który usiłował ją zaczepić, i doszła do wniosku, że rzeczywistość nie wygląda aż tak źle, jak jej się wydawało. Dotknąwszy bransoletki z amuletami, przypomniała sobie rady Królowej Patrycji. Nie przepadała za wilkołakami, ale nie miałyby nic przeciwko spotkaniu z jakimś przystojnym wampirem.

- Czy mogę pocałować cię w szyję? Czy mogę cię lekko ugryźć? - Roześmiała się w duchu, zdając sobie sprawę, że cytuje fragment niemądrej sztuczki, którą wystawiła wraz z kolegami w szkole średniej, by zdobyć fundusze na zakup komputerów. Rolę wampira grał najwyższy, najszcuplejszy chłopiec w klasie. Zupełnie nie w jej typie, ale...

- Panno Johnston! - zawołał do niej recepcjonista, gdy tylko weszła do Hotelu Marchand.

Kerry spojrzała w jego stronę i przypomniała

sobie, że to Luc Carter. To on witał ją serdecznie wczoraj wieczorem i zapewniał, że jej późne przybycie nie stwarza żadnego problemu. Podobnie jak Patti wyglądał na dwadzieścia kilka lat, ale ona doszła do wniosku, że musi dobiegać trzydziestki, bo nie zostałyby szefem recepcji luksusowego hotelu bez odpowiedniego doświadczenia.

Miał jasne włosy oraz niebieskie oczy i był tak przystojny, że mógłby pozować do któregoś z wydawanych z okazji karnawału plakatów ukazujących piękne młode pary, wesoło spędzające czas w Nowym Orleanie.

- Oto lista imprez muzycznych, o którą pani prosiła - powiedział, wręczając jej kartkę. - Mamy też dla pani jakąś przesyłkę. Dostarczono ją przed mniej więcej dziesięcioma minutami.

- Przesyłkę? - spytała ze zdziwieniem.

- Tak. Zaraz porozmawiam z głównym portierem.

Zaintrygowana Kerry podeszła w ślad za nim do recepcji. Urzędujący tam portier wyjął spod lady duży kosz. Były w nim kwiaty, świecidełka sprzedawane z okazji karnawału Mardi Gras, czekoladki, owoce i butelka szampana.

- Czy jest pan pewien, że chodzi o mnie? - spytała ze zdumieniem.

Portier podał jej dołączoną do kosza kopertę z napisem: „Dla panny Kerry Johnston”. Zawierała ona liścik od jej siostry i szwagra, którzy życzyli jej dobrej zabawy.

- Zaraz znajdę kogoś, kto pani pomoże - oznajmił Luc, po czym wezwał portiera i kazał mu zanieść kosz do apartamentu numer dwa.

Kerry podziękowała i wyszła w ślad za portierem przez oszklone drzwi prowadzące do ogrodu. Był on równie młody i przystojny jak Luc Carter, a jego skóra miała kolor kawy z mlekiem. Zaczęła się zastanawiać, czy hotel celowo zatrudnia młodych ludzi, których uroda może stanowić pokusę dla samotnych kobiet.

- Widzę, że ma pani wielbiciela - zauważył chłopak, kiedy weszli do drugiego budynku. Niósł kosz bardzo ostrożnie, by nie zawadzić nim o stojące na korytarzu zabytkowe stoły i lampy.

- Owszem, tajemniczego wielbiciela - mruknęła Kerry, sama nie wiedząc, dlaczego nie chce wyznać, że ten kosz przysłała jej rodzina.

- Tacy są najlepsi.

Gdy minęli basen, chłopak otworzył furtkę do prywatnego ogrodu przylegającego do jej apartamentu. Ubiegłego wieczoru odkryła ze zdumieniem, że została ulokowana w jednym z najbardziej luksusowych pomieszczeń hotelu.

- Czy postawić go na stole? - spytał portier.

- Tak, bardzo proszę - odparła, zastanawiając się nad wysokością napiwku. Po namyśle wręczyła mu pięć dolarów. Bądź co bądź zajmowała bardzo drogi apartament.

- Czy mam otworzyć szampana? Trzymaliśmy go w lodówce.

- Słucham? Nie... nie teraz. Może później.
- W takim razie proszę mnie wcześniej wezwać, żebyśmy zdążył go ochłodzić - powiedział młody człowiek i dziarskim krokiem wyszedł z jej pokoju.

Kerry rzuciła torebkę na stół, powąchała piękne lilie ustawione w wazonie obok kosza i zaczęła się zastanawiać, jak spędzić resztę wieczoru. Nagle poczuła głód i przypomniała sobie, że jeszcze nie jadła kolacji.

Zerknęła na ozdobny ścienny zegar i stwierdziła, że jest już niemal ósma. W White Bear Lake restauracje zamykano o dziesiątej w dni powszednie, a o północy podczas weekendów. Ale tu jest Nowy Orlean, więc zapewne są otwarte przez całą noc.

Była zbyt zmęczona, by wychodzić na miasto, a w dodatku nie miała ochoty robić tego samotnie. Przez cztery lata przyzwyczała się do towarzystwa narzeczonego. Może na tym polegała istota ich związku - łatwiej było trwać obok siebie, niż stać czoło samotności.

Nie była jeszcze w hotelowej restauracji - Chez Remy. Domyślała się jednak, że musi być ona dość elegancka. Rozebrała się więc i wzięła prysznic, a potem włożyła długą czarną spódnicę i pomarańczową bluzkę z dobraną do niej kamizelką. Potem wyszła na dziedziniec.

Niemal wszystkie ustawione na nim stoliki były zajęte. Z oświetlonej świecami sali jadalnej dobie-

gały dźwięki muzyki tanecznej granej przez kilkusobową orkiestrę. Co chwilę pojawiali się nowi goście, pragnący wziąć udział w przyjęciu z okazji święta Trzech Króli.

Orkiestra zaczęła grać szybki utwór. Jakiś dystygowany mężczyzna o siwiejących skroniach chwycił przechodzącą Kerry za rękę i wciągnął ją w tłum wirujących na dziedzińcu par. Nie chcąc zakłócać świątecznego nastroju, zatańczyła z nim kilka kroków, ale gdy wypuścił ją z objęć, by zakreślić wokół własnej osi, pomachała mu na pożegnanie i ruszyła w kierunku drzwi do restauracji.

Mężczyzna posłał jej z daleka pocałunek i znalazł następną partnerkę.

Posadzono ją przy stole, z którego widziała główny hol hotelu. Wiedziała, że uczestnictwo w obchodach święta Trzech Króli wymaga posiadania biletu wstępu, ale była przekonana, że pod koniec wieczoru w sali znajdzie się spora liczba gapowiczów.

Idąc za radą kelnera, zaczęła posiłek od koktajlu z krewetek, ozdobionego ostrym czerwonym sosem.

Na tylnej okładce karty dań wydrukowana była historia hotelu, który zajmował cały odcinek ulicy i obejmował galerię sztuki, restaurację, bar i pokoje gościnne. Jego właścicielem był do niedawna Remy Marchand. Prowadził go przy pomocy żony, Anne Marchand, aż do swej śmierci, która nastąpiła przed czterema laty.

Kerry wiedziała, że wszystkie córki Marchandów biorą udział w prowadzeniu rodzinnej firmy. Hotelem zarządzała Charlotte Marchand. Jej nazwisko widniało na potwierdzeniu rezerwacji, które Kerry otrzymała za pośrednictwem poczty. Melanie poszła najwyraźniej w ślady ojca i była szefem restauracji. Z leżącej w pokoju Kerry broszury informacyjnej wynikało, że Renee Marchand zajmuje się reklamą i marketingiem, a czwarta siostra prowadzi galerię sztuki. To był naprawdę rodzinny interes.

W tym momencie podszedł do niej kelner imieniem Henri, wysoki i szczupły mężczyzna, z którego emanowała królewska godność. Postawił przed nią kryształowy kieliszek musującego wina.

- Przysyła go pani Charlotte - oznajmił. - Ona zawsze dba o to, żeby goście, którzy po raz pierwszy zjawiają się w jadalni, byli powitani w szczególny sposób.

- Proszę jej ode mnie podziękować. Jeśli reszta mojego pobytu upłynie tak miło jak pierwszy dzień, to zabiorę ze sobą cudowne wspomnienia.

Kiedy została sama, wypijała łyk szampana i poczuła w nosie musujące bąbelki. Doszła do wniosku, że w ciągu tygodnia może się przyzwyczaić do życia w luksusie. Szampan, dwaj flirtujący z nią atrakcyjni mężczyźni... Sytuacja przedstawia się bardzo obiecująco.

Gdy jednak wstała od stołu i zaczęła się przedzierać przez tłum tańczących, rozmawiających

i roześmianych ludzi, znów poczuła smutny ciężar samotności.

Otworzyła drzwi i weszła do swego pokoju. Lampka nocna była zapalona, a kołdra odchylona jak do snu. Obok kosza z prezentami stał na śnieżnobiałej serwetce porcelanowy talerzyk z nożem i widelcem. Zgodnie z obietnicą portiera szampan był umieszczony w srebrnym wiaderku z lodem, obok którego postawiono dwa kryształowe kieliszki.

Pusty pokój przypomniawszy jej, że jest w tym romantycznym mieście zupełnie sama, a zamiast uroczej podróży poślubnej przeżywa coś w rodzaju wygnania.

Do jej oczu napłynęły piekące łzy. Usiadła na trzcinowym fotelu, pamiętając czasy plantacji i ogrodowych przyjęć, a potem zaczęła gorzko szlochać.

Po kilku minutach, zawstydzona własną słabością, rozebrała się, powiesiła rzeczy w starej pięknej szafie i włożyła piżamę. Potem usłyszała górujący nad dochodzącym z dziedzińca hałasem dźwięk dzwonu wybijającego jakąś godzinę, po czym światła nagle zgasły.

Stała przez dłuższą chwilę w ciemnościach, daremnie czekając na ich ponowne włączenie. Potem ciężko westchnęła. Coraz trudniej jej było przekonać samą siebie, że ta wycieczka będzie jednym pasmem przyjemności. Po ciemku odnalazła torebkę i wyjęła z niej ozdobne pudełko zapalek, które

kupiła w sklepie z pamiątkami. Potem zapaliła awaryjną lampę naftową. Na szczęście wiedziała dobrze, jak się to robi. W jej rodzinnym miasteczku często dochodziło do awarii prądu, wywołanych przez zimowe burze śnieżne.

Dostrzegła butelkę szampana i postanowiła zdobyć się na odwagę. Zrobić coś, czego nigdy dotąd nie próbowała. Poleżeć w wannie, mocząc się w pianie i popijając musujące wino. Pospiesznie weszła do łazienki i odkręciła kurki. Potem postawiła obok wanny butelkę i kieliszek i wróciła do pokoju po ozdobne świece. Otworzyła szampana i nalała go do kryształowego naczynia, a potem zapaliła świece i wlała do wody porcję paryskiego olejku kąpielowego. Wszystko układało się idealnie.

Zrzuciła piżamę i weszła do spienionej wody. To jest życie! Uniosła kieliszek do ust i wypić łyk szampana. Był wspaniały. Uniosła kieliszek jeszcze raz. I jeszcze raz.

Gdy usłyszała stukot dochodzący z sąsiedniego apartamentu, doszła do wniosku, że to sąsiad wrócił właśnie do siebie. Może jest przystojnym, inteligentnym, samotnym mężczyzną, pomyślała z uśmiechem. Może niebawem zacznie się moja wielka przygoda, wywróżona przez Królową Patrycję...

Napełniła kieliszek i dołała do wanny nieco gorącej wody. Podłożyła pod głowę ręcznik, a potem wyciągnęła się wygodnie.

Nagle rozległ się jakiś hałas, pod wpływem któ-

rego jej ręka gwałtownie drgnęła. Kilka kropli złocistego szampana wylało się do wody. Zdała sobie sprawę, że chyba zapadła w krótką drzemkę. Ale teraz była już całkowicie rozbudzona. Zaczęła nadłuchiwać. Hałas był teraz o wiele bardziej donośny.

Stuk. Stuk. Potem głośne przekleństwo.

Musiał to być poruszający się po omacku mieszkaniem sąsiedniego apartamentu. Słyszac jego niepewne kroki, domyśliła się, że awaria światła trwa.

Świece już dogasały, więc szybko je zdmuchnęła. Nie chciała ryzykować ponownej drzemki w wannie. Pospiesznie wyszła z wody i wytarła się, a potem włożyła piżamę i usiadła na łóżku. Położyła zapałki na nocnym stoliku, zgasiła lampę i natychmiast zasnęła.

ROZDZIAŁ DRUGI

John Mathias Anderson III, zwany Mattem przez krewnych, którzy chcieli go odróżnić od jego dziadka i stryja, wkroczył do holu eleganckiego Hotelu Marchand i pozdrowił kiwnięciem głowy nocnego recepcjonistę. Świece i lampy rzucały miękkie światło na wytworne wnętrze, ale panujący w nim nastrój wcale nie był romantyczny.

Nowy Orlean, a przynajmniej ten jego rejon, został sparaliżowany przez poważną awarię prądu. Kierowca taksówki, z której przed chwilą wysiadł przed budynkiem, zapewniał go, że ma ona charakter przejściowy, a wszystkie hotele dysponują prądotwórczymi generatorami, ale widocznie nie dotyczyło to Hotelu Marchand.

Brak prądu najwyraźniej nie przerwał uroczystości z okazji Trzech Króli, która z hotelowej restauracji przeniosła się na dziedziniec. Zmierzając w kierunku swego apartamentu, musiał omijać liczne tańczące pary.

Gdy dotarł do ogrodu, w którym panowały przeżające ciemności, potknął się o donicę z kwiatami, zaklął głośno i upadł w kępę lilii. Ale nawet ten incydent nie zakłócił jego dobrego nastroju.

Spędził miły wieczór w prywatnym klubie zrzeszającym koneserów wina, a potem zjadł wyborną kolację, więc był w doskonałym humorze. Zamknął za sobą furtkę oddzielającą ogród od dziedzińca i podszedł do drzwi swego apartamentu.

Wkładając klucz do zamka, zauważył, że drzwi są uchylone. Zaklął cicho, oburzony własnym roz-targnieniem, i postanowił zachować w przyszłości większą ostrożność. W Nowym Orleanie, podobnie jak w każdym dużym mieście kraju, roi się od złodziei.

Odruchowo przekreślił kontakt, ale nie przyniosło to żadnego skutku. Popchnął drzwi, by je za sobą zatrzasać, i stwierdził, że coś je blokuje. Poruszając się po omacku, stwierdził, że jest to ciężka, brokato-wa zasłona. Odsunął ją, a potem ponownie pchnął drzwi i tym razem usłyszał trzask zamka.

Ziewnął głośno, rozebrał się, dobrnął do łazienki i umył zęby, a potem ruszył w kierunku łóżka.

Zgodnie z jego oczekiwaniami kołdra była od-chylona. Znalazł na poduszce czekoladkę i rzucił ją w kierunku nocnego stolika, a potem opadł na pościel.

- Co tu się do diabła dzieje? - spytał podniesio-nym głosem.

W jego łóżku ktoś leży!

Zerwał się błyskawicznie, odruchowo wyciąga-jąc przed siebie ręce w geście samoobrony, a po-tem wpadł na stół, stracił równowagę i runął na dywan. Do jego świadomości dotarł brzęk rozbija-

nego wazonu. Zerwał się na nogi i spojrzął w kierunku łóżka, które w ciemności było zupełnie niewidoczne.

- Hej, ty! - zawołał głośno, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Zaklął ponownie i zaczął po omacku szukać zapałek, które widział wcześniej w kryształowej misce, obok szklanego świecznika. Kiedy je znalazł, zapalił jedną z nich i pochylił się nad łóżkiem.

Spała na nim spokojnie jakaś blada, jasnowłosa dziewczyna. Miała szeroko rozłożone ręce, a jej rozpuszczone włosy spływały na poduszkę, tworząc coś w rodzaju aureoli. W ciągu trzydziestu siedmiu lat swego życia nie przeżył równie zadziwiającej przygody.

- No, proszę się obudzić! - zawołał jeszcze głośniej. W tym momencie usłyszał pukanie do drzwi łączących jego pokój z sąsiednim apartamentem.

- Czy coś się stało? - spytał kobiecy głos.

- Owszem, stało - odparł z irytacją. - W moim łóżku leży jakaś dziewczyna. Jest nieprzytomna.

- Więc pan jej nie zna?

- Bynajmniej. Przyjechałem do miasta dopiero dziś rano. Och, do diabła!

Rzucił zapałkę, która zaczęła parzyć go w palce. Zgasła, zanim upadła na dywan. W pokoju znów zapanowały egipskie ciemności. W drzwiach prowadzących na patio pojawił się blady błysk światła. Potem usłyszał pukanie.

Obszedł łóżko i podszedł bliżej. Stała tam jakaś nieznana mu kobieta. Miała na sobie czerwony chiński szlafrok, spod którego wystawały nogawki piżamy.

Miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, gęste włosy, duże oczy i szczupłą twarz. Trzymała w ręku staromodną lampę naftową, która wydzielała zapach jaśminu.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytała.

- Mam nadzieję, że tak. - Przesunął dłonią po włosach. - Kiedy wychodziłem poprzednio do miasta, chyba nie zamknąłem dokładnie drzwi. Ta zasłona czasem je blokuje, więc zamek nie zaskakuje. Ta pani musiała nieźle zabalować na dziedzińcu, więc przyszła tu się przespać. - Wskazał ruchem, ręki swoje łóżko.

- Rozumiem - mruknęła kobieta, obrzucając badawczym spojrzeniem cały pokój.

Cofnął się od drzwi, by ją wpuścić, i w tym momencie zdał sobie sprawę, że ma na sobie tylko krótkie czarne spodnie, których nie zdążył jeszcze zdjąć. Znalazł na podłodze swoje spodnie i pośpiesznie je włożył, a potem stanął przy łóżku obok nieoczekiwanego gościa.

Oboje patrzyli na leżącą w nim dziewczynę. Miała bardzo jasny, niemal biały makijaż i czarne obwódki wokół oczu. Wyglądała upiornie. Usminkowane ciemną kredką usta wyglądały tak, jakby były pokryte zaschniętą krwią.

Nieznajoma kobieta uniosła bezwładną, spoczy-

wajęca na kołdrze rękę dziewczyny i dotknęła palcami przegubu, by odszukać tętno. Po chwili postawiła lampę na stoliku i pochyliła się, by dotknąć jej szyi.

Matt dostrzegł na jej twarzy wyraz lęku i również poczuł niepokój. Instynkt podpowiadał mu, że sytuacja wygląda o wiele poważniej, niż przypuszczał.

- Myślę, że ona... - wykrztusiła kobieta - że ona... Chyba nie oddycha.

- Niech to szlag! - mruknął Matt, nie wiedząc, dlaczego sięga po wyrażenie, którego nie używał od czasów college'u, czyli od dobrych piętnastu lat.

- Niech pan spróbuje wyczuć jej tętno - zaproponowała, marszcząc brwi w taki sposób, jakby podejrzewała, że mężczyzna kwestionuje jej diagnozę.

Matt dotknął przegubu ręki dziewczyny, a potem jej szyi.

- Mój Boże! - jęknął, zdając sobie sprawę, że jego sąsiadka ma rację.

- Niech pan wezwie policję - poleciła energicznym tonem. - Zostałam przeszkolona w dziedzinie ratownictwa medycznego. Nie wiem, czy to coś pomoże, ale...

Pochyliła się nad łóżkiem i rozpoczęła zabieg reanimacji. Matt znalazł tymczasem telefon i wybrał numer. Potem wytłumaczył recepcjoniście, jak wygląda sytuacja.

- Proszę poczekać - powiedział jego rozmówca. - Poproszę moją szefową.

Po dwóch minutach w słuchawce rozległ się głos kobiety, która poprosiła go o podanie szczegółów. Matt zażądał od niej, by się przedstawiła.

- Nazywam się Charlotte Marchand i jestem dyrektorem hotelu - odparła. - Recepcjonista mówi, że zastał pan w swoim pokoju jakąś nieznaną kobietę. Czy to prawda?

- Owszem.

- Zawiadomię policję i zjawię się tam za minutę. Proszę niczego nie dotykać.

- Dyrektorka jest już w drodze - oznajmił, odkładając słuchawkę.

Kobieta kiwnęła głową, nie przestając masować serca dziewczyny. Potem ponownie przyłożyła wargi do jej ust i zaczęła stosować sztuczne oddychanie. Ale choć wtłaczała powietrze do płuc nieznanemu, jej klatka piersiowa wcale się nie unosiła.

- To nic nie pomaga - oznajmiła, potrząsając głową. Potem stanęła obok łóżka i spojrzała na niego z rozpaczą. - Potrzebujemy fachowej pomocy. - Milczała przez dłuższą chwilę, a potem dodała: - Nazywam się Kerry Johnston. Przyjechałam z Minnesoty.

- A ja jestem Matt Anderson. Miło mi panią poznać. - Zdał sobie sprawę, że w tych okolicznościach jego słowa muszą brzmieć bezsensownie. - Mieszkam w Nowym Jorku, ale spędzam wiele czasu w podróży - dodał, by ukryć zażenowanie.

Wyjął z szuflady sportową koszulkę i wciągnął ją przez głowę, a potem włożył skarpetki i buty. Teraz, kiedy był ubrany, poczuł się trochę pewniej.

- Proszę usiąść - powiedział do Kerry. - Myślę, że czeka nas długa noc.

Podsunał jej krzesło, a ona z wdzięcznością kiwnęła głową. Potem oboje usiedli i czekali na przyjazd policji.

- Och, mój Boże! - zawołała nagle Kerry, zrywając się na nogi i podchodząc do łóżka. - Wiem, kim ona jest. Dzisiaj ją poznałam.

Miała tak wystraszony głos, że Matt również się podniósł i instynktownie otoczył ręką jej szczupłe ramiona.

- Jak ona się nazywa? - spytał.

- Patti. Tak, to jest Patti. Podawała mi dzisiaj lunch, była kelnerką. I przewodniczką po muzeum wudu.

Matt poczuł, że włosy stają mu dęba.

- Ja też zwiedzałem dziś po południu takie muzeum. - Przyjrzał się uważnie twarzy dziewczyny. - Być może to ona sprzedała mi książkę poświęconą dziejom Nowego Orleanu. Kupiłem ją dla mojej matki...

Przerwało mu pukanie do drzwi. Podniósł się, by je otworzyć. Stała w nich kobieta trzymająca w ręku elektryczną latarkę.

- Pani Charlotte Marchand? - spytał.

Była tak drobna jak Kerry. Miała kasztanowe włosy i zielone oczy w kształcie migdałów.

- Tak.
- Jestem Matt Anderson. A to pani Kerry...
- Johnston - dokończyła za niego.
- Co się stało? - spytała Charlotte, podchodząc do łóżka i pochylając się nad martwą dziewczyną. Uniosła latarkę i oświetliła jej mocno wymalowaną twarz, a potem zmierzyła tętno. - *Mon Dieu* - mruknęła. - Ona naprawdę nie żyje.
- Próbowałam ją reanimować, ale nic z tego nie wyszło - rzekła Kerry. - Jej płuca nie przyjmowały powietrza.
- Czy wezwała pani policję? - spytał Matt, który nadal miał nadzieję, że to wszystko okaże się złym snem.
- Zajmuje się tym ochrona hotelu, ale policjanci mają mnóstwo roboty w związku z tą awarią prądu. Chciałam się upewnić, czy to nie jest jakiś żart.
- Żart? - powtórzyła z niedowierzaniem Kerry.
- Jest początek karnawału - odparła dyrektorka takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało. Potem wyjęła zza paska telefon i wystukała jakiś numer. Po krótkiej rozmowie odwróciła się z powrotem do Kerry i Matta. - Ochrona została zawiadomiona o wypadku równocześnie ze mną. Policja i pogotowie ratunkowe powinny tu być niedługo. Musicie państwo zostać na miejscu aż do ich przyjazdu. Potem przeniesiemy was do innego apartamentu.
- Panna Johnston mieszka w sąsiednim pokoju
- wyjaśnił Matt. - Kiedy odkryłem, że w moim

łóżku ktoś leży, potknąłem się o stół i upadłem. Ona to usłyszała i przyszła mi z pomocą.

Cała sytuacja przypominała scenę z jakiejś tragedii, a on nie znał swojej roli. Podobnie jak Kerry. Było mu przykro, że została z jego winy wciągnięta w tę ponurą aferę.

- Kiedy nakreśliłem numer 911, zostałem połączony z recepcją - oznajmił z irytacją w głosie.

- Żeby wyjść na miasto, trzeba wykręcić dziesięć - odparła Charlotte Marchand.

W drzwiach apartamentu pojawił się wysoki mężczyzna.

- Tyrell powiedział mi, że mamy jakiś problem - oznajmił, ogarniając szybkim spojrzeniem cały pokój.

Charlotte przekazała mu wszystkie otrzymane informacje.

- I nie wie pan, kim ona jest? - spytał, zwracając się do Marta.

- A kim jest pan?

- To Mac Jensen, szef naszej ochrony - odparła Charlotte. - Mac, to jest pokój pana Andersona. On nie wie, jak ona... ta osoba... mogła tu wejść.

- Kiedy wróciłem wieczorem do hotelu, zauważyłem, że drzwi nie są domknięte, bo zablokowała je zasłona - wyjaśnił Matt. - Jest zawieszona za blisko wejścia.

- Zajmę się tym, kiedy tylko będę mogła. Dopóki nie przyjedzie policja, nie wolno nam niczego dotykać - stwierdziła posepnie Charlotte. - Tego

nam tylko brakowało. Nie dość, że nie ma prądu, to jeszcze musieliśmy znaleźć zwłoki...

Urwała nagle, jakby w obawie, że i tak powiedziała już zbyt dużo. Matt zdał sobie sprawę, że dyrektorka i jej zespół będą musieli poradzić sobie z reperkusjami tragicznego wydarzenia i zrobiło mu się ich żal.

Szef ochrony sprawdził tętno ofiary. Kerry powiedziała mu, że stosowała sztuczne oddychanie, ale powietrze nie docierało do płuc dziewczyny. Mac Jensen wysłuchał jej relacji, a potem zerknął w kierunku dziedzińca.

- Chyba powinniśmy powiedzieć orkiestrze, żeby zakończyła na dziś występy - powiedział, patrząc pytająco na Charlotte, która kiwnęła potakująco głową.

- Czy możesz to zrobić? - spytała. - W ten sposób pozbedziemy się choć jednego problemu.

- Chyba że któryś z uczestników wieczoru był w to wmieszany - mruknął Matt, wskazując łóżko.

Wszyscy patrzyli w milczeniu na nieruchomą postać.

- Nie widzę żadnych śladów walki - oznajmił Jensen. - Nie jest zakrwawiona ani posiniaczona.

- Rozejrzał się po pokoju. - Ten stłuczony wazon...

- To moje dzieło - przyznał Matt. - Wyskoczyłem z łóżka, kiedy poczułem, że ktoś w nim leży, i wpadłem na stół.

- Może przyczyną jej śmierci było przedawko-

wanie... - mruknęła Charlotte, zwracając się do szefa ochrony. - Jak wiesz, na ulicach tego miasta można kupić wszystkie możliwe narkotyki.

Matt, który obserwował Jensena podczas oględzin pokoju, nabrał do niego zaufania. Doszedł do wniosku, że jest on inteligentny, spostrzegawczy i sumienny.

- Każdy, kto miał jakikolwiek związek z ofiarą, dawno już zdążył opuścić hotel - zauważył Mac. - Pójdę do recepcji i będę czekał na policjantów. Niech oni zdecydują, czy mamy uciszyć orkiestrę i ogłosić zakończenie balu.

Kiedy wyszedł, w pokoju zapadła na chwilę cisza.

- Co za fatalny zbieg okoliczności - powiedziała w końcu Charlotte. - Jest mi bardzo przykro, że państwo zostali wciągnięci w tę okropną sprawę.

- Takie jest życie - mruknął Matt, wzruszając ramionami. Nie chciał zgłaszać pretensji pod adresem kierownictwa, ale zastanawiał się nad możliwością zmiany hotelu. Zerknął na bladą twarz Kerry i doszedł do wniosku, że być może ona również chciałaby się przenieść.

Charlotte kiwnęła głową i zdobyła się na posępny uśmiech.

- Jeden z gości wyprowadził się niespodziewanie, więc mamy wolny inny apartament od strony ogrodu. Numer trzy, po drugiej stronie pokoju panny Johnston. Przeniesiemy tam pana, kiedy tylko policja nam pozwoli.

Kerry posłała mu uśmiech, który zrozumiał jako zachętę do wyrażenia zgody. Kiwnął głową, zastanawiając się, dlaczego pozwala jej wpływać na swoje decyzje.

Dlatego, że zjawiała się w chwili, w której jej potrzebował. Był zaskoczony własną uległością. Już dawno temu postanowił nie liczyć na niczyje wsparcie - emocjonalne ani finansowe. Ukończył szkołę średnią i college o własnych siłach, nie korzystając z pomocy ojca. Gdyby nie matka, chyba w ogóle nie zechciałby z nim rozmawiać. Ale ten okres należał do przeszłości.

Pisywał w czasie studiów do uniwersyteckiej gazety i postanowił zostać dziennikarzem, odrzucając żądania ojca i dziadka, którzy chcieli, by studiował prawo. Kto wie, może był to przejaw młodzieńczej przekory. Ale wspinając się po szczeblach kariery, osiągnął pozycję, która odpowiadała jego oczekiwaniom. Był ekspertem od win i pisywał do luksusowego nowojorskiego czasopisma.

Podróżował po świecie w poszukiwaniu najbardziej szlachetnych trunków i restauracji posiadających najlepiej zaopatrzone piwnice. Napisał trzy książki, które odniosły spory sukces. Jedna z nich - poradnik dla amatorów wygodnego życia - stała się bestsellerem.

Ciężko pracował, by pokazać swojej rodzinie, że wybrał dla siebie najlepszy sposób egzystencji.

- Czy ktoś nie znalazł przy niej jakiegoś doku-

mentu, który umożliwiłby identyfikację? - spytała Charlotte Marchand.

- Patti - wtrąciła nagle Kerry. - Miała na imię Patti. Poznałam ją dziś przed południem. W muzeum wudu przedstawiła się jako Królowa Patrycja, ale to była Patti, kelnerka z restauracji, w której jadłam lunch.

Usłyszawszy tę informację, Charlotte westchnęła ze znużeniem. Matt domyślił się, że ma za sobą ciężki wieczór.

- Wszystkie kobiety, które praktykują wudu, nadają sobie tytuł królowej - powiedziała. - Pochodzi on z nagrobka Marie Laveau. Napisano na nim, że była ona królową wudu, więc każda jej następczyni też każe się tak nazywać.

Matt zauważył, że Charlotte przez cały czas rozgląda się po pokoju tak uważnie, jakby próbowała znaleźć jakąś wskazówkę wyjaśniającą to, co wydarzyło się w nim wcześniej. Panował w nim wielki bałagan. Z niedomkniętych szuflad komody, którą ktoś najwyraźniej przeszukiwał, zwisały części garderoby. Pióro i notatnik leżące obok telefonu były przekrzywione w taki sposób, jakby zostały w pośpiechu odsunięte na bok.

Był pewien, że nie zostawił pokoju w takim nieładzie. Czyżby ta młoda kobieta... Patti... przeszukiwała jego rzeczy, chcąc znaleźć pieniądze na kolejną dawkę narkotyku?

- Kerry nie ma z tym nic wspólnego - rzekł stanowczo. - Pozwólmy jej wrócić do pokoju. Jeśli

policja zechce, będzie mogła ją jutro poprosić o złożenie zeznań.

- Lepiej żeby została - powiedziała Charlotte, rzucając jej pełne współczucia spojrzenie.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich szef ochrony.

- Przyjechali policjanci - oświadczył i wprowadził do pokoju dwóch funkcjonariuszy z wydziału zabójstw. - Chcą dokonać oględzin miejsca zbrodni.

- Nie jestem wcale pewna, czy doszło do zbrodni - mruknęła Charlotte, odsuwając się od łóżka.

- To może być przedawkowanie narkotyków.

- Sprawdźmy to — oznajmił starszy z policjantów. - Kto znalazł ciało?

- Ja - odparł Mart. - Wróciłem z miasta i zastałem ją w pokoju. Nie było prądu, więc rozebrałem się po ciemku, a potem położyłem się do łóżka. Wtedy znalazłem tę dziewczynę... Patti...

Policjanci spojrzeli na niego badawczo.

- Czy pan ją znał? - spytał starszy z nich.

- Nie.

- Ja ją znałam - wtrąciła się Kerry. - Była kelnerką w restauracji, w której jadłam lunch.

- Wyjaśniła im, gdzie to było, a młodszy detektyw zapisał te informacje. - Potem pełniła funkcję przewodniczki po muzeum wudu, ale przedstawiała się wtedy jako Królowa Patrycja. Zrobiła mi zdjęcie z Jołie... tym pytonem - dodała, widząc, że jej rozmówcy nie wiedzą, o kogo chodzi.

Matt doszedł do wniosku, że skoro Kerry zgodziła się na fotografię z pytonem, to musi być silniejsza i bardziej odważna, niż można by sądzić po jej delikatnej budowie.

Podziwiał ją za to, że przysłała mu z pomocą, kiedy znalazł się w naprawdę trudnej sytuacji. To dowodziło prawości i wiary we własne siły.

Zawsze miał słabość do kobiet, które odznaczały się silnym charakterem. Kerry w niczym nie przypominała przedstawicielek jego rodziny. Przez całe lata zastanawiał się, dlaczego jego matka nie odchodzi od ojca, który był bezwzględny satrapą. W końcu zdał sobie sprawę, że nie umiała by żyć samodzielnie. Potrzebowała kogoś, kto by nią kierował. A może tak bardzo ceniła wygody, jakie zapewniał jej status żony znanego prawnika, że gotowa była znosić jego apodyktyczny sposób bycia.

Westchnął głęboko, oderwał się od tych smutnych rozmyślań i spojrział na Kerry. Miał ochotę ucałować jej dłoń w dowód wdzięczności za chęć pomocy oraz za spokój i opanowanie, jakie wykazała w obliczu trudnej sytuacji.

Jakby czytając w jego myślach, uniosła wzrok i posłała mu lekki uśmiech.

Kiedy policjanci spisali zeznania wszystkich obecnych, zjawili się sanitariusze, którzy umieścili ciało Patti alias Królowej Patrycji na noszach i cicho wynieśli je z pokoju. Charlotte i Matt odprowadzili Kerry pod drzwi jej pokoju i życzyli dobrej

nocy. Potem udali się do sąsiedniego pokoju. Charlotte otworzyła jego drzwi uniwersalnym kluczem.

- Zaraz przyślę portiera, który spakuje pańskie rzeczy i przeniesie je do tego apartamentu.

- W porządku.

- Bardzo dziękuję za cierpliwość - dodała, ścisnąc jego dłoń. - Nie potrafię powiedzieć, jak mi przykro z powodu tego, co się stało.

Matt wzruszył ramionami.

- Przeżyłem szok, ale zdarzają się czasem rzeczy, na które nikt nie ma wpływu.

- Życzę panu dobrej nocy - powiedziała Charlotte i odeszła, zostawiając mu latarkę.

Usłyszał szmer dochodzący z sąsiedniego pokoju; miał nadzieję, że jego sąsiadka będzie w stanie spokojnie zasnąć. Zerknął na swoje nowe wygodne łóżko, a potem zamknął drzwi na klucz i łańcuch.

Nie miał ochoty przeżyć tej nocy drugiej przerażającej niespodzianki.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy Kerry wyszła w niedzielny poranek ze swego pokoju, słońce stało już wysoko, a temperatura sięgała dwudziestu kilku stopni.

Ubrana w białe spodnie i jedwabną bluzkę przekroczyła dziedziniec, zmierzając do restauracji Chez Remy.

Chcąc dostosować się do radosnego nastroju karnawałowego, miała w jednym uchu dwa kolczyki w kształcie gwiazdek, a w drugim ozdobny wisiołek przedstawiający księżyc w pełni. Uliczny sprzedawca, od którego je kupiła, zapewniał ją, że są to dobre Ju-Ju. Te kolczyki i bransoletka z amuletami miały ją chronić przed ulicznymi przestępcami.

I przed takimi wstrząsami, jakie przeżyłam wczoraj, pomyślała z nadzieją.

- Dzień dobry, Kerry. Czy zechcesz się do mnie przysiąc?

Matt Anderson siedział przy stoliku ustawionym na dziedzińcu. Kelner stawiał właśnie na nim dzbanek z kawą. W ciągu nocy włączono prąd, a personel musiał chyba pracować bez chwili odpoczynku, bo hotel funkcjonował już normalnie.

Kerry kiwnęła głową. Matt wstał i podsunął jej krzesło.

- Ja wziąłem sobie jedzenie z bufetu, ale możesz też zamówić gorące dania, takie jak jajka na bekonie, i tak dalej.

- Jadam zwykle tylko płatki śniadaniowe i owoce, więc również skorzystam z bufetu. Ale proszę o kawę.

Kelner położył na jej kolanach serwetkę i napełnił dwie filiżanki. Potem odszedł, by powrócić po chwili z dzbankami wody i soku pomarańczowego. Postawił je na stole i zostawił ich samych.

- Czy udało ci się trochę przespać? - spytał Matt, obrzucając ją badawczym spojrzeniem.

Przyjrzała mu się uważnie i stwierdziła, że ma ciemnobłękitne oczy. Jego jasne włosy przypominały barwą pola dojrzałej pszenicy i choć zgodnie z aktualną modą były krótko ostrzyżone, ich niesforne kosmyki układały się w łagodne fale.

Kiedy podsuwał jej krzesło, zdała sobie sprawę, że ma co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu. Poprzedniego wieczoru była zbyt przygnębiona sytuacją, by zauważyć, że jest bardzo przystojny. Ponieważ jednak widziała go w krótkich spodenkach, zwróciła uwagę na jego muskularny tors i umięśnione nogi. Wyparła z pamięci ten wizerunek, ale nie przyszło jej to łatwo.

- Owszem, spałam całkiem dobrze - odparła

z uśmiechem. - Ale obudziłam się bardzo późno. W domu zwykle wstaję o siódmej, nawet kiedy nie pracuję.

- A czym się zajmujesz?

- Jestem specjalistką od higieny stomatologicznej. Pracuję w przychodni, która zatrudnia oprócz mnie czterech dentystów i jeszcze jedną higienistkę.

- Lubisz swoją pracę?

- Bardzo. Nie sprawiam pacjentom bólu. Żadnego borowania czy leczenia kanałowego. Nie zajmuję się nawet zakładaniem aparatów prostujących zęby.

- Właśnie dlatego nienawidziłem w dzieciństwie chodzenia do dentysty. Musiałem nosić aparat.

- Ale teraz masz piękny uśmiech.

- Więc może warto było znosić ból. - Uniósł szklankę z sokiem. - Piję zdrowie dobrej sąsiadki, która przyszła mi z pomocą.

Zrobił poważną minę i bezwiednie westchnął, a ona z trudem powstrzymała się od wyciągnięcia ręki i dotknięcia jego dłoni. Oboje zetknęli się ze śmiercią i niełatwo im było przejść nad tym do porządku dziennego.

W tym momencie na dziedzińcu pojawiła się jakaś para, ciągnąca za sobą walizki.

- Zaskarżymy ich do sądu - mówił mężczyzna do swej towarzyszki. - Odzyskamy z procentem każdego centa, którego wydaliśmy na ten urlop. To jest banda złodziei.

Kerry poczuła współczucie dla osoby, która pełniła dziś dyżur w recepcji i musiała wysłuchać ich skarg. Kiedy odeszli, siedzący przy sąsiednich stolikach goście hotelowi zaczęli znowu rozmawiać.

Jakiś mężczyzna opowiadał głośno, że jego apartament wyglądał tak, jakby został splądrowany. Nic z niego nie zginęło, ale podobno mieszkańcy innych pokoi padli ofiarą złodziei.

- Wygląda na to, że ubiegłej nocy działy się tu dziwne rzeczy - zauważył Matt z niepokojem w oczach.

Poczuła się onieśmielona. Nadal widziała oczyma duszy jego długie nogi i krótkie, czarne spodnie...

Potem przypomniała sobie, jak znalazła się w jego pokoju, i znów ogarnęły ją niewesołe myśli.

- Dlaczego wzdychasz, Kerry? - spytał łagodnym tonem.

- Pomyślałam o Patti. Rozmawiałam z nią zaledwie wczoraj, a dziś już jej nie ma. Była bardzo sympatyczna... pełna życia. Choć zrobiła mi wodę z mózgu tymi opowieściami o wudu... Ale dziwne było to, że wiedziała o mnie różne rzeczy, o których wcale jej nie mówiłam.

- Na przykład?

- Na przykład to, że mam siostrzeńca i dwie siostrzenice. Dzięki jej sugestiom kupiłam dla nich prezenty. A dla siebie tę bransoletkę z amuletami.

Kiedy położyła rękę na stole, by mu ją pokazać, przykrył ją i zaczął oglądać amulety.

- Kości, torba *gris-gris*, krzyżyk...

- Powiedziała, że został pokropiony święconą wodą, więc będzie mnie chronił przed wampirami i wilkołakami - oznajmiła Kerry. - Nie wiedziałam, że w tym mieście pojawiają się nie tylko wampiry i duchy, lecz także wilkołaki.

- Myślę, że wampiry zeszyły z kart popularnych powieści. Nie jestem pewien, skąd się wzięły wilkołaki. Wudu, jako religia, każe czcić różne duchy, takie jak Ziemia, Las, Mądrość, Zdolność Leczenia i tak dalej. Według książki, którą sobie kupiłem, powstała ona przed setkami lat w Beninie, czyli jednym z regionów Afryki.

- I dotarła do Ameryki wraz z niewolnikami?

- Tak. - Wskazał aparat wystający z kieszeni jej torebki. - Mówiłaś, że Patti zrobiła ci zdjęcie z pytonem. Czy posłużyła się tym aparatem?

- Owszem.

- Czy to jest cyfrowy aparat? Masz w nim zdjęcia swojej rodziny?

- Owszem. Zrobiłam je z okazji Bożego Narodzenia. - Wyjęła aparat i znalazła odpowiednie fotografie. - To jest moja siostra, jej mąż i ich dzieci.

- Widzę, że jesteście do siebie podobne.

- Bardzo. Patti zobaczyła pewnie to zdjęcie i domyśliła się, że mam siostrzeńca i dwie siostrzenice. Ta informacja niemal mnie przekonała, że

naprawdę umie wróżyć z ręki. To mi o czymś przypomina. Patti dała mi bilet wstępu na obrządek, który ma dziś wieczorem odprawić stara królowa wudu. Zastanawiam się, czy pójść.

Matt zmarszczył brwi.

- O co chodzi? - spytała ze zdziwieniem.

- Kiedy zwiedzałem muzeum wudu, pracująca tam kobieta też mi dała taki bilet. To właśnie od niej kupiłem tę książkę dla mojej matki.

- Czy miała na sobie czerwoną bluzkę i pasującą do niej złoto-czerwono-zieloną spódnicę? A także długie sztuczne rzęsy i czerwono-zielone cienie na powiekach?

- Nie pamiętam kolorów, ale te rzęsy były niewiarygodne. Nie mogłem zrozumieć, jakim cudem udaje jej się otwierać oczy.

Kerry poczuła, że całym jej ciałem wstrząsa zimny dreszcz. W jej uszach zabrzmiały słowa Królowej Patrycji.

„Musisz iść świetlistą drogą, na którą wkroczysz dzisiejszego wieczoru, aż do letniego przesilenia dnia z nocą, bo inaczej na zawsze zmienisz swój los i los tych, którzy tego dnia wkroczą w twoje życie”.

- Wybierasz się tam? - spytała Matta.

- Dziś po południu mam degustację - odparł, wzruszając ramionami.

Kerry nie miała pojęcia, o co chodzi.

- Przepraszam cię - dodał szybko, jakby czytając w jej myślach. - Piszę artykuły o wszystkich

etapach produkcji i konsumpcji wina, od sadzenia winorośli aż po sposób podawania gotowego trunku. Przyjechałem do Nowego Orleanu, żeby opisać winiarnie i piwnice funkcjonujące w tym regionie.

- To brzmi bardzo ciekawie - rzekła ze szczerym zainteresowaniem. - Czy można spytać, jak trafiłeś do tej branży?

- Moja przyjaciółka, która spotykała się z redaktorem czasopisma „Wina świata”, poradziła mi, żeby zlecił mi napisanie dużej rozkładówki poświęconej winnicom stanu Nowy Jork. Moja rodzina miała udziały w tamtejszym przemyśle winnym, więc byłem idealnym kandydatem. Każdego lata pracowałem w winnicach, a co rok pomagałem mojej matce organizować dobroczynne aukcje najlepszych win.

- Rozumiem.

- Kiedy mój artykuł się ukazał, otrzymałem za niego nagrodę stowarzyszenia winiarzy stanu Nowy Jork. Od tej pory uchodzę za „eksperta” i otrzymuję wiele zamówień. Spodobała mi się niezależność, więc zrezygnowałem z posady w gazecie i od tej pory piszę tylko o winach. Na szczęście trafiłem na dogodny moment. Wino robi się modne.

- Ja nie miałabym dość odwagi, żeby podjąć tak wielkie ryzyko - wyznała z podziwem Kerry.

- Nie jestem tego pewien - oświadczył Matt z przewrotnym uśmiechem. - Trzeba mieć wiele

odwagi, żeby zrobić sobie zdjęcie z pytonem albo przyjść na pomoc nieznanemu sąsiadowi, i to w czasie zaciemnienia. Czy wybierzemy się do bufetu?

Podczas jedzenia prawie nie rozmawiali. Kerry zauważyła jakąś objuczoną bagażami rodzinę, która szła w kierunku recepcji, i zaczęła się zastanawiać, czy wielu gości wymeldowuje się z hotelu. Zaciemnienie mogło ich wystraszyć, nawet jeśli nie wiedzieli o znalezieniu zwłok.

Zerknęła na Marta i zdała sobie sprawę, że wydaje jej się interesujący nie tylko ze względu na wspólne przeżycia. I nie tylko dlatego, że jest przystojny. Był człowiekiem, który zdecydował się na ryzykowną karierę zawodową i odniósł sukces. To wymagało wiary we własne siły, odwagi i ciężkiej pracy.

Przynieśli sobie z bufetu filiżanki kawy oraz świeże bułeczki i zaczęli ponownie rozmawiać o Patti.

- Zastanawiam się, kim była naprawdę - wyznała Kerry. - Sympatyczną kelnerką, królową wudu, narkomanką czy duchem. Chciałabym też wiedzieć, w jakiej roli występowała wczoraj wieczorem.

- Kiedy w końcu położyłem się do łóżka, nie mogłem zasnąć - mruknął Matt. - Przez cały czas widziałem jej bladą twarz i ucziemone oczy. Moim zdaniem wyglądała upiornie.

- Była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie

w życiu widziałam. Mogłaby zostać gwiazdą filmową.

- Zatelefonowałem dziś rano do tego detektywa.
- Jednego z tych, którzy nas przesłuchiwali? Ja o tym nie pomyślałam, choć byłam ciekawa, czy odkryli przyczynę śmierci. Czy skontaktowali się z jej rodziną?

Mart potrząsnął przecząco głową.

- W formularzu, który musiała wypełnić, podejmując pracę w tej restauracji, napisała, że nie ma żadnych bliskich krewnych.

- Ach tak? A w muzeum?

- Ten detektyw o tym nie wspominał.

Kerry poczuła w oczach pieczenie łez.

- Była dla mnie bardzo miła. Jakby wiedziała, że czuję się samotna. Tak czy owak, wzięła mnie pod swe opiekuńcze skrzydła i powiedziała mi, jak spędzać czas w tym mieście. Chyba rozpoznała we mnie dziewczynę z prowincji.

- Albo drugą Florence Nightingale - poprawił ją cichym głosem. - Tak właśnie o tobie pomyślałem, kiedy zjawiłaś się pod moimi drzwiami z lampą w ręku. Byłem bardzo wdzięczny, że proponowałaś mi pomoc. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że sytuacja jest tak poważna. Myślałem, że ta dziewczyna upiła się i zasnęła.

- Trudno jest otrząsnąć się z szoku, jaki przeżywa się w obliczu śmierci - mruknęła Kerry. - Nawet jeśli umiera osoba obca. Ale co oni z nią zrobią, skoro nie miała żadnej rodziny?

- Ten policjant powiedział, że będą musieli zrobić sekcję, żeby ustalić przyczynę zgonu. Moim zdaniem ona coś przedawkowała. Może sprzedano jej kiepską mieszaninę. Potem... sam nie wiem... pewnie chowają ofiary takich przypadków na komunalnych cmentarzach.

- To jest takie smutne... Ona nie miała nikogo, kto zmartwiłby się wiadomością o jej śmierci...

- Nie płacz - poprosił łagodnym tonem, ponownie dotykając jej dłoni.

- Miałam kuzynkę, która... - z trudem powstrzymała łzy - popełniła samobójstwo.

- Kiedy to się stało? - spytał z przejęciem.

- Trzy lata temu. Najgorsze było to, że widziałam się z nią tego ranka i spytałam nawet, czy wszystko w porządku. Powiedziała mi, że tak, a ja jej uwierzyłam. Potem wypłynęła łódką na środek jeziora i wskoczyła do wody. Umiała pływać, ale i tak utonęła. Woda była lodowata, a ubranie wciągnęło ją na dno.

- Mój Boże...

- Do tej pory tego nie rozumiem. Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami: Jak ona mogła zrobić coś takiego, nie mówiąc nikomu ani słowa? - Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby miała nadzieję, że zdoła jej to wyjaśnić.

- Nie mam pojęcia. - Zawahał się, a potem dodał: - Przeżyłem coś podobnego po śmierci mojej siostry. Ale nasza rodzina wiedziała przynaj-

mniej, jak umarła, i miała pewność, że nie nastąpiło to z jej woli.

- Och, Matt, przykro mi, że ci o tym przypomniałam.

- To było szesnaście lat temu. Byłem wtedy na ostatnim roku studiów, a ona przebywała w Afryce z grupą ochotników należących do pewnej instytucji charytatywnej. W rejonie ich działalności wybuchła epidemia jakiejś rzadkiej wirusowej choroby. Zanim lekarze zdążyli ją opanować, zabiła pięćdziesięciu mieszkańców wioski i pięciu wolontariuszy.

Choć relacjonował te fakty chłodnym tonem, a od tragedii upłynęło sporo czasu, Kerry wyczuła w jego głosie ogromny ból.

- Trwała tam wtedy wojna domowa. Zanim dowiedzieliśmy się o jej śmierci, minęło kilka tygodni. Wywieźliśmy ciało dopiero po paru miesiącach. Moja matka przeżyła to bardzo mocno. Mogliśmy uznać sprawę za zakończoną dopiero wtedy, kiedy pochowaliśmy ją w rodzinnym grobowcu.

Zapadła cisza. Kerry zdała sobie sprawę, że nadal trzymają się za ręce w taki sposób, jakby oczekiwali od siebie pomocy i otuchy.

- Czy mogę przynieść państwu jeszcze trochę kawy?

Słyszając znajomy głos, wróciła do rzeczywistości i uwolniła dłoń od uścisku Matta.

- Henri! - zawołała z radością. - Czy ty pracujesz dwadzieścia cztery godziny na dobę?

- Jestem tu zatrudniony od tak dawna, że mogę sobie ustalać godziny dyżurów. Podaję zwykle do stołów przez dwie godziny w porze lunchu i przez cztery lub pięć godzin wieczorem. Mam więc po południu czas na pracę w ogrodzie, która jest moim hobby, a według żony nawet moją obsesją.

Kerry zdała sobie sprawę, że jest już po jedenastej. Rozmawiali z Mattem od przeszło godziny.

Kiedy Henri przyniósł im dzbanek świeżo parzonej kawy, zaczęła się zastanawiać nad sposobem spędzenia popołudnia.

- Co zamierzasz dziś robić? - spytał Matt.

- Sama nie wiem. - Opuściła wzrok na swoją torebkę. - Och, zamierzam wybrać się po południu na tę uroczystość. Przeczytałam na bilecie, że ma ona coś wspólnego z uzdrowicielskimi praktykami wudu. Mam nadzieję, że wpłynie korzystnie na mój nastrój, który nie jest ostatnio najlepszy.

- Znam to uczucie - mruknął Matt. - Ale nie jestem pewien, czy powinniśmy brać udział w obrzędach wudu.

- Dlaczego?

- Sam nie wiem. Moje wątpliwości nie mają logicznego uzasadnienia. Przeżyliśmy ubiegłej nocy ciężkie chwile. Może to nam powinno wystarczyć.

Kerry musiała mu przyznać rację, więc kiwnęła potakująco głową.

- Kiedy nastały ciemności, wydało mi się to

romantyczne. Leżałam w wannie otoczona świecami, popijałam szampana i czułam się jak jakaś dekadenska, rozpieszczona księżniczka. Ale to urojenie zostało szybko rozwiane.

- Przykro mi, że zakłóciłem ten wieczór, angażując cię w swoje problemy - powiedział z przejęciem Matt, pochylając się w jej stronę.

- Przecież po to właśnie ma się przyjaciół... albo sąsiadów - oznajmiła pogodnym tonem.

- Ale muszę przyznać, że to była niezwykła noc.

- Zastanawiała się przez chwilę. - Mimo to chciałabym obejrzeć tę ceremonię. Chyba będzie interesująca.

- W takim razie wybierzmy się tam razem. Moja degustacja wina odbywa się po południu, więc powinienem wrócić do hotelu koło szóstej. Czy zjemy przed wyjściem kolację?

Kerry kiwnęła głową, starając się ukryć podniecenie, które poczuła na myśl o tym, że spędzi z Mattem cały wieczór.

Po raz pierwszy od dawna Matt nie mógł skupić uwagi na dyskusji dotyczącej zalet różnych win. Toczyli ją członkowie bardzo ekskluzywnego klubu, który założyli przedstawiciele najstarszych i najbardziej znanych rodzin Nowego Orleanu przed pięcioma pokoleniami. Gospodarzem spotkania był jeden z członków zarządu klubu, a równocześnie właściciel poważnej firmy zajmującej się kupnem i sprzedażą win.

Siedzący po drugiej stronie ciemnego, politurowanego stołu młody człowiek zajął do swego kieliszka, a potem wychylił go jednym haustem, nie zwracając najmniejszej uwagi na aromat, smak i bukiet tego znakomitego rocznika. Przewodniczący obradom Claude Pichante spojrział na niego z wyraźnym oburzeniem.

Mart wiedział, że młody człowiek, Jason Pichante, był jego synem. Degustacja odbywała się w rodzinnej rezydencji państwa Pichante, w wytwornym pałacyku położonym na terenie willowej dzielnicy, która na szczęście nie poniosła większych strat podczas huraganu.

Surowy ojciec i zbuntowany syn.

Matt dobrze znał z doświadczenia podobną sytuację. Pod wpływem instynktu był gotów opowiedzieć się po stronie syna, ale rozsądek podpowiadał mu, że może się mylić.

Z niewiadomych powodów zaczął myśleć o Kerry. Nie miała w sobie ani odrobiny złości, tylko życzliwość i dobrą wolę. Była rozmowna, ale śmierć Patti Ruoui - jej nazwisko podał Mattowi policjant - wywołała wstrząs, na skutek którego stała się milcząca i smutna. Najwyraźniej nie mogła pogodzić się z tym, że Patti nie miała nikogo, kto opłakiwałby jej zgon, a który mimo woli kojarzył jej się z ze śmiercią kuzynki.

Kiedy na jej twarzy malowało się przygnębienie, miał ochotę ją objąć i trzymać w ramionach tak długo, dopóki nie odzyskałaby pogody ducha.

- Aromat jeżyn z lekkim posmakiem wanilii
- mówił Claude Pichante.

Matt zmusił się do skupienia uwagi na jego słowach. Upił mały łyk z nowego kieliszka, który podał mu kelner. Potem powoli wciągnął powietrze, by poczuć na języku bukiet wina. Mógł dzięki temu ocenić jego jakość i potencjalne możliwości.

- Co o nim myślisz, Matt? - spytał gospodarz.

- Tak, jeżyny i wanilia - przyznał Matt. - Jest w nim sporo taniny, ale jej poziom z wiekiem się wyrówna. Za pięć lat będzie to znakomite wino.

- Jestem tego samego zdania - oznajmił Claude Pichante. Jego syn wydał cichy, ale wyraźnie słyszalny pomruk lekceważenia, po czym znów wypił wino jednym haustem.

- Jason, jeżeli jesteś umówiony, to możesz nas opuścić - rzekł ojciec stanowczym, nieustępliwym tonem.

Żaden z pozostałych pięciu członków klubu - wytwornych starszych panów - nie dał po sobie poznać, że słyszał jego słowa. Wszyscy popijali wino tak spokojnie, jakby nic się nie stało.

Matt poszedł za ich przykładem. Zerknął na wiszący nad kominkiem zegar. Zbliżała się pora, o której zamierzał wyjść. Był zadowolony, że będzie mógł zjeść kolację w towarzystwie Kerry. Nie był jednak nadal pewien, czy cieszy go perspektywa udziału w obrzędach wudu.

Jason Pichante wstał nagle od stołu, uderzając rzeźbionym zabytkowym krzesłem o boazerię, i wyszedł z pokoju. Jego ojciec ciężko westchnął.

- Dzieci... - warknął pod nosem. - Jasonowi wydaje się, że jest zakochany, ale oboje z jego matką uważamy, że ta młoda kobieta nie jest odpowiednią kandydatką.

Wszyscy zebrani wydali pomruk zrozumienia dla dylematu ojca, ale sympatie Matta były raczej po stronie syna. Pamiętał młode panny z dobrych domów, które przedstawiano mu jako kandydatki na żonę. W owym czasie buntował się przeciw swym rodzicom, którzy pragnęli wywierać wpływ na jego wybór życiowej partnerki.

Kiedy jednak zabrał się do jej poszukiwania na własną rękę, poniósł dotkliwą porażkę. Zakochał się w kobiecie, która była przedstawicielką handlową wytwornego nowojorskiego butik. Gdy tylko odkryła, że stosunki łączące go z rodzicami nie są zbyt bliskie, więc nie będzie spędzała wszystkich weekendów na terenie rodzinnej rezydencji, w otoczeniu bogatych krewnych i przyjaciół, rzucała go bez wahania i poślubiła bogatego mieszkańca Long Island, który miał odziedziczyć po przodkach linię okrętową.

Po tym doświadczeniu przestał się przyznawać do pokrewieństwa ze znaną rodziną Andersonów. Ich kancelaria prawnicza pośredniczyła w zawieraniu kontraktów przez gwiazdy muzyki i filmu,

więc niektóre kobiety chciały go wykorzystać jako trampolinę do kariery. Nie miał nic przeciwko temu, pod warunkiem, że mówiły o tym otwarcie. Ale większość starała się to ukryć.

Zastanawiał się przez chwilę, co pomyśleliby jego ustosunkowani krewni o stomatologicznej higienistce z małego miasteczka. Kerry utrzymywała najwyraźniej bliskie związki ze swą rodziną i miała dobre serce. Tak przynajmniej mu się wydawało. Został już kiedyś oszukany przez sprytną kobietę, która udawała pierwszą naiwną. Był od tej pory podwójnie podejrzliwy.

Kiedy degustacja dobiegła końca, zajrzał do swoich notatek, by się upewnić, że nie ma w nich żadnego błędu, i podziękował gospodarzowi, zapewniając, że jego piwnica zrobiła na nim wielkie wrażenie. W istocie nie mijał się z prawdą, gdyż była to jedna z najlepszych degustacji, w jakich uczestniczył na terenie miasta.

Potem wyszedł na ulicę, zatrzymał taksówkę i wrócił do hotelu. Zdjął letnie granatowe ubranie i włożył dżinsy oraz sportową koszulkę, a potem zarzucił na ramiona lekki sweter, mający go ochronić przed wieczornym chłodem.

Portfel. Bilet. Był gotowy na kilka minut przed siódmą. Pora na kolację. Dokonał już wyboru restauracji, do której zamierzał zaprosić Kerry.

Po krótkim namyśle zrezygnował z pukania do drzwi łączących ich pokoje, gdyż wydało mu się to

zbyt poufałe. Wyszedł do ogrodu i zastukał cicho do jej apartamentu.

Kiedy stanęła w progu, wstrzymał oddech. Podobnie jak on miała na sobie dzinsy i sportowe pantofle, obcisłą bluzkę i lekki żakiet. Jej zielone oczy błyszcząły jak szlachetne kamienie.

- Czy jesteś gotowy? - spytała, a on, nie mogąc wydobyć głosu, kiwnął potakująco głową.

Nie miał pojęcia, dlaczego czuje się jak młody chłopiec na pierwszej randce.

- Polecano mi pewną restaurację, niedaleko stąd. Czy spróbujemy tam zjeść kolację?

Kerry zerknęła na ich stroje.

- Jeśli jesteśmy odpowiednio ubrani...

- Oczywiście. To nie jest wytworny lokal. Specjalizuje się w miejscowej kuchni. Zapisałem nazwy najostrzejszych dań, jakie tam podają. Powiedziano mi, że każdy turysta odwiedzający Nowy Orlean musi choć raz skosztować regionalnych potraw.

Oboje wybuchnęli śmiechem i ruszyli w kierunku drzwi. Gdy dotarli na dziedziniec, Kerry nagle sobie coś przypomniała.

- Och, zapomniałam ci powiedzieć, że był tu dziś po południu ten detektyw, Rothberg. Personel restauracji potwierdził, że Patti nie miała bliskiej rodziny, ale poinformował go, że spotykała się z pewnym chłopcem. Nikt nie wie, jak on się nazywa. Najwyraźniej nie utrzymywała bliskich stosunków z kolegami z pracy.

- Tak, mówił mi o tym, kiedy z nim rozmawiałem.

- Więc dlaczego nie powtórzyłeś mi tego dzisiaj rano?

- Bo kiedy o tym mówimy, robisz się bardzo smutna - odparł szczerze, a potem chwycił ją za rękę, bo znaleźli się nagle w tłumie rozpedzonych młodych ludzi, i zaczął jej opowiadać o degustacji wina. Wspomniał o incydencie wywołanym przez syna gospodarza i dodał, że gdy dorastał, jego stosunki z ojcem też nie układały się bezkolizyjnie.

- Kiedy i ojciec, i syn mają silną osobowość, trudno im się dogadać - zauważyła Kerry, unosząc na niego wzrok w taki sposób, że miał wielką ochotę ją pocałować. Nigdy dotąd nie odczuwał tak silnych pokus, więc było to dla niego zupełnie nowe doświadczenie.

Po kilku minutach dotarli do restauracji i zostali posadzeni przy niewielkim okrągłym stoliku.

- Nie mogę sobie wyobrazić sytuacji, w której nie mogłabym znaleźć wspólnego języka z moją rodziną - rzekła Kerry, nawiązując do wcześniejszej rozmowy. - Bez przerwy składamy sobie wizyty lub do siebie dzwoniemy, nawet jeśli nie mamy sobie nic ważnego do powiedzenia. Chyba po prostu lubimy słuchać własnego głosu. - Zaśmiała się tak pogodnie, że poczuł lekką zazdrość.

- Czy oprócz siostry masz rodzeństwo?

- Nie, ale moja mama pochodzi z rodziny,

w której było pięcioro dzieci, a mój ojciec miał dwójkę rodzeństwa, więc dorastałam w otoczeniu kuzynów i kuzynek. I wielu krewnych, którzy dbali o nasze wychowanie, ale robili to oczywiście z miłością.

- Oczywiście... - powtórzył Matt, w którego wyobraźni ukształtował się wizerunek idealnej rodziny.

Wiedział, że w życiu nie ma ideałów, ale w Kerry było coś, co skłaniało go do tworzenia pogodnego obrazu rzeczywistości. Po raz kolejny zdał sobie sprawę, że ta kobieta nie jest mu obojętna. Kiedy ubiegłej nocy położył się wreszcie do łóżka - po raz drugi i w innym pokoju - przypomniał sobie, jak wyglądała w czerwonym jedwabnym szlafroku, spod którego wystawały nogawki piżamy i skromne pantofle. Była w niej mieszanina elegancji i prostoty.

Kobiety, które dotąd spotykał, miałyby na sobie wytworne peniuary lub kosztowne piżamy, pochodzące ze znanych domów mody.

- Czy podać piwo? - spytał kelner.

Zanim zdążyli mu odpowiedzieć, wymienił szybko około dwudziestu różnych marek.

- Ja mam już na dziś dosyć alkoholu - powiedział Matt. - Ale ty możesz się czegoś napić.

- Poproszę o mrożoną herbatę - oznajmiła Kerry, a on zamówił to samo.

- Kiedy powiedziałeś, że jesteś ekspertem od win, zastanawiałam się, jak znosisz tak częste picie. Mój stryjeczny dziadek był alkoholikiem. Cała

rodzina stawiała go nam za przykład tego, do czego może człowieka doprowadzić nadmierne zamiłowanie do napojów wysokowych.

- Jeśli ktoś jest wystarczająco bogaty, otoczenie ignoruje jego pijaństwo - stwierdził cynicznie Matt. - Albo pomaga mu je ukrywać.

Kerry szeroko otworzyła oczy, a on odgadł, że jest zbyt dobrze wychowana, by zadać mu narzucające się pytanie.

- Moja rodzina jest zamożna - przyznał. - Od pokoleń. Ma liczne zasługi wobec miejscowej społeczności. Kłopotliwe incydenty są wykreślane z dokumentów, a młodzieńcze grzechy - ignorowane. Sytuację ułatwia fakt, że w jej rękach znajduje się bardzo wpływowa kancelaria prawnicza.

- Nie znam się na wpisach w dokumentach - mruknęła Kerry - ale pokrewieństwo z prawnikami bywa przydatne. Najstarszy brat mojej matki jest adwokatem. Był zachwycony, kiedy jego syn i bratanek postanowili studiować prawo i podjęli pracę w jego firmie.

- W naszej rodzinie studiowanie prawa jest uważane za obowiązek - stwierdził z ironią Matt, a potem wzruszył ramionami. - Ja się nie podporządkowałem tej zasadzie.

- Dlaczego?

Gdyby to pytanie zadał mu kto inny, uznałby je za wścibskie. Ale wiedział, że Kerry naprawdę interesuje się jego osobą.

- Chyba z przekory. Kiedy kończyłem szkołę

średnią, nasza konsultantka do spraw wyboru zawodu stwierdziła, że mam szerokie zainteresowania i umiejętność układania słów w logiczną całość. Poradziła mi, żebym się zastanowił nad dziennikarstwem.

- A ty jej posłuchałeś. To była mądra decyzja.
- Kerry uśmiechnęła się z aprobatą. - Domyślam się, że kochasz swój zawód.

- On mi zapewnia wygodne życie - odparł, wzruszając ramionami.

- Ja tak samo myślę o mojej pracy - oznajmiła z szerokim uśmiechem. - Jestem szczęśliwa, że płacą mi za robienie czegoś, co sprawia mi przyjemność.

Oboje poczuli, że mają taki sam pogląd na życie. Matt nie potrafił jasno określić przyczyn tego stanu rzeczy, ale był z niego bardzo zadowolony.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Nadal mnie piecze język - powiedziała Kerry.

- Mnie też - odparł ze śmiechem. - Do tej miejscowej kuchni trzeba się przyzwyczać.

Kerry nabierała do niego coraz większej sympatii. Wiedziała, że jest zapewne przyzwyczajony do towarzystwa kobiet bardziej wyrafinowanych niż ona, prowincjuszka ze środkowego zachodu Ameryki. Ale nie miała wątpliwości, że dobrze się bawią w swoim towarzystwie.

- Ja nie zamierzam się przyzwyczajać do tej potrawy złożonej z ryżu i kiełbasy - oznajmiła stanowczym tonem. - Była tak piekielnie ostra, że po pierwszym kęsie nie mogłam oddychać chyba przez dwie minuty. Ale *gumbo* było znakomite.

- Zgadzam się.

Jechali taksówką na obrzędy wudu. Kerry wzdrgnęła się lekko, gdy mijali cmentarz. Miała nadzieję, że uroczystość odbywa się gdzie indziej.

Kierowca wysadził ich tuż za cmentarną bramą i wskazał kępę drzew. Wśród liści migotały jakieś światła.

- To tam - powiedział. - Nie oddalajcie się od tłumu, a nic się wam nie stanie.

- Czy może pan po nas przyjechać? - spytał Matt, wręczając mu pieniądze.

- Jasne. - Taksówkarz dał mu swoją wizytówkę. - Będę tu za dwie godziny. Gdyby skończyło się wcześniej, proszę do mnie zatelefonować.

Wydawał się przekonany, że ceremonia potrwa pełne dwie godziny. Kerry zerknęła w kierunku cmentarza i zobaczyła, że od kępy drzew oddziela go żeliwny płot. Odkrycie to poprawiło nieco jej samopoczucie.

O mało co nie wybuchnęła śmiechem z powodu własnej naiwności. Jak mogła przypuszczać, że to ażurowe ogrodzenie zatrzyma duchy? Sama nie wiedziała, kiedy zaczęła wierzyć w siły nadprzyrodzone. Zerknęła na swego przystojnego towarzysza i ucieszyła się, że nie jest sama.

Powolny werbel wzywał wiernych do udziału w ceremonii. Kerry wiedziała, że rytuał leczenia obejmuje również oczyszczenie. Chodziło o usunięcie z serca wszelkiego zła, by mógł do niego wstąpić uzdrowicielski duch.

Kiedy oboje z Mattem wyszli na niewielką polankę sąsiadującą z bagnistym rozlewiskiem, odgłos bębna stał się cichszy, ale bardziej natarczywy.

- Usiądźcie tutaj - powiedziała jakaś kobieta takim tonem, jakby czekała na nich już od dość dawna.

Kerry, poruszona wyglądem nieznanym, mocno chwyciła ramię Matta.

Jej długie białe włosy, wylewające się spod złotej cygańskiej chusty, sięgały poniżej pasa. Makiżaj przypominał charakterystycję, którą posłużyła się Patti, by odegrać rolę Królowej Patrycji. Dominowały w nim złoto, zieleń i purpura. Miała na sobie długą czarną spódnicę i czarną bluzkę, na którą narzucona była pasiasta, zielono-złota peleryna przewiązana purpurowym sznurem.

- Dziękujemy - odrzekł Mart, po czym oboje zajęli miejsca na dywanie z plecionej trawy. Jakiś mężczyzna, siedzący obok Matta, pochylił się do jego ucha.

- To była stara królowa - wyszeptał z szacunkiem. - Skoro was rozpoznała, to znaczy że jesteście dla niej szczególnie ważnymi gośćmi.

- Czy był pan już kiedyś na takiej uroczystości?

- Wiele razy. Moja babka mieszka niedaleko stąd, a cała rodzina zawsze ją w styczniu odwiedza.

- Czy podczas tego... spektaklu powinniśmy się zachowywać w jakiś szczególny sposób?

- Nie. Wszystko robi królowa i jej dwór. Każdy duch ma swą własną pieśń, własny taniec i własny rytm. Widzom nie wolno robić nic, co mogłoby zakłócić przebieg obrzędu, bo duch może się rozgniewać i sprowadzić na nas wszystkich jakieś nieszczęście.

- Mam nadzieję, że przychodząc tutaj, nie popełniliśmy błędu - mruknął Matt.

- To jest dobre Ju-Ju - oznajmił mężczyzna.

- Duch Uzdrawiciel jest łagodny. Duch ziemi

wymaga krwawej ofiary, co niektórych widzów przeraża.

Nad polanką i mętными wodami rozlewiska rozległ się nagle samotny bęben. Odbity echem od drzew brzmiał tak donośnie, jak orkiestra złożona ze stu werbli.

- Symbolem Ducha Uzdrawiciela jest grzmot - wyjaśnił im mężczyzna. - Dziś w nocy usłyszymy wiele bębnów. Tańce będą widowiskowe i zmysłowe.

Matt i Kerry kiwnęli głowami. Ich spojrzenia nagle się spotkały. Kerry uściśnęła ramię Matta, on zaś uśmiechnął się do niej, jakby chcąc ją zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Miała nadzieję, że się nie myli. Przez jej ciało przebiegały nerwowe dreszcze. Gdyby ktoś w tej chwili głośno krzyknął, dostałaby zapewne ataku serca.

Jakaś młoda kobieta, której strój wskazywał na to, że też może być królową wudu, przedzierała się przez tłum widzów, odbierając od nich kolorowe bilety. Matt i Kerry wręczyli jej swe purpurowe karty wstępu. Obejrzała je dokładnie, a potem odwróciła na drugą stronę.

Kerry ujrzała na niej dwa identyczne znaczki przypominające dłoń z trzema uniesionymi palcami. Sięgnęła do swej bransoletki i znalazła talizman z trzema kośćmi. Z jakiegoś powodu jego dotknięcie trochę ją uspokoiło.

Królowa wudu uśmiechnęła się do nich szeroko i kiwnęła głową na powitanie. Potem obrzuciła ich

oboje badawczym spojrzeniem i podeszła do mężczyzny, który siedział obok Matta. Kerry odetchnęła z ulgą. Miała wrażenie, że właśnie zdała jakiś ważny egzamin.

- Mój Boże! - mruknął Mart, który widocznie czuł to samo co ona. - To będzie bardzo interesujący wieczór.

Bębny zamilkły i nastąpiła głęboka, pełna napięcia cisza. Ucichł nawet wiatr. Stara królowa weszła na środek polanki i zaczęła krążyć wokół ogniska, nie odrywając wzroku od siedzących wokół ludzi. Kerry zauważyła, że niektórzy z nich pozdrawiają kobietę ruchem głowy, i doszła do wniosku, że muszą to być aktywni wyznawcy sztuki wudu.

Królowa pochyliła się nagle nad ogniskiem. Znad kłód drewna skoczyły w górę kilkumetrowe płomienie. Widzowie wydali stłumiony okrzyk zdumienia.

Płomienie zaczęły tańczyć w porywach wiatru. Zabrzmiał huk samotnego bębna. Kerry instynktownie przysunęła się bliżej Matta, który objął opiekuńczym gestem jej ramiona.

Stara królowa zaczęła się kiwać na boki, cicho klaszcząc w rytm uderzeń bębna. Po chwili usłyszeła bicie drugiego bębna, którego głos harmonizował z pierwszym.

Stara kobieta zaczęła uderzać stopami o twarde, ubity piasek. Kerry zauważyła, że nie ma ona butów, a jej stopy ozdobione są dzwoneczkami. Przypomniała sobie, że widziała podobne ozdoby

w sklepach z pamiątkami. Dzwonki połączone były elastycznym sznurkiem, którym można je było przyczepić do stóp. Czasem te „buty” udekorowane były plastikowymi kwiatami lub wstążkami.

Potem do królowej dołączyło grono młodych nowicjuszek. Rozległy się pieśni i rozpoczęły tańce. Niektóre z nich były powolne i delikatne, inne zmysłowe i dynamiczne. Wszystkim towarzyszyło nieustanne bicie bębnów.

Idąc za przykładem innych widzów, Kerry zaczęła klaskać w ręce i kołysać się w rytm melodii. Matt robił to samo, ale wydawał się trochę skrepowany i onieśmielony.

Gdy kobiety zaczęły obrzucać widzów pachnącymi płatkami egzotycznych kwiatów, Kerry poczuła dreszcz zachwytu. Tancerki wpadały stopniowo w ekstazę. Poruszały się jak duchy. Stara królowa skakała w górę tak wysoko, jak sięgały płomienie, lub kołysała się jak kłos zboża. W pewnym momencie zbliżyła się do Kerry i Matta, machając peleryną tak energicznie, że poczuli na twarzach powiew wiatru.

Kerry ogarnęło dziwne podniecenie. Wywołane ono było po części bliskością Matta. Czuła bijące od niego ciepło. Kiedy spojrzała w niezgłębione oczy królowej, wyczytała w nich niewidoczne dla innych przesłanie: Kerry i Matt zostaną kochankami.

Takie było zrządzenie losu. Kerry była tego

niewzruszenie pewna. Wiedziała też, że ta magia w niczym jej nie zaszkodzi.

Przypomniała sobie poprzedni dzień i ogarnął ją smutek. Żałowała, że nie ma tu Patti, że nie może podskakiwać i tańczyć w rytm magicznych dźwięków muzyki.

Postanowiła spytać starą kobietę, czy nie mogłoby zrobić czegoś, co pozwoliłoby Patti, Królowej Patrycji, znaleźć pośmiertny spokój. Poczwała na ręce czyjąś dużą, ciepłą dłoń. Uniosła głowę, spojrzała w oczy Matta i wyczytała w nich pytanie. Musiał zdać sobie sprawę, że myślała ze smutkiem o pięknej młodej dziewczynie, której śmierci nikt nie opłakiwał.

- Ja cię opłakuję - rzekła Kerry do ducha Patti, czując jego bliską obecność. Była przekonana, że gdyby ta dziewczyna żyła, zostałaby zapewne jej przyjaciółką.

- Dobrze się czujesz? - spytał Matt.

- Tak - odparła. - Wyjaśnię ci wszystko później.

Czuła w sobie rosnący niepokój, ale podjęła już decyzję. Postanowiła poświęcić resztę swego pobytu w Nowym Orleanie na poszukiwanie informacji o przeszłości Patti. Zamierzała też zadbać o to, by została ona pochowana w miejscu, w którym chciałyby spoczywać, a nie wrzucona do jakiegoś anonimowego zbiorowego grobu, w jakim składano anonimowych nędzarzy.

Nie wiedziała jeszcze, w jaki sposób doprowadzi

do odnowienia stosunków pięknej młodej dziewczyny z ludźmi, którzy ją kochali. Ale była pewna, że jej się to uda.

- Tędy - rzekła mistrzyni ceremonii, gdy uroczystość dobiegła końca, a w ognisku tliły się już tylko dogasające kawałki drewna.

Matt zbliżył się do Kerry, jakby chciał pokazać, że jest gotów ją ochraniać. Stara królowa uśmiechnęła się nieznacznie i wskazała ruchem głowy ścieżkę wiodącą między drzewami.

- Oświetlę wam drogę - powiedziała, wkładając do resztek ogniska dużą pochodnię, która natychmiast się zapaliła. - Chodźcie za mną.

Matt puścił Kerry przodem. Oboje szli za kobietą, która oddalała się od rozlewiska. Noc była niepokojąco ciemna. Księżyc, który zaledwie przed kilkoma dniami przypominał świecącą kulę, zniknął podczas ceremonii za gęstymi białymi chmurami. Stara królowa z pochodnią była ich jedyną towarzyszką. Inni goście szybko się rozeszli.

Matt miał nadzieję, że kierowca taksówki dotrzyma obietnicy i będzie na nich czekał. Kerry była już i tak wystarczająco wystraszona. Najwyraźniej traktowała całe to wudu dość poważnie. Jej reakcja na śmierć Patti budziła w nim niepokój. Nie chciał, by to dramatyczne wydarzenie wywarło negatywny wpływ na jej wrażliwą psychikę.

Sam nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Bądź co bądź prawie nie znał Kerry. Być może

oboje nie zdawali sobie sprawy, jak silny wpływ miała ta tragedia na ich samopoczucie.

- Czy знаła pani Królową Patrycję z muzeum?
- spytała Kerry starą kobietę.

- Byłam jej duchową przewodniczką przez ponad rok - odparła staruszka, odwracając twarz w stronę Kerry.

- W takim razie... w takim razie musi pani wiedzieć, że ona wczoraj w nocy umarła?

Matt dostrzegł, że kobieta jest wstrząśnięta. Zamrugała oczami i zacisnęła dłoń na pochodni. Potem odzyskała panowanie nad sobą.

- Nie, nie miałam o tym pojęcia. Jaka była przyczyna śmierci?

- Policja jeszcze nie jest tego pewna. Być może przedawkowanie. Może pani wie, czy ona brała narkotyki?

- Nie brała - oznajmiła stanowczo kobieta. - To byłaby zdrada uzdrowicielskiego ducha. - Milczała przez dłuższą chwilę. - On był jej duchem przewodnikiem. Powinna tu dziś być.

- Czy miała rodzinę? - zapytała Kerry. - Policjanci mówią, że jeśli nikt nie zgłosi się po jej ciało, zostanie pochowana w zbiorowym grobie.

Matt był zaskoczony dociekliwością Kerry, ale po chwili zdał sobie sprawę, że nie powinno go to dziwić. Ta dziewczyna przywiązuje wielką wagę do spraw rodziny i jest wyraźnie zdecydowana wynagrodzić Patti brak krewnych.

- Ona musi zostać oczyszczona - oznajmiła

kobieta, marszcząc jeszcze bardziej pobrużdżoną twarz. - Teraz może to zrobić tylko ogień.

- Co pani ma na myśli? - spytała Kerry.

- Musi zostać skremowana. A jej prochy powinny trafić do miejsca, w którym będzie mogła odpocząć.

- To znaczy gdzie? Czy pani wie, skąd ona pochodziła?

Królowa wudu nie odpowiedziała na jej pytanie, lecz ruszyła przed siebie, mruczając coś pod nosem. Matt poczuł wzrastające rozdrażnienie.

Usłyszał za plecami jakieś kroki, więc szybko się odwrócił. Szła za nimi z latarką w ręku młoda dziewczyna, która brała poprzednio udział w zbiorowych tańcach. Uśmiechnęła się i kiwnęła mu głową. Świat wydał mu się z powrotem normalny. Stara kobieta napawała go lekkim przestraszaniem.

Na skraju lasu ścieżka rozwidlała się. Matt ujrzał na drodze znajome światła samochodu. Ich kierowca dotrzymał słowa i przyjechał po nich w samą porę. Stara kobieta wybrała ścieżkę biegnącą z powrotem w kierunku drzew.

- Tędy - rzekła młodsza, prowadząc ich w stronę taksówki.

- Czy pani znała Patti? - spytała Kerry. - Ona występowała także jako Królowa Patrycja.

- Tak. Była moją przyjaciółką. - Milczała przez dłuższą chwilę. - Czy wiecie, jak umarła?

- Jeszcze nie... Będzie przeprowadzona sekcja

zwłok - odparła Kerry. - Podobno nie miała żadnej rodziny.

Młoda kobieta zamilkła i zeszywniała. Potem zaczęła wpatrywać się w Kerry. Matt bacznie ją obserwował.

- Czy mogę pani powrócić? - zapytała.

- To nie jest konieczne - odparła Kerry, wzruszając ramionami. - Patti zrobiła to zaledwie wczoraj.

Dziewczyna przeniosła spojrzenie swych otoczonych ciemnymi obwódkami oczu z Kerry na Matta.

- Na twojej ścieżce leży zmartwienie - rzekła cicho.

- Czy masz na myśli świetlistą ścieżkę? - spytała Kerry. - Już o niej słyszałam.

Młoda królowa nie zwróciła na nią uwagi.

- Patti wspominała czasem o plantacji, na której dorastała. Nazywała się Cordon Rouge. Nad rozlewiskiem Bayou Rouge. W muzeum mogą wiedzieć o niej coś więcej.

Odwróciła się i zniknęła między drzewami. Jej drogę znaczyły tylko błyski latarki. Matt i Kerry zostali w ciemnościach.

- Wygląda na to, że jesteśmy skazani na własne siły - mruknął Matt.

- Ścieżka prowadząca stąd do szosy jest stosunkowo prosta - oznajmiła Kerry, ruszając przed siebie.

Matt chwycił ją za rękę i szedł obok. Ścieżka po

chwili się rozszerzyła, ale Kerry nadal ścisnęła jego dłoń w taki sposób, jakby jej dotyk poprawiał jej samopoczucie.

- Co o tym myślicie? - spytał taksówkarz. - Czy ceremonia wydała wam się interesująca?

- Bardzo - odparła Kerry.

W drodze do hotelu Mart odzyskał spokój i zdał sobie sprawę, że był w ciągu ostatnich dwu godzin bardzo spięty.

- Ta stara królowa potrafi być czasem bardzo wyniosła - powiedział kierowca. - Widziałem, jak wypraszała z obrzędu ludzi, którzy jej się nie podobali. Turyści nie są tym zachwyceni.

- Może nie rozumieją, że ta ceremonia nie jest spektaklem odgrywanym dla ich rozrywki - wtrąciła Kerry.

- Ma pani zupełną rację - przyznał taksówkarz.

Kiedy wysunęła dłoń z ręki Marta, z trudem powstrzymał się, by jej nie objąć i nie przywrzeć do niej całym ciałem.

Zapadli w milczenie, które trwało aż do końca podróży. Dotarli do hotelu szybciej, niż się spodziewali.

- Jestem okropnie głodny - oznajmił Mart.
- Słyszałem, że tutejszy szef kuchni robi doskonałe desery. Czy nie moglibyśmy ich spróbować?

Uśmiechnęła się do niego tak serdecznie, że poczuł przyspieszone bicie serca.

- To świetny pomysł - powiedziała. - Zjedliśmy bardzo skromną kolację.

- Mam nadzieję, że nie dosypują papryki do ciasta - mruknął z rozbawieniem.

Weszli do restauracji, zamówili kawę bez kofeiny i poprosili o kartę deserów. Matt z zadowoleniem stwierdził, że Kerry coraz częściej się uśmiecha.

- Dziś jest tu o wiele spokojniej - zauważyła po chwili. - Ciekawa jestem, czy rozeszły się wieści o... o tym wszystkim, co się wydarzyło.

- Podejrzewam, że tak. Dziś po południu, kiedy wróciłem z degustacji win, widziałem sporo gości, którzy się wyprowadzali. Niektórzy zapewne i tak mieli wyjechać, ale jedna para mówiła głośno, że skraca pobyt ze względu na dziwne rzeczy, do których doszło w nocy. Ich pokój też został splądrowany.

- Awaria generatora prądu w czasie zaciemnienia wystawia hotelowi jak najgorsze świadectwo. A poza tym... a poza tym Patti...

- To była dziwna noc w Nowym Orleanie - podsumował poważnym tonem Matt. - Ale wydarzyło się też kilka dobrych rzeczy.

Kerry zerknęła na niego pytająco.

- Poznałem czarującą i życzliwą kobietę. To był niewątpliwy plus. Dziś obejrzelismy interesującą ceremonię, a ja oglądałem ją w dobrym towarzystwie.

- Ja też - odrzekła z uśmiechem. - Gdybym tam była sama, chyba umarłabym ze strachu.

Widząc jej pełne podziwu spojrzenie, poczuł się jak bohater.

- Spróbujmy wybrać jakiś deser - mruknął, biorąc do ręki kartę. - Chyba powinniśmy zamówić kilka różnych rzeczy.

- Nie ma mowy. Objadanie się słodyczami jest szkodliwe. - Kerry też zaczęła przeglądać listę dań. - O nie! Już same specjalności tej restauracji mogą człowieka przyprawić o zawrót głowy.

Remy Marchand, który zginął kilka lat wcześniej w wypadku samochodowym, wymyślił deser dla każdej ze swoich czterech córek.

- *Creme brulee a la Charlotte*, z bourbonem i posypyany czekoladą - czytał głośno Mart. - Tak się nazywa dyrektorka hotelu, ta kobieta, którą poznaliśmy wczoraj wieczorem.

- Deser neapolitański dla Sylwie - podjęła temat Kerry. - Trzy rodzaje lodów z białą i ciemną czekoladą i ciastkiem migdałowym.

- *Pavlova a la Renee*, czyli tort wypełniony ciepłym sosem z malin, podawany z likierem Chantilly i świeżymi owocami. W ustach się rozpływa. Jadałem pavlovą w Australii, kiedy moja rodzina spędzała tam wakacje. Wiele lat temu - dodał, widząc pytające spojrzenie Kerry.

- Posłuchaj, co wymyślił dla najmłodszej córki. Pikantna Melanie. Ciastko czekoladowe z bitą śmietaną, owiane lekkim aromatem chili.

Oboje wybuchnęli spontanicznym śmiechem. Matt dostrzegł zazdrosne spojrzenia kilku mężczyzn siedzących przy sąsiednim stoliku. Odruchowo uniośł rękę, chcąc położyć ją na dłoni Ker-

ry, by zademonstrować, że ta kobieta należy do niego, ale zdążył w porę się powstrzymać.

- No dobra, wybieram pikantną Melanię - oznajmił.

- A ja miałabym ochotę skosztować wszystkiego - przyznała z westchnieniem Kerry.

- Czy moglibyśmy dostać małą porcję każdej z waszych specjalności? - spytał Matt, kiedy podszedł do nich kelner. - Wszystkie zapowiadają się tak wspaniale, że nie możemy podjąć decyzji.

- Oczywiście, proszę pana.

- I szklankę mleka - dodała Kerry.

- A dla mnie drugą.

Kiedy zostali sami, Kerry wyjaśniła, że jej dziadkowie prowadzili hodowlę krów, więc jako dziecko dostawała mleko do wszystkich posiłków i nauczyła się popijać nim deser.

Matt przypomniał sobie prośzone kolacje wydawane przez jego rodziców. Składały się one zwykle z pięciu dań, a do każdego z nich podawano inne wino. W zwykłe dni jemu i jego siostrze przynoszono tacę do dziecinnego pokoju. Ich rodzice spędzali wieczory w mieście, a jeśli nawet byli w domu, to woleli jadać bez towarzysztwa dzieci.

Wyparł z pamięci te wspomnienia i zaczął obserwować Kerry. Coraz bardziej był przekonany, że ma do czynienia z niezwykłą kobietą. Była dobra i życzliwa wobec innych, a równocześnie przejawiała godną podziwu niezależność sądów

i silną wolę. Po raz kolejny tego dnia poczuł ucisk w klatce piersiowej. Nie doświadczył go nigdy dotąd, więc podejrzewał, że musi mieć jakiś związek z jej obecnością.

- Popatrz! - zawołała nagle. - To jest dzieło sztuki! Nie jestem pewna, czy mamy prawo je zjeść.

Uśmiechnięty kelner postawił na środku stołu dużą, udekorowaną kwiatami i owocami patere, na której stały w kryształowych miseczkach próbki różnych deserów.

- Proszę skosztować wszystkich czterech specjalności i powiedzieć mi, która jest najlepsza - powiedział, układając przed nimi srebrne sztućce.

- Tak zrobimy - obiecała Kerry, biorąc do ręki widelczyk.

- Od czego zaczniemy? - spytał Matt.

- Może od pikantnej Melanii?

- A więc proszę bardzo. - Odkroił kawałek ciasta, a potem posmarował je grubą warstwą bitej śmietany i podał z uśmiechem Kerry.

Włożyła je do ust, a potem oznajmiła, że jest to jeden z najlepszych deserów, jakie jadła w życiu. Matt nie mógł oderwać oczu od jej warg. Wyobrażał sobie, jak słodki musi być ich dotyk.

Zrezygnowali z talerzyków i jedli prosto z patery, wychwalając zalety poszczególnych przysmaków i spierając się o to, któremu z nich przyznać palmę pierwszeństwa.

Wkrótce po północy odeszli od stołu, zostawia-

jąc na nim spore porcje deserów, których nie byli w stanie zjeść.

- Chyba będę musiała pływać przez wiele godzin, żeby spalić te wszystkie kalorie.

- Moim zdaniem nie musisz się o to martwić
- odparł Mart, obrzucając spojrzeniem jej zgrabną sylwetkę.

Otworzył furtkę prowadzącą do ogrodu i odprowadził ją pod drzwi jej pokoju, chcąc się upewnić, że dotrze do niego bez żadnych przygód.

- Dziękuję, że poszedłeś ze mną na te obrzędy
- powiedziała, przekręcając klucz w zamku.

Mart ujrzał jej łóżko i poczuł przypływ pożądania. Miał ochotę wziąć ją na ręce, wnieść do pokoju i zostać w nim bardzo długo.

- Wiem, że może jest na to trochę za wcześnie... - mruknął stłumionym głosem, a potem chwycił ją w ramiona.

Otworzyła oczy ze zdumienia, ale nie zaczęła się wyrywać. Jej ciepłe usta miały smak czekolady i dobrej kawy. Matt przytulił ją do siebie jeszcze mocniej, a potem uniósł w górę i stanął w cieniu rosnącego w donicy drzewa, które rozpostarło nad nimi parasol dyskrecji. Kerry wydała cichy jęk rozkoszy i przywarła do niego całym ciałem. Nie wypuszczając jej z objęć, usiadł na ławce i posadził ją sobie na kolanach. Miał ochotę rozedrzeć swoją koszulę, by mogła dotknąć ręką jego skóry. Przesunął dłonią po jej plecach, a potem nieśmiało położył ją na jej piersi. Poczuł, że zeszywniała.

- Kerry... - mruknął cicho.
 - Myślę... że jest już bardzo późno - powiedziała drżącym głosem, a on natychmiast postawił ją na ziemi.
 - Masz rację. Powinienem już iść... - Urwał, mając nadzieję, że go zatrzyma, wiedząc jednak, że nie wchodzi to w rachubę. - Dobranoc, Kerry. To był bardzo interesujący wieczór.
 - Ja też świetnie się bawiłam - szepnęła cicho.
- Gdy tylko weszła do swego apartamentu, Matt pospiesznie udał się do własnego pokoju. Tym razem wszystko wyglądało normalnie. W jego łóżku nie leżała żadna nieznajoma kobieta, a wszystkie meble stały na swoich miejscach.
- Cóż z tego, kiedy nie ma tu Kerry...-mruknął, zdając sobie sprawę, że choć zna ją dopiero jeden dzień, już za nią tęskni.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kerry ziewnęła, a potem wypła kolejny łyk kawy. Była siódma rano, a ona nie spała już od godziny. W jej myślach panował lekki chaos, wypełniony szczegółami ubiegłego wieczoru. Kiedy Matt ją pocałował, omal nie straciła panowania nad sobą. To wydawało jej się zaskakujące. Ale najdziwniejsze było to, że po powrocie do pokoju miała sobie za złe tak przesadną reakcję na jego pieszczoty.

Wyśmiewała w duchu samą siebie. Większość ludzi żałuje swych impulsywnych zachowań. Ona była na siebie zła za tę chwilę wahania. Potrząsnęła głową, przypominając sobie znaczący uśmiech starej królowej i jej przekazaną telepatycznie zapowiedź, że ona i Matt zostaną kochankami. Właśnie ta wróżba sprawiła, że Kerry zeszywniała, gdy Matt dotknął jej piersi. Przeraziła ją myśl, że mogłaby przeżyć coś, co zostało z góry przewidziane.

A Matt uznał ją zapewne za dziwaczkę.

Westchnęła. Był najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jakiego poznała od bardzo dawna. Nie chodziło tylko o jego aparycję. Był życzliwy i ser-

deczny. Musiała jednak przyznać sama przed sobą, że przez całą noc pojawiał się w jej erotycznych snach, więc musiał chyba pociągać ją fizycznie...

- Witaj, sąsiadko - usłyszała zza płotu, który dzielił ich ogródki.

- Cześć, Mart. - Choć chciała grać rolę spokojnej i opanowanej, mimo woli zacisnęła dłoń na filiżance i rozlała kilka kropel kawy na stół.

- Czy mogę do ciebie wpaść?

- Oczywiście - odparła, wycierając blat serwetką.

- Wcześniej dziś wstałaś - zauważył, wchodząc do jej ogródka.

- Tak, nie mogłam... nie chciałam tracić tak pięknego dnia.

Posłała mu czarujący uśmiech, a potem spojrzała na niego badawczo. Odniosła wrażenie, że jest zdenerwowany albo przygnębiony. Przygotowała się wewnętrznie na to, co zamierzał jej powiedzieć. Postanowiła zachować spokój i pogodę ducha bez względu na treść jego przesłania.

- Chcę cię przeprosić za wczorajszy wieczór - powiedział, patrząc jej głęboko w oczy.

Kiwnęła głową, powstrzymując się wysiłkiem woli od zawołania: Ależ ja byłam zachwycona!

- Nie mam zwyczaju narzucać się kobietom, które nie mają na to ochoty - dodał po chwili, starannie dobierając słowa.

- Nic się nie stało, Matt. Nie chodzi o to, że nie miałam na to ochoty. Byłam tylko zaskoczona.

- Więc mi wybaczysz? - spytał z nadzieją w głosie.

- Nie mam ci nic do wybaczenia - oznajmiła.

- Czy zechcesz się do mnie przyłączyć? Jeśli nie jadłeś jeszcze śniadania, to polecam ci dzisiejsze specjalności dnia.

- Dziękuję - mruknął, siadając naprzeciwko niej przy stole.

Poranek był jeszcze chłodny, ale Kerry czuła na plecach dotyk ciepłych promieni słońca. Spojrzała na swego towarzysza i zauważyła po raz kolejny, że jest bardzo przystojny. Z przyjemnością stwierdziła również, że mówiąc do niej, patrzył jej zawsze prosto w oczy.

Zanim zdążyła zaproponować, by zamówić telefonicznie drugi zestaw śniadaniowy, zjawił się kelner, który obsługiwał ją poprzednio, niosąc nowy dzbanek kawy.

- Czy pan też będzie jadł śniadanie? - spytał Marta, napełniwszy filiżankę.

- Tak, proszę o dzisiejsze specjalności dnia - odparł Matt, wskazując talerz Kerry.

- Czy będzie pan również pił mleko?

- Nie, tylko sok pomarańczowy.

Kiedy kelner odszedł, Kerry uśmiechnęła się z zachwytem.

- Te wczorajsze obrzędy były niesamowite, prawda? Bębny, ognisko, tańce i wudu... Być może to one wywarły na nas taki wpływ, że... chodzi mi o to, co nastąpiło później.

- Być może - odparł Matt, kiwając głową.
- Ale ja dostrzegłem twój nieodparty urok jeszcze przed tą ceremonią.

Jego słowa obudziły w niej falę podniecenia, jakiego nigdy dotąd nie przeżyła. Opuściła wzrok na filiżankę z kawą, by nie wyczytał w nim pożądania.

Nie była obojętna na sprawy seksu, ale nie uważała się za osobę szczególnie namiętną. Nie miała zwyczaju wskakiwać do łóżka każdemu przystojnemu mężczyźnie, jakiego poznała. Towarzystwo Marta budziło jednak w jej myślach nieoczekiwane skojarzenia.

- Sporo przeżyliśmy podczas tej krótkiej znajomości - powiedziała cichym głosem. - Chyba właśnie dlatego wydajemy się sobie tak bliscy. A może jest to magiczny urok Nowego Orleanu.

- Masz na myśli czarną czy białą magię? - spytał z uśmiechem.

- Sama nie wiem - odparła, z trudem wytrzymując jego badawczy wzrok. - Wiem natomiast, że chcę się czegoś dowiedzieć o Patti. Na przykład skąd pochodziła i co się stanie z jej... szczątkami.

- Chcesz sprawdzić, czy władze pozwolą nam zająć się kremacją zwłok?

- Myślisz, że to jest możliwe? Chciałabym się też dowiedzieć, gdzie jest plantacja, o której wspomniała ta kobieta...

- ... żeby jej duch mógł znaleźć wieczny spokój
- dokończył Mart, a Kerry poczuła zdziwienie, że tak łatwo czyta w jej myślach.

- Sama nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się to bardzo ważne. Nigdy nie wierzyłam w wudu ani w tego rodzaju rzeczy, ale chciałabym to dla niej zrobić. Było w niej coś, co budziło we mnie wrażenie, że doskonale ją znam. Potraktowała mnie bardzo przyjaźnie, więc nie mogę znieść myśli o tym, że nikt jej nie opłakuje. Mam tak dużą rodzinę, że wydaje mi się to niewyobrażalne.

- Może uda nam się kogoś znaleźć - odparł Matt. - Skoro pracownicy restauracji nie są w stanie udzielić żadnych informacji, zajdźmy do tego muzeum i sprawdźmy, co o niej tam wiedzą.

- Doskonały pomysł.

W tym momencie zjawił się kelner z tacą w ręku. Przez następną godzinę Matt i Kerry zajmowali się układaniem planu działania.

Zatrzymała się przed bramą muzeum z takim wyrazem twarzy, jakby przewidywała, że czekają tam na nią złe wiadomości.

- Co się stało? - zapytał cicho Matt.

- Byłam tu po raz pierwszy zaledwie dwa dni temu, w sobotę o drugiej po południu, bo tak poradziła mi Patti. Ale mam wrażenie, że od tej pory upłynęło mnóstwo czasu.

- To dlatego, że tak wiele się tymczasem wydarzyło - mruknął, otwierając drzwi.

Weszli do wnętrza. Kerry ponownie poczuła silny zapach kadzideł, ale tym razem zwróciła

również uwagę na odór wilgoci kojarzący się jej z rozkładem i śmiercią.

Czekając na nadejście pracownika muzeum, stała obok stołu, przy którym piła herbatę z Patti. Po chwili usłyszała, że ktoś schodzi po schodach z piętra domu. Był to jakiś brodaty, jasnowłosy mężczyzna. Choć wyglądał na czterdziestolatka, zaczynał już lekko siwieć.

- Witam - powiedział z przyjaznym uśmiechem.

Kerry stwierdziła z ulgą, że nieznajomy ma na sobie wypłowiałe džinsy i sportową koszulkę. W jego przebitym łuku brwiowym błyszczało małe złote kółeczko.

- Dzień dobry - odpowiedzieli równocześnie, a potem Matt poprosił Kerry wymownym gestem o zabranie głosu.

- Przyszliśmy tu w sprawie Patti - zaczęła niepewnie. - To znaczy Królowej Patrycji.

- Rozmawiałem wczoraj z policją - powiedział ze smutkiem mężczyzna. - Powiedzieli mi, co się stało. Czy jesteście jej przyjaciółmi?

- Poznaliśmy ją niedawno - odparł Matt. - Chcielibyśmy się dowiedzieć, skąd pochodziła i czy miała jakąś rodzinę.

Mężczyzna potrząsnął przecząco głową.

- Powiedzieliśmy policjantom wszystko, co wiemy, czyli niewiele. Mojej żonie i mnie będzie jej brakować. Była bardzo odpowiedzialną pracownicą. Lubili ją też turyści.

- Zrobiła mi zdjęcie z Jolie, żebym mogła za-
imponować mojemu siostrzeńcowi - oznajmiła
Kerry.

- Tak, ona radziła sobie doskonale z pytonami
- potwierdził właściciel muzeum. Potem przez
chwilę patrzył na nich w milczeniu. - O ile wiem,
nie miała rodziny.

- Och! - jęknęła zawiedziona Kerry.

- Może uda się państwu dowiedzieć czegoś
więcej od ludzi, z którymi przygotowywała pływają-
cą platformę mającą wziąć udział w paradzie
karnawałowej. Mówiła nam, że jej przyjaciel jest
jednym z organizatorów, a jego ojciec ma być
królem załogi.

Kerry usiłowała wywołać z pamięci swoje skąpe
wiadomości na temat tego rodzaju defilad. „Zało-
gę” stanowiła grupa sponsorów finansujących bu-
dowę danej łodzi. W jej skład wchodził król, któ-
rym był zwykle starszy i szanowany obywatel mia-
sta, oraz królowa - często młoda i piękna kobieta.
Ale wszystko to wydawało jej się w tej chwili mało
ważne. Przypomniała sobie, że policjant wspominał
o jakimś chłopcu Patti. To była jak dotąd jedy-
na obiecująca informacja.

- Czy wie pan, gdzie jest budowana ta plat-
forma?

- Tak. Pokażę wam to miejsce na planie miasta.
- Otworzył leżącą na stole reklamową broszurę
i zaznaczył na mapce literą X położenie muzeum,
a potem miejsce, w którym znajdował się wspo-

mniany przez niego hangar. Stał on tuż nad rzeką, za Dzielnicą Francuską.

- Czy nie zna pan nazwiska tego przyjaciela?
- spytał Matt.

- Przykro mi, ale nie znam. Patti traktowała wszystkich bardzo życzliwie, ale zachowywała dyskrecję w swoich sprawach osobistych. Opowiedała nam jednak zabawne historie o swojej pracy, podczas której musiała sobie radzić z setkami ochotników.

- Bardzo dziękujemy - powiedziała Kerry, zając sobie sprawę, że nie wyciągną już z tego człowieka żadnych ważnych informacji.

Mart również wyraził swą wdzięczność i uściśnął dłoń mężczyzny. Potem oboje wyszli na ulicę, przystanęli w cieniu drzewa i zaczęli oglądać mapę.

- Musimy posuwać się tym kierunkiem - oznajmił Matt. - To miejsce jest oddalone o kilka przecznic. Wolisz iść piechotą, czy łapiemy taksówkę?

- Chętnie się przejdę. Jeśli mam nadal jadać te wspaniałe desery, to będę potrzebowała dużo ruchu.

- W porządku. Zejdźmy nad rzekę i idźmy wzdłuż brzegu, podziwiając przy okazji widoki.

Podsunał jej ramię, a ona wzięła go pod rękę w taki sposób, jakby uważała to za zupełnie naturalne. Potem ruszyli w kierunku nadbrzeża.

Po jakimś czasie dotarli do ulicy, która wiodła

w stronę dzielnicy portowej. Nazywała się Tchou-pitoulas, ale żadne z nich nie wiedziało, jak należy wymawiać to słowo.

- Zapytamy o nią w tym hangarze, a potem popłyniemy na spacer parowcem - zaproponował Matt. - Moglibyśmy zjeść lunch na pokładzie.

- To brzmi zachęcająco. Chciałabym też zwiedzić kilka plantacji.

- W porządku, a więc mamy już plan działania.

Uśmiechnął się do niej tak serdecznie, że poczuła przyspieszone krążenie krwi. Omijając tereny, na których odbudowywano domy zniszczone w wyniku huraganu, dotarli do bulwaru, na którym roіło się od galerii i sklepów.

Kiedy dotarli w końcu do miejsca zaznaczonego na planie miasta przez właściciela muzeum, ujrzeli przed sobą ogromny barak. Jego wrota były otwarte na oścież. Wokół imponującego szkieletu ozdobionej kwiatami platformy krzątała się gromadka ochotników.

- Ona chyba ma przedstawiać ogród - mruknęła Kerry.

.- Ma pani rację - potwierdził wysoki, przystojny młody człowiek, który podszedł do nich szybkim krokiem z ołówkiem i notesem w ręku. Miał czarne włosy oraz niebieskie oczy i wyglądał najwyżej na dwadzieścia pięć lat. - Czy wchodzicie w skład naszego zespołu?

- Nie - odparł Matt. - Jestem Matt Anderson. Poznaliśmy się wczoraj w domu twojego ojca.

- Ach, tak, oczywiście. - Mężczyzna przełożył ołówek do drugiej ręki i uściśnął jego dłoń. - Przepraszam, że cię nie poznałem.

- Kerry, to jest Jason Pichante. Jego ojciec zorganizował degustację win, w której brałem udział wczoraj po południu. Kerry Johnston, tak jak ja, zwiedza wasze piękne miasto.

- Życzę miłego pobytu - powiedział Jason z uśmiechem, po czym nagle spoważniał. - Bardzo mi przykro, ale wolno tu wchodzić tylko osobom zatrudnionym przy budowie platformy. Możecie obserwować wszystko z zewnątrz albo pomóc nam przy urządzaniu ogrodu.

Mart spojrzał na Kerry, a ona kiwnęła głową. Nie chciała tracić takiej okazji. Miała nadzieję, że poznają przyjaciela Patti, a on pomoże im znaleźć jej krewnych lub przynajmniej powie im, że nie miała żadnej rodziny.

- Praca przy takiej budowie to chyba świetna zabawa - stwierdził Matt, zwracając się do Kerry. - Będziemy mogli się tym chwalić przed przyjaciółmi i krewnymi, oglądając w telewizji paradę na wodzie.

- Pewnie będziemy wtedy zasypani śniegiem i zaczniemy marzyć o powrocie do Nowego Orleanu - dodała Kerry.

- W takim razie podajcie mi swoje nazwiska i adresy - poprosił Jason. - Będziecie musieli podpisać dokumenty zwalniające nas od odpowiedzialności, gdyby doszło do wypadku.

Przyjął od nich dane personalne i podsunął im odpowiednie formularze wymagane przez firmy ubezpieczeniowe. Potem przedstawił swoją asystentkę, sympatyczną młodą blondynkę, która nazywała się Ashley James.

- Witajcie w naszej drużynie! - zawołała z entuzjazmem. - Ja jestem tylko roboczą mrówką. Jason należy do głównych organizatorów parady, a jego ojciec jest królem załogi.

- Co mamy robić? - spytał Matt, zanim Kerry zdążyła powiedzieć cokolwiek o przyjacielu Patti.

Ashley kazała im rozciągać między słupkami odcinki drutu, na których miały wisieć sztuczne kwiaty. Wysłuchali uważnie jej instrukcji i zabrali się do roboty.

Po dwóch godzinach pracy ogłoszono przerwę. Cały zespół, liczący osiem osób, zasiadł do posiłku złożonego z ciastek i coca-coli lub mrożonej herbaty.

- Jedz ostrożnie - powiedziała Ashley, kiedy Kerry sięgnęła po kawałek tortu. - W tych królewskich ciastach są ukryte różne talizmany.

- Pracuję w gabinecie stomatologicznym, więc wiem, czym to może grozić. Nie chciałabym złać zęba na jakimś świecidełku.

Oboje z Mattem siedzieli obok siebie pod ścianą baraku. Czuła jego bliskość i z coraz większym trudem odpędzała od siebie myśli o tym, jak bardzo by chciała, by ją objął.

- Czy myślisz, że Jason Pichante może być tym

przyjacielem Patti, o którym wspominał właściciel muzeum? - spytała cicho, przypominając sobie o celu ich pobytu w hangarze.

- Nie jestem pewien. Jason pochodzi ze starej nowoorleańskiej rodziny. Chyba nie zadawałby się z kelnerką i królową wudu, chyba że... - Urwał nagle i zaczął się nad czymś zastanawiać.

- Chyba że co?

Matt opowiedział jej o wyraźnym napięciu, jakie panowało między ojcem i synem podczas degustacji wina.

- Kiedy Jason wyszedł z pokoju, zatrzasnął za sobą drzwi, stary pan Pichante powiedział nam, że jego syn jest zakochany w osobie, która nie zostanie zaakceptowana przez rodzinę.

- Czyli takiej jak Patti - dokończyła z oburzeniem Kerry. - Czy sądzisz, że Jason wie o jej śmierci? Przecież musieli o tym pisać w gazetach. Ten właściciel muzeum mówił nam, że pytała o nią policja. Nie wspominał o nikim innym.

- Nie jesteśmy wcale pewni, że to on był tym przyjacielem - przypomniał jej Matt. - Musimy się tego od kogoś dowiedzieć. Spróbujmy zacząć od Ashley.

Kerry kiwnęła głową i odgryzła kawałek cynamonowego ciasta ozdobionego złotym, czerwonym i zielonym lukrem.

- Och... - mruknęła, ostrożnie wyjmując jakiś ukryty w cieście przedmiot. - To jest mała lalczka... jakieś dziecko.

W tym momencie zbliżyła się Ashley i usiadła obok nich na podłodze.

- Ona przynosi szczęście - oznajmiła. - Przedstawia Dzieciątko Jezus. A te trzy kolory są symbolami darów, jakie złożyli nowo narodzonemu Chrystusowi Trzej Królowie.

- Święto Trzech Króli upamiętnia noc, podczas której znaleźli stajenkę i złożyli swe podarunki - dodał Matt. - Czytałem o tym w książce, którą pokazywano nam w muzeum.

Kerry uznała tę wypowiedź za dobry pretekst do zmiany tematu i spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Czy znałaś dziewczynę, która pracowała tam jako przewodniczka? - spytała, zwracając się do Ashley. - Królową Patrycję?

- Patti? Oczywiście. - Ashley wydawała się zaskoczona. - Ona też pracuje przy przygotowaniach do parady, ale dziś rano się nie zjawiła.

- A więc nie wiesz, że w sobotę wieczorem przedawkowała? - zapytała Kerry.

- Przedawkowała? Mam nadzieję, że nic jej się nie stało?

- Nie żyje - oznajmiła Kerry.

W oczach dziewczyny pojawił się wyraz przeżenienia.

- Nie przyszła też do pracy wczoraj po południu - wymamrotała Ashley. - Jason był bardzo wzburzony, kiedy o nią spytałam. Mój Boże, czy on już o tym wie?

- A czy był jej chłopcem? - spytała Kerry.

Ashley spojrzała na nią uważnie, lecz milczała.

- Właściciel muzeum powiedział nam, że miała chłopca, którego ojciec miał wystąpić w roli króla - ciągnęła Kerry. - I że należała do jego drużyny. Dlatego tu przyszliśmy...

- Nie zadawajcie żadnych pytań - przerwała jej pośpiesznie Ashley.

- Dlaczego? - W głosie Matta pobrzmiwała irytacja.

Ashley rozejrzała się wkoło tak trwożliwie, jakby sądziła, że może ją podsłuchiwać tajna policja.

- Jason pochodzi z bardzo starej i wpływowej nowoorleańskiej rodziny. Oni zadbają o jego bezpieczeństwo, jeśli spróbujecie go wciągnąć... w jakąś aferę.

- Taką jak śmierć młodej dziewczyny, z którą się spotykał? - zapytał Matt. - Młodej dziewczyny, która nie była odpowiednią kandydatką na jego żonę?

Oczy Ashley wypełniły się łzami.

- Patti była moją przyjaciółką. Pochodziła z rodziny, która była niegdyś równie bogata i szanowana jak państwo Pichante, ale straciła niemal cały majątek już dawno temu. Kiedy Patti miała osiem lat, jej ojciec przetrwoniał wszystko, co zostało.

- To znaczy?

- Zanedbaną i źle prowadzoną plantację. Tak twierdziła Patti. Jej ojciec popełnił samobójstwo, a matka zginęła rok przedtem w wypadku samochodowym.

- Więc Patti została oddana do sierocińca lub rodziny zastępczej? - spytała Kerry, ale Ashley potrząsnęła głową.

- Jej ciotka poślubiła bogatego człowieka. Oboje z mężem przygarnęli Patti, ale chyba nie była tam szczęśliwa. Nie byli zadowoleni, że mieszka pod ich dachem, i stale powtarzali, że tolerują jej obecność tylko z litości.

- A jak poznała Jasona?

- Na uniwersytecie. Jej krewni wysłali ją do Newcombe College w Tullane. Tam studiują ludzie z ich sfery, więc Patti musiała zgodzić się z ich wyborem.

- Czy zrobiła dyplom?

- Tak, ukończyła wydział sztuk pięknych.

- Ashley skrzywiła się. - Cśś... Nadchodzi Jason.

- Chcę z nim porozmawiać - oznajmiła Kerry.

- W takim razie bądź ostrożna. - Ashley wstała i podeszła do stołu, by na nowo napełnić swoją szklankę mrożoną herbatą.

- Czy podoba wam się praca przy łodzi? - spytał Jason, podchodząc do Kerry i Marta.

- Tak, to interesujące przeżycie - odparł przyjaznym tonem Matt, a potem nagle spoważniał.

- Chcielibyśmy cię o coś zapytać.

Jason obrzucił go czujnym spojrzeniem.

- Interesuje nas osoba Patti Ruoui. Rozmawialiśmy z właścicielem muzeum, w którym była zatrudniona. Powiedział nam, że miała przyjaciela, którego ojciec jest królem ich załogi. Policja też uważa, że miała jakiegoś chłopaka. Czy nie chodzi przypadkiem o ciebie?

Młody człowiek zbladł. Potem na jego policzkach pojawiły się dwie ciemne plamy.

- Patti była tylko koleżanką, z którą spotykałem się od czasu do czasu - odparł, starannie dobierając słowa. - Pracowała w naszej ekipie przy budowie platformy.

- Więc nie łączyła was bliższa znajomość?

- Nie. - Jason wstał. - Pora wracać do pracy. Do widzenia.

- Czy spędziłeś z nią sobotni wieczór? - spytał Matt.

Jason spojrział na niego tak wyzywająco, jakby chciał dać mu do zrozumienia, że wtrąca się w nie swoje sprawy.

- Dlaczego o to pytasz?

- Dlatego, że tego wieczoru najwyraźniej przedawkowała. Ktoś, kto był przekonany, że umarła, zostawił ją w pokoju hotelowym. W moim pokoju.

- *Mon Dieu* - mruknął Jason. - Czy to znaczy, że ona... nie żyje?

Kerry usłyszała w jego głosie niepewność. Zauważyła, że nie odpowiedział jednoznacznie na pytanie Matta, więc stała się jeszcze bardziej po-

dejrziwa. Zastanawiała się, czy mógł spędzić z Patti sobotni wieczór, a potem zostawić ją własnemu losowi, w przekonaniu, że po prostu straciła przytomność.

- Tak - oznajmił chłodnym tonem Matt - ona umarła. O ile wiem, dziś ma zostać przeprowadzona sekcja zwłok.

- Rozumiem. Znam kogoś w zakładzie medycyny sądowej. Zatelefonuję tam, żeby spytać, czy wiedzą... jaka była przyczyna śmierci.

Odszedł bez słowa, a potem zatrzymał się na chwilę obok Ashley, by udzielić jej jakichś poleceń dotyczących pracy załogi. Dziewczyna kilkakrotnie kiwnęła głową, a potem rzuciła im ostrzegawcze spojrzenie i wraz z innymi ochotnikami wróciła do pracy.

- Chodźmy stąd - zaproponował Matt. - Myślę, że nie dowiemy się już niczego więcej.

- Zgadzam się.

Pomachali Ashley na pożegnanie, a potem wyszli z budynku na zalaną słonecznym światłem ulicę.

- Jest już po jedenastej - stwierdził Matt.

- Spróbujmy kupić bilety na ten statek.

- Doskonały pomysł.

Dotarli autobusem do nadrzecznego parku i znaleźli kasę, w której sprzedawano karty wstępu na wielkie, staromodne parowce. Kiedy Kerry oświadczyła, że chce sama zapłacić za swoją przejażdżkę i zwiedzanie plantacji, Matt od razu się na

to zgodził. Nie chciał grać roli bogacza z wielkiego miasta, gdyż wiedział, że byłoby to dla niej obraźliwe.

Dzięki temu zyskał w jej oczach dodatkowy punkt;

Lista jego zalet robiła się coraz dłuższa. Był nie tylko czarujący, lecz również tak delikatny, jak żaden ze znanych jej dotąd mężczyzn. Może dlatego, że zwracała na niego większą uwagę niż na kogokolwiek innego. Tak dobrze rozumieli swoje myśli, że wydawało jej się to zachwycające i zaskakujące, a nawet nieco przerażające.

Czyżby rzucono na nią jakiś urok? Zaśmiała się w duchu z własnej skłonności do koloryzowania rzeczywistości. A potem przypomniała sobie słowa Królowej Patrycji.

Podążaj świetlistą ścieżką...

Czując, że jej tętno robi się coraz szybsze, wciągnęła głęboko powietrze. Czyżby Matt miał być jej towarzyszem podróży i przeżyć wraz z nią tę fascynującą przygodę? Czyżby miał zostać jej przewodnikiem po magicznej krainie miłości i niezwykłych przeżyć, w której spędzała najdziwniejsze wakacje swego życia?

Miała nadzieję, że tak właśnie będzie. I bardzo tego pragnęła.

Kilka minut po dwunastej stali już na pokładzie staromodnego parowca płynącego z głośnym warkotem w górę rzeki. Mijał ich właśnie jakiś inny

statek, z którego dochodziły donośne dźwięki organów parowych.

- Ryczy tak głośno, jakby chciał obudzić umarłych! - zawołała Kerry, pochylając się do ucha Matta.

- A może żywych! — odkrzyknął głośno. Jego usta znalazły się tak blisko jej ucha, że z widocznym trudem opanował pokusę, by ją pocałować. Zauważyła to i poczuła żal, że tego nie zrobił. Nie tylko nie miałyby pretensji, lecz chętnie poszłyby w jego ślady.

Pochłonięta tymi myślami nie od razu zauważyła, że przyniesiono zamówione przez nich dania. Kiedy je dostrzegła, zaczęła się zastanawiać, czy zdoła zjeść olbrzymią kanapkę, która leżała na jej talerzu.

- Przecież tego jest o wiele za dużo jak na nasze możliwości - zawołała z uśmiechem.

- Mów za siebie - odparł Matt. - Ja jestem potwornie głodny po tej pracy. Myślałem, że spędzimy przy tej łodzi najwyżej pół godziny.

- Musieliśmy zdobyć zaufanie Ashley, żeby zechciała z nami rozmawiać. - Kerry wzięła do ręki nóż i zaczęła kroić swą porcję na małe kawałki.

- Jason kłamał - oznajmił Matt. - On i Patti byli czymś więcej niż tylko kolegami z pracy.

- Zgadzam się. Udawał obojętność, ale czy zauważyłeś, jak zbladł, kiedy zaczęliśmy o niej mówić? A na jego policzkach pojawiły się czerwone plamy!

Matt kiwnął potakująco głową.

- Nie rozumiem, jak on mógł tak spokojnie odejść, kiedy powiedzieliśmy mu o jej śmierci. Zachował się, jakby ta wiadomość wcale go nie zaskoczyła.

- Może istotnie go nie zaskoczyła - mruknął z namysłem Matt, a potem pogłaskał grzbietem dłoni policzek Kerry. - Kochanie, w tej całej sprawie jest jeszcze mnóstwo zagadek, które musimy wyjaśnić.

scandalous

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kerry obudziła się z krótkiej popołudniowej drzemki w stanie letargicznego zamroczenia. Przez chwilę była całkowicie zdezorientowana.

- Och... -jęknęła cicho, wstając i przeciągając się w taki sposób, jakby przebiegła właśnie maraton. Od przyjazdu do Nowego Orleanu często chodziła piechotą, a praca przy budowie platformy, podczas której musiała trzymać nad głową naciągnięte druty, przyprawiła ją o ból mięśni rąk, nóg i karku.

Po zwiedzeniu jednej ze słynnych plantacji położonych wzdłuż brzegu Missisipi oboje z Mattem wrócili parowcem do miasta. Kerry postanowiła się zdrzemnąć, a on wyszedł z hotelu, by załatwić jakieś swoje sprawy.

Zaczęła go pytać, co zamierza robić, ale na szczęście w porę się powstrzymała. W jej rodzinie nie było żadnych tajemnic. Wszyscy z reguły pytali krewnych o radę i konsultowali się z nimi w najdrobniejszych nawet sprawach. Ale z Mattem było inaczej. Choć miała wrażenie, że zna go od zawsze, nie była pewna, czy nie dopatrzyłby się w jej pytaniu nadmiernej dociekliwości, a nawet wścibstwa.

Zastanawiała się, czy on odczuwa w stosunku do niej to samo, co ona w stosunku do niego. Głaszcząc ją po policzku, powiedział „kochanie”, ale być może po prostu wyczuł jej niepokój i chciał zademonstrować swe współczucie? Sama nie wiedziała, dlaczego czuje się tak silnie związana zarówno z nim, jak i z Patti. Zbieg okoliczności, który splótł ze sobą ich losy, wydawał się jej dziwny i zagadkowy.

Kiedy wstawiała z łóżka, przyczepione do jej bransoletki amulety zaczęły głośno brzęczeć. Kiedy spojrzała na trzy skrzyżowane kości, poczuła nagły dreszcz. Trzy skrzyżowane z sobą drogi życiowe... Jedna z nich dobiegła już końca, i to w tragicznych okolicznościach...

A co będzie ze mną i z Mattem?

Gdy zdała sobie sprawę, że Mattowi może się wydarzyć coś strasznego, do jej oczu napłynęły łzy. Otarła je grzbietem dłoni, a potem potrząsnęła głową i jakby wyzywając los, zmusiła się do uśmiechu. Skąd przychodzą mi do głowy takie czarne myśli? - zapytała się w duchu.

Włożyła lekki sweter, wyszła do ogródka i rozejrzała się po dziedzińcu. Choć było już dość chłodno, w basenie kąpała się spora grupka hotelowych gości. Inni siedzieli przy stolikach i rozmawiali.

Podeszła do baru i zamówiła mrożoną malinową herbatę, a potem ruszyła w kierunku swego pokoju. Zauważyła, że drzwi prowadzące z ogrodu do sąsiedniego apartamentu, w którym mieszkał poprze-

dnio Matt, są szeroko otwarte. Zajrzała przez nie do środka i dostrzegła detektywa Rothberga, który usuwał z futryny żółtą policyjną taśmę, blokującą wejście do pokoju.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Dzień dobry - odparł, odwracając się w jej kierunku, a potem zmarszczył brwi. - Pamiętam pani twarz, ale nie mogę sobie przypomnieć nazwiska.

- Kerry Johnston. Mieszkam w sąsiednim pokoju.

- Ach tak... oczywiście. Z Minnesoty, prawda?

- Owszem. Czy dowiedzieliście się czegoś o Patti? Czy dokonano już sekcji zwłok?

Policjant kiwnął potakująco głową.

- Owszem. Właśnie dlatego zdejmuję tę taśmę. Zamknęliśmy dochodzenie.

- Dlaczego? - spytała ze zdumieniem Kerry.

- Dlatego, że nie popełniono żadnego przestępstwa. Panna Ruoui nie została zamordowana, choć początkowo tak nam się wydawało.

- A więc umarła z powodu przedawkowania? - mruknęła Kerry, dochodząc do wniosku, że przyjaciele Patti, których spotkała na obrzędach wudu, nie wiedzieli o jej uzależnieniu od narkotyków.

- Można tak powiedzieć. - Detektyw zwinął taśmę w kulę i schował ją do kieszeni. - Ale nie chodzi o przedawkowanie narkotyku. Była uczulona na jeden ze składników napoju miłosnego, który tego dnia wypijała.

- Napój miłosny... - powtórzyła Kerry, myśląc o młodym, przystojnym i porywczym Jasónie Pichante.

- Zgadza się. Razem z moim partnerem odtworzyliśmy przebieg wieczoru. Barman i inni pracownicy hotelu zapamiętali pannę Ruoui i jej towarzysza, bo oboje byli ubrani na czarno i mieli białe twarze. Uczestnicy obchodów karnawałowych często przebierają się za śmierć.

- Rozumiem.

- Przyłączyli się do świętujących na dziedzińcu gości hotelowych niedługo przed wyłączeniem prądu.

- Tak. Pamiętam, że wiele par uczestniczących w celebracjach Trzech Króli wyszło na dziedzińiec. Byli tam też liczni przybysze z ulicy.

- Zgadza się - przyznał z posepnym uśmiechem policjant. - To jest szczególny wieczór. Nie obowiązują żadne ograniczenia. Każdy ma prawo wejść na każde przyjęcie. Dowiedzieliśmy się, że pewna stara kobieta krążyła wśród zebranych, sprzedając amulety wudu i inne magiczne pamiątki. Towarzysz panny Ruoui kupił od niej dwa popularne napoje miłosne. Jeden z kelnerów pamięta, że oboje wymieniali przez chwilę żartobliwe uwagi, a potem wypili ten eliksir.

- Ale jemu nic się nie stało - wyszeptała niemal z żalem Kerry.

- Nie był uczulony na korzenie i zioła wchodzące w skład napoju. Według opinii patologa była

to powszechnie znana mieszanka, ale ofiara niemal natychmiast przeżyła wstrząs anafilaktyczny. Kiedy źle się poczuła, zaczęła zapewne szukać damskiej toalety. Trafiała do ogrodu. Zobaczyła otwarte drzwi apartamentu i weszła do środka, by tam poleżeć, dopóki nie poczuje się lepiej.

- Nie bała się, że gość zajmujący ten pokój może w każdej chwili wrócić? - spytała Kerry.

- Turyści bawią się z reguły do wczesnych godzin rannych - odparł policjant, potrząsając głową.
- Zresztą nie wydaje mi się prawdopodobne, żeby na tym etapie mogła jeszcze logicznie myśleć. Z pewnością nie była w stanie przewidzieć konsekwencji swego postępowania.

- Czy umarła szybko? I bezboleśnie?

- Musiała się domyślać, że dolega jej coś poważnego, ale jej agonia nie trwała długo. Przyczyną śmierci była niedrożność dróg oddechowych, a w takich przypadkach następuje ona niemal bezwłocznie.

- Dlatego sztuczne oddychanie nie pomogło - dodała Kerry. - Robiłam, co mogłam, ale nie odniosło to żadnego skutku.

Widziała dobrze, na czym polegają reakcje alergiczne. Jedna z jej pacjentek okazała się uczulona na środek przeciwbólowy, który wstrzyknął jej dentysta przed rozpoczęciem leczenia zęba. Na szczęście udało się ją uratować.

Detektyw jeszcze raz obejrzał pokój, a potem zamknął drzwi na klucz.

- Od tej pory dochodzenie jest zamknięte - oznajmił stanowczym tonem.

- Czy rozmawialiście z mężczyzną, który towarzyszył Patti? - spytała Kerry.

Detektyw Rothberg zwlekał przez chwilę z odpowiedzią, jakby zastanawiając się, co może ujawnić.

- Tym aspektem sprawy zajmował się mój partner - odparł w końcu. - Ponieważ wiemy, że wypijała ten napój dobrowolnie, nie zamierzamy kontynuować dochodzenia.

Kerry zauważyła, że nie odpowiedział wprost na jej pytanie i nie wymienił żadnego nazwiska. Czyżby usiłował chronić potężną rodzinę Pichante'ów?

- Wygląda na to, że ona nie miała bliskiej rodziny - oznajmiła, zmieniając temat. - Czy wobec tego, jako jej przyjaciółka, mogę zażądać wydania zwłok?

- Musi pani zapytać o to w zakładzie medycyny sądowej. - Rothberg wyjął kartkę i szybko coś na niej napisał. - Oto ich numer telefonu. Kobieta, która podniesie słuchawkę, jest zastępcą szefa. Ona zna się na przepisach i zarządzeniach lepiej niż ktokolwiek inny. Będzie mogła wszystko pani wyjaśnić.

- Dziękuję - mruknęła Kerry, chowając kartkę do kieszeni.

- Radzę pani poczekać z tym do rana. Ich biuro jest już zamknięte. Otwierają je o ósmej.

- W porządku.

Kiedy policjant odszedł, pojawiły się dwie pokojówki, które zaczęły dokładnie sprzątać pokój. Kerry pospiesznie wróciła do siebie. Chciała jak najszybciej podzielić się z Mattem wszystkimi zdobytymi przez siebie informacjami. Nie mogąc doczekać się jego powrotu, nagrała się na jego automatyczną sekretarkę, prosząc o telefon.

Matt uważnie wysłuchał relacji Kerry o jej spotkaniu z detektywem Rothbergiem, który zdejmował taśmy z jego dawnego pokoju. Zauważył w jej migdałowych oczach błyski oburzenia.

- Może uznasz mnie za sadystkę, ale mam nadzieję, że Jason został wymaglowany przez policjantów tak brutalnie, jak podejrzani o przestępstwo ludzie, których pokazują w telewizyjnych filmach. Nie mogę mu wybaczyć tego, że zostawił Patti bez opieki. Ale ten Rothberg nie przyznał wcale, że go przesłuchiwali. Powiedział mi tylko, że tym aspektem dochodzenia zajmował się jego kolega. Świadkowie zeznali, że Patti wypijała ten napój dobrowolnie - ciągnęła Kerry. - To samo zrobił jej towarzysz. Ponieważ żadne z nich nie działało pod przymusem, policjanci uznali sprawę za zamkniętą. To naprawdę był wypadek. Jestem z tego bardzo zadowolona.

- Tak. Ale to musiało być okropne dla Patti.

Kerry opowiedziała mu o przypadku pacjentki, która doznała tak silnego wstrząsu anafilaktycznego,

że ratownik musiał przeciąć jej tchawicę w gabinecie dentystycznym, a potem odwieźć ją do szpitala.

- Pamiętam, jaka była przerażona, kiedy stwierdziła, że nie może oddychać. Chwytała się kurczowo za gardło...

Matt położył rękę na jej dłoni, pragnąc ją uspokoić.

- Przepraszam - wyjąkała. - Daję się ponosić emocjom. Tak czy owak mam nadzieję, że Jason się przestraszył. Zasłużył sobie na to, żeby dręczyło go takie przerażenie, jak Patti, kiedy poczuła objawy choroby. - Urwała, jakby wstrząśnięta własnymi słowami. - Nie przypuszczałam, że jest we mnie tyle nienawiści - wyszeptała.

- To nie ma nic wspólnego z nienawiścią - poprawił ją Matt, niechętnie odrywając rękę od jej dłoni. - Po prostu pragniesz sprawiedliwości.

Sam był zdziwiony, że tak bardzo lubi ją dotykać. Po części miało to charakter zmysłowy, ale w gruncie rzeczy chodziło o coś więcej. Czuł się z nią związany i pragnął ją pocieszyć. Najważniejsze jednak było to, że fizyczny kontakt z tą kobietą sprawiał mu ogromną przyjemność.

Wszystkie te odczucia były dla niego czymś nowym. Nigdy dotąd nie ulegał emocjom. Ale Kerry wydawała mu się tak autentyczna i przyjazna, że zapominał w jej towarzystwie o całym świecie. Nie wiedział konkretnie, co go w niej tak bardzo zachwyca. Troska o dobro innych? Racjonalny pogład na życie? Miłość i przywiązanie do rodziny?

Wszystkie te sprawy, tak bardzo dla niej ważne, od dawna nie odgrywały w jego życiu żadnej roli.

Zmusił się do przerywania tych bezprzedmiotowych rozważań, przypominając sobie, że w gruncie rzeczy prawie jej nie zna. I że pierwsze wrażenia bardzo często okazują się błędne. O czym dobrze wiedział, gdyż przekonała go o tym jego była narzeczona.

Tak czy owak postanowił skupić uwagę na sprawach, które wydawały mu się w tym momencie najistotniejsze.

- To smutne, że nikogo najwyraźniej nie obchodzi, co stało się Patti - stwierdziła Kerry, a on dostrzegł w jej oczach taki ból, że miał ochotę czule ją objąć.

- Przecież nas to obchodzi - przypomniał jej cichym głosem. - Przeprowadziłem na własną rękę amatorskie dochodzenie. Poszedłem na Uniwersytet Tullane i przejrzałem ich dokumenty z okresu ostatnich kilku lat.

- Nie przyszło mi to do głowy. Czego się dowiedziałeś?

- Że uzyskała dyplom cztery lata temu, a w czerwcu skończyłaby dwadzieścia sześć lat. Była zdolna i dostawała stypendium naukowe, więc nie płaciła za studia. Pracowała w biurze działu rekrutacji, żeby zarobić na utrzymanie. Jeśli otrzymywała jakąś pomoc materialną, to najwyraźniej nie była ona wydatna.

- Znalazłeś to wszystko w jej aktach?

- Nie, ale kobieta, która tam pracowała, pamiętała Patti i była wstrząśnięta wiadomością o jej śmierci. Zaprosiłem ją na kawę i odbyliśmy długą rozmowę.

Kerry niespodziewanie pochyliła się w jego stronę i mocno go objęła.

- Jestem zadowolona, że znalazł się ktoś, kto o niej pamiętał.

Jej usta były tak blisko, że nie zdołał oprzeć się pokusie. Wykorzystał dogodny moment i przywarł do nich wargami. Tym razem jej reakcja była tak silna, że poczuł rosnące podniecenie.

Ale nie mógł zapomnieć o całym świecie, bo znajdowali się w publicznym miejscu. Siedzieli w hotelowym ogrodzie, w pobliżu dziedzińca, na którym inni goście pływali w basenie lub gawędzili przy stolikach. Więc odsunął się od niej, choć wymagało to wielkiego wysiłku woli.

Spojrzał w jej oczy i przypomniał sobie Karaiby - szmaragdowe pasma wody otoczone piaszczystymi plażami. Jego rodzina wielokrotnie spędzała wakacje na Wyspach Dziewiczych. Oboje z siostrą mogli zwiedzać okolice i kapać się w morzu. To były urocze chwile...

Po raz pierwszy od lat zdał sobie sprawę, jak bardzo brakuje mu jej towarzystwa. Choć dzieliła ich różnica czterech lat, byli sobie bliscy jako dzieci i potrafili znaleźć wspólny język również po osiągnięciu dojrzałości. Dopóki siostra nie

skończyła college'u i nie wyjechała do Afryki, zawsze mógł liczyć na jej wsparcie.

Obserwując ukradkiem Kerry, zastanawiał się, czy potrafiłaby wypełnić pustą przestrzeń w jego życiu. Stać się partnerką, której braku nie odczuwał, dopóki jej nie poznał. Być może Romeo i Julia pokochali się od pierwszego wejrzenia, pomyślał z rozbawieniem, ale my jesteśmy dorosłymi ludźmi, więc powinniśmy okazać więcej powściągliwości.

Czuł jednak, że łącząca ich więź jest z każdym dniem silniejsza. Może dlatego, że wspólnie usiłowali rozwiązać tajemnicę Patti... nieznanej kobiety, która być może zmieniła na zawsze ich życie.

- Dziś wieczorem jestem zaproszony na kolację, która odbędzie się w tutejszym klubie golfowym - powiedział, otrząsając się z zamyślenia.
- Potem odbędzie się degustacja win. Powiedziano mi, że mogę kogoś ze sobą przyprowadzić. Czy zechcesz mi towarzyszyć?

Zaskoczona jego pytaniem, gwałtownie zamrugała oczami.

- Nie jestem pewna, czy to byłoby słuszne. Nie chciałabym ci przeszkadzać w twoich sprawach zawodowych.

- Tym się nie przejmuj - oznajmił Matt. - Będę robił notatki i zachowywał się tak, jakby cię tam w ogóle nie było.

- Zwiedzałam kilka kalifornijskich winnic, więc wiem, jak wygląda procedura degustacji win

- oświadczyła z uśmiechem Kerry. - Mam tylko jedno ważne pytanie. Czy przed wypluciem wina na dywan mam zakręcić kieliszkiem zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara, czy też w odwrotną stronę?

Matt wybuchnął śmiechem.

- Zachowuj się, jak uznasz za stosowne - powiedział. - Ja nie jestem nadętym formalistą.

- Więc dobrze, pójdę z tobą. Ale obiecaj, że jeśli jakaś sędziwa matrona zechce mi opowiedzieć o wszystkich balach, jakie zamierza zaszczyścić swą obecnością podczas tegorocznego karnawału, natychmiast zaczniesz mnie ratować.

- Obiecuję - oznajmił, podnosząc rękę jak do przysięgi.

Kiedy dotknęła jej palcami, zrobił to, co wydało mu się naturalne. Uniósł jej dłoń do ust i złożył na niej lekki pocałunek.

Gdy Matt wstąpił po Kerry, by zabrać ją na uroczystą kolację, zdał sobie sprawę, że tego wieczoru będzie mu jeszcze trudniej powstrzymać się od ostentacyjnego okazywania jej swych względów.

Wyglądała wprost zachwycająco. Miała na sobie długą czarną spódnicę, obcisłą bluzkę wyszywaną paciorkami, które błyszczały przy każdym jej oddechu, oraz elegancki jedwabny czarny szal przetykany złotymi, czerwonymi i zielonymi nitkami.

Jej pomysłowo umalowane oczy wydały mu się

tak wielkie, jak świecące w ogrodzie lampiony. Można było w nich zatonać i zapomnieć o całym świecie.

- Czy stosownie się ubrałam? - spytała z lekkim niepokojem w głosie. - Kupiłam ten szal pierwszego dnia po przyjeździe...

Matt zdał sobie sprawę, że przyglądał się jej zbyt długo.

- Wyglądasz wspaniale - zapewnił ją, starając się opanować drżenie głosu i ogarniające go na jej widok pożądanie.

Zamówiona przez niego limuzyna czekała przed hotelem. Pomógł Kerry wsiąść, a gdy ruszyli z miejsca, chwycił ją za rękę w taki sposób, jakby byli parą nastolatków spotykających się na pierwszej randce. Podróż wydała mu się o wiele za krótka.

Gdy dotarli do klubu, zauważył, że Kerry jest zachwycona jego luksusowym wnętrzem. Usiłował popatrzeć na nie jej oczami. I przypomniał sobie lata swej młodości. Hol i sala jadalna ozdobione były marmurowymi kolumnami i zielono-brązowymi dywanami pokrywającymi granitowe podłogi. Oba pomieszczenia utrzymane były w różnych kolorach, ale ich wykwintny wystrój nie odbiegał od stylu klubu golfowego, do którego należała jego rodzina.

Zaraz po wejściu zostali powitani przez mężczyznę, który miał na sobie wieczorowy strój. Matt uścisnął jego dłoń, a potem dokonał prezentacji.

- To jest Terrence Wilson, prezes tego klubu
- rzekł do Kerry. - To on zorganizował degustację, podczas której mamy ocenić zasoby ich piwnicy.

- Bardzo się cieszę na ten wieczór - oznajmiła z uśmiechem Kerry.

- To wspaniale, że mogła pani nas odwiedzić
- odparł Terrence uprzejmym tonem, typowym dla mieszkańców Nowego Orleanu, a potem zaprowadził ich do stolika, z którego rozciągał się wspaniały widok na rzekę.

Księżyc kładł się srebrną poświatą na migoczącej powierzchni wody. Matt wciągnął głęboko powietrze. Rzeka, światło księżyca i ta siedząca obok niego kobieta... Wszystko wydawało mu się tak piękne, że chyba po raz pierwszy w życiu poczuł dreszcz prawdziwego zachwytu.

Oprócz nich przy stoliku siedziały jeszcze trzy osoby - mężczyzna i dwie kobiety. Jedna z nich, licząca około pięćdziesiątki, okazała się żoną Terrence'a i nosiła imię Jessica. Druga, jasna blondynka o imieniu Chandra, jego córka. Miała bardzo niebieskie oczy, a jej opalenizna pochodziła z bardzo drogiego salonu kosmetycznego.

Matt widział ją po raz pierwszy w życiu, ale znał kobiety tego typu, więc mógł sporo o niej powiedzieć. Około trzydziestki. Znudzona rozwódka. Patrzyła na niego w taki sposób, jakby zastanawiała się, czy jest człowiekiem, z którym warto nawiązać bliższą znajomość.

Młody człowiek był bratankiem Terrence'a. Po-

dobnie jak Chandra miał bardzo niebieskie oczy, które uważnie lustrowały otoczenie. Matt zauważył z radością, że Kerry przyjaźnie wita się z wszystkimi przedstawionymi jej osobami, nie okazując najmniejszego skrępowania.

Kiedy podano koktajle, Matt i Kerry musieli odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących ich pobytu w mieście i opinii na temat jego atrakcji. Matt zrelacjonował przebieg ceremonii, w której brali niedawno udział, i wyznał, że był lekko przerażony bliskością cmentarza.

- W Nowym Orleanie można przeżyć niejedną piękną przygodę - zauważyła Chandra, dotykając jego ramienia. Jej jednoznacznie zalotny ton wzbudził w nim irytację.

- Miałem szczęście, że była tam ze mną Kerry - oznajmił, kładąc rękę na jej dłoni. - W jednym z muzeów wudu zrobiła sobie fotografię z pytonem, więc miała w sobie zapewne sporą dawkę dobrego Ju-Ju.

- Och, z pewnością - mruknęła Kerry, budząc wybuch śmiechu zebranych.

Ale żona Terrence'a spojrzała na Kerry w taki sposób, jakby traktowała całą sprawę bardzo poważnie.

- To istotnie jest dobre Ju-Ju. Waż reprezentuje Ducha Mądrości. Ten pyton musiał w tobie rozpoznać bratnią duszę.

- Bardzo mi się ten pomysł podoba - oznajmiła Kerry, unosząc w górę rękę, na której nosiła bran-

soletkę. - Przed wyjazdem z Nowego Orleanu muszę koniecznie kupić talizman w kształcie węża.

W ciepłym świetle, które padało na jej twarz, wyglądała tak ładnie, że wydała się Mattowi najpiękniejszą kobietą w całej sali. Żałował, że nie są sami w jakimś ustronnym miejscu, w którym mógłby jej okazać swój zachwyt.

Postanowił też, że kupi jej talizman w prezencie.

Kolacja, podczas której zaserwowano połędwicę wołową i słynne miejscowe raki, była niezwykle udana. Do każdego z dań podawano kilka rodzajów wina, więc Matt ciągle coś notował. Podczas przerwy w posiłku gospodarz oprowadził jego i Kerry po piwnicach klubu, które zbudowano pod głównym budynkiem, w wielkiej skalnej grocie.

- Mieściły się tutaj pokłady soli, grube na kilka metrów i naniesione przez morską wodę przez tysiące lat - wyjaśnił Terry. - Teraz sklepienie zostało podparte betonowymi słupami, więc jesteśmy tu bezpieczni.

Otworzył trzy dalsze butelki starego francuskiego wina i nalał im po kilka kropli do kieliszka.

- Została nam jeszcze skrzynka każdego z nich - zwrócił się do Marta. - Chciałbym poznać pańską opinię. Czy nadają się jeszcze do picia?

Pierwsze wino zamieniło się w ocet. Matt i Terrence roześmiali się głośno na widok wykrzywionej twarzy Kerry.

- Myślę, że to możemy wykluczyć - oznajmił gospodarz.

Następne dwa wina były bardzo dobre. Matt zauważył, że Kerry wypiła po małym łyku każdego z nich. Wylał resztę zawartości swego kieliszka do pojemnika na odpadki, a ona poszła za jego przykładem. Potem wszyscy wrócili do jadalni, w której podawano już desery.

Kiedy podszedł do nich kelner z następną butelką wina, Kerry zasłoniła swój kieliszek dłonią, dając mu do zrozumienia, że nie będzie więcej piła.

Matt przypomniał sobie opowieść o wuju, który służył w jej rodzinie za przykład fatalnych następstw nadmiernego pociągu do alkoholu, i zdał sobie sprawę, że ona naprawdę stosuje się do wyznawanych przez siebie zasad.

W ciągu dwóch dni, jakie upłynęły od ich pierwszego spotkania, dowiedział się o niej więcej niż o niejednej kobiecie, którą znał znacznie dłużej. Opowiedziała mu o kuzynce, która popełniła samobójstwo, a on rozmawiał z nią o tragicznej śmierci swej siostry. I wcale nie wydawało mu się to dziwne.

Zaczął się zastanawiać, czy to poczucie bliskości zniknie, kiedy oboje powrócą do swych domów.

Kiedy przerwał te rozważania, zdał sobie sprawę, że w sali jadalnej zaczęła grać kilkuosobowa orkiestra. Kilka par wstało od stołów i ruszyło w stronę parkietu.

- Mam nadzieję, że nam wybaczycie - powiedział Matt do reszty towarzystwa i chwycił Kerry za rękę.

Nie był pewien, czy postępuje rozsądnie, ale musiał doprowadzić do tego, by znalazła się w jego ramionach. I to natychmiast. Kiedy dotarli do parkietu, uniosła wzrok i spojrzała mu z uśmiechem prosto w oczy. Potem zaczęli się poruszać w wolnym rytmie jakiejś romantycznej melodii.

- Jesteś niewiarygodnie piękna - szepnął Matt.

- Bardzo panu dziękuję, sir - oparła z uśmiechem, który krył w sobie liczne sekrety i obietnice.

Poczuł, że coś chwyta go mocno za serce. Miał ochotę przycisnąć ją do piersi, ale nie pozwalała na to dzieląca ich różnica wzrostu. Gdyby byli sami, po prostu uniósłby ją w górę. Zdając sobie sprawę, że Kerry jest bardzo dobrą tancerką, zmienił krok i zaczął z nią wirować po parkiecie. Nadażała za nim bez wysiłku i zdawała się odgadywać *każdy* jego następny ruch.

- Widzę, że lubisz tańczyć - powiedziała z zachwytem. - I robisz to bardzo dobrze. Wszystkie obecne tu kobiety będą miały nadzieję, że zechcesz poprosić je na parkiet.

Matt potrząsnął głową.

- Interesuje mnie tylko jedna kobieta.

Kerry zagryzła wargi, jakby tłumiać okrzyk zdumienia, a potem popatrzyła na niego z udanym przerażeniem.

- Nie powinieneś mówić takich rzeczy, kiedy nie jesteśmy sami - rzekła cicho. A on spojrzał w jej oczy i ujrzał w nich przewrotny błysk. W tym

momencie znów poczuł, że jego serce ściska jakaś gigantyczna dłoń.

Kiedy skończyli tańczyć, wyjął z kieszeni pager i nacisnął jakieś guziki, by wezwać czekającego na nich kierowcę limuzyny. Potem zamienił kilka słów z Terrence'em, powiedział wszystkim obecnym przy stole osobom, że było mu miło je poznać, i wyprowadził Kerry z klubu. Ich samochód właśnie zatrzymywał się przed bramą.

- Skąd on wiedział, że wychodzimy? - spytała Kerry.

- Czary - odparł z uśmiechem.

Kiedy wsiedli, oparła głowę o jego ramię i ziewnęła.

- Dziękuję za cudowny wieczór - mruknęła sennym głosem.

- Nie zamierzasz chyba zasnąć? - spytał z niepokojem. - Może niepotrzebnie pozwoliłem ci wypić tak dużo wina.

- Trzy kieliszki. I jeden koktajl. Dokładnie je liczyłam. Jeden kieliszek na godzinę.

- Grzeczna dziewczynka.

- Ty jesteś większy niż ja, więc szybciej spalasz.

- Zgadza się.

Dotknął policzkiem czubka jej głowy i mocno ją objął. Czuł pod chłodnym jedwabiem szala bijące od niej ciepło. Było to dla niego bardzo miłe przeżycie.

Kiedy przechodzili przez dziedziniec, nadal obejmował jej ramiona. Było już po północy, ale

nad basenem i pod palmami nadal siedzieli nieliczni goście, prowadząc ciche rozmowy.

Weszli do ogrodu. Kerry wyjęła z torebki klucz, a on otworzył nim jej drzwi. Ale w tym momencie zdał sobie sprawę, że nie chce się z nią jeszcze rozstawać.

- Kerry - powiedział cicho.

Podniosła na niego wzrok. W jej oczach lśniło księżycowe światło, a na ustach błąkał się lekki uśmiech.

- Tak - szepnęła, jakby odpowiadając na jego nieme pytanie.

Pokusa była zbyt wielka. Chwycił ją w ramiona i zaczął całować tak namiętnie, że po chwili zupełnie stracił zdolność logicznego myślenia.

- Och, Matt... Dawno o tym marzyłam...

- Ja też...

- Więc wejdźmy do pokoju - zaproponowała, objawiając po raz kolejny zdrowy rozsądek.

Przekroczył próg i zatrzasnął nogą drzwi. Pokój wypełniały dźwięki cichej muzyki. Przy łóżku paliła się nocna lampka. Narzuta została zdjęta z łóżka, by zmęczony turysta mógł udać się na spoczynek.

Ale on nie był zmęczony i nie myślał o wypoczynku.

Podobnie jak ona.

- Bardzo mi z tobą dobrze - wyszeptała, gdy zaczął przesuwać dłońią po jej plecach. Odwinął jedwabny szal przykrywający jej ramiona i rzucił

go na krzesło, a potem wziął ją na ręce i usiadł na łóżku. Kerry zsunęła z niego marynarkę, a potem rozwiązała krawat.

- Mmm - mruzczała, pokrywając pocałunkami jego twarz i szyję. Później zaczęła odpinać guziki koszuli, a Matt rozpiął zamek błyskawiczny jej bluzki. Piersi Kerry zalśniły w świetle lampy tak jasno jak szlachetny marmur, ale były ciepłe i miękkie. Czując przypływ pożądania, bez słowa położyli się obok siebie. Kerry przywarła do niego całym ciałem, a on poczuł na skórze dotyk jej piersi i zaczął je delikatnie całować. - Chcę, żebyś się ze mną kochała...

Matt przypomniał sobie, że wypić tego wieczoru sporo wina, i postanowił zachować się jak człowiek honoru. Z westchnieniem odsunął się od niej i spojrzał w jej oczy.

- Nie dziś - odparł czule. - Sama powiedziałaś, że wypić trzy kieliszki wina i jeden koktajl. A ja chcę, żebyś zapamiętała wszystkie szczegóły naszej pierwszej wspólnej nocy.

- Jestem pewna, że tak będzie... - szepnęła z nadzieją w głosie, a on pocałował ją w czoło, w nos i w usta.

- Ja też, kochanie - odparł cicho.

Potem wyszedł z jej pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kerry włożyła ciemne okulary i kapelusz z szerokim rondem, a potem przeszła przez ogródek, by zjeść z Mattem śniadanie w jego patiu. Otworzył jej furtkę, spojrzał na nią uważnie i wybuchnął śmiechem.

- Czyżbyś miała ochotę na klina? - spytał z rozbawieniem.

- Nie! Nie wypiję już nigdy ani kieliszka!
- oznajmiła stanowczym tonem, siadając w cieniu, z dala od słonecznego światła, które potęgowało jej ból głowy.

Mart ponownie zachichotał. Jego głos brzmiał tak pogodnie, że z trudem powstrzymała się od wyciągnięcia ręki i pogłaskania go po twarzy.

- Jesteś po prostu odwodniona. Powinienem był namówić cię wczoraj wieczorem do wypicia przed zaśnięciem szklanki wody i zażycia pastylki multiwitaminy.

Kerry kiwnęła głową.

- Chyba tym razem ja powinnam cię przeprosić za moje zachowanie.- zaczęła niepewnym głosem.

- Nic podobnego! Spędziliśmy bardzo miły wieczór. Nigdy go nie zapomnę - dodał tonem,

który dotarł do najdalszych zakątków jej serca. Potem napełnił ich filiżanki kawą.

- Ja też będę go pamiętać, Mart - obiecała Kerry. Choć była już dziesiąta, nadal czuła się nieco zaspana.

- Kiedy usłyszałem, że bierzesz prysznic, pozwoliłem sobie zamówić maślane bułki i grzanki. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Ależ skąd! Zachowałeś się jak dobry opiekun. - Wypiła łyk kawy i stwierdziła z radością, że nie czuje mdłości. - Wczoraj wieczorem postąpiłeś bardzo słusznie. Byłam bardziej... - Nie chcąc powiedzieć: „pijana” zaczęła szukać w myślach lepiej pasującego słowa.

- ... rozbawiona - odpowiedział Matt.

- Byłam bardziej rozbawiona, niż mi się zdało - przyznała niechętnie.

Była przekonana, że wyszła na idiotkę w oczach mężczyzny, który zapewne obracał się w towarzystwie najbardziej subtelnych kobiet świata. Na myśl o tym odczuwała niemal fizyczny ból.

Uśmiechnięty kelner zastukał dyskretnie w słupek przy furtce, a potem wszedł do ogródka.

- Oto napój orzeźwiający - oznajmił, stawiając przed Kerry wysoką szklankę czegoś, co wyglądało na sok pomidorowy. - Szef kuchni mówi, że to poprawi pani samopoczucie.

- Czy wszyscy już wiedzą, jak bardzo byłam wczoraj rozbawiona? - spytała, kiedy kelner postawił na stole dwa koszyki z pieczywem i odszedł.

- Tylko ja miałem zaszczyt cię oglądać - oznajmił Matt z błyskiem rozbawienia w oczach. - Ale spytałem kelnera, co może poprawić humor osoby, która wypija poprzedniego dnia trochę więcej wina niż zwykle.

- Ach, teraz już wszystko rozumiem - mruknęła żartobliwym tonem.

Po wypiciu kilku łyków soku pomidorowego z cytryną i kilkoma kroplami ostrego sosu Luizjana istotnie poczuła się trochę lepiej, a nawet nabrała apetytu. Opróżniła szklanekę i sięgnęła po bułeczkę.

- Wstąpiła do mnie dziś rano Charlotte Marchand - oznajmił Matt. - Rozmawialiśmy o Patti i o tym, co stało się w sobotę. Podobno podczas awarii nie ukradziono nic cennego. Była początkowo bardzo przejęta, ale powiedziała mi, że wszystko już wróciło do normy. Jest oczywiście zadowolona, że śmierć Patti okazała się przypadkowa, a dochodzenie zostało umorzone.

- Ten detektyw podał mi numer do zakładu medycyny sądowej - przypomniała sobie Kerry. - Stwierdził, że sekretarka będzie mogła mi powiedzieć, co się stanie z Patti. Chciałam tam zadzwonić o ósmej, zanim zacznie się ruch.

- Więc zadzwoń teraz - zaproponował Matt.

Wyjęła z torebki wizytówkę i swój aparat komórkowy. Słuchawka została podniesiona już po pierwszym dzwonku.

- Zakład Medycyny Sądowej - oznajmiła dźwięcznym głosem jakaś kobieta.

Kerry przedstawiła się i wyjaśniła, skąd wzięła numer telefonu.

- Jestem przyjaciółką Patti Ruoui. Została do was przywieziona w sobotę, więc...

- Mam akurat na biurku jej akta - oznajmiła kobieta. - Nie wymieniono w nich najbliższych członków rodziny. Czy pani jest jej krewną?

- Nie, tylko przyjaciółką.

Matt, widząc jak jest przejęta, położył dłoń na jej ramieniu.

- Czy będziemy mogli zorganizować kremację? Patti była wyznawczynią Ducha Uzdrawienia, więc...

- Rozumiem -przerwała jej sekretarka. - Musi pani otrzymać zezwolenie od sędziego. Trzeba je przedłożyć dziś, a najpóźniej jutro rano. Jej pogrzeb wyznaczono na wtorek.

- Spytaj o dane tego sędziego - podpowiedział szeptem Matt, który przykładał ucho do słuchawki.

Kerry zdobyła wszystkie niezbędne informacje i powtórzyła je na głos, a on zapisał nazwiska i numery telefonów.

- To jest wszystko, co mogę pani powiedzieć - oznajmiła sekretarka, a potem dodała mniej oficjalnym tonem: - Postaram się wstrzymać bieg sprawy do jutrzejszego popołudnia. Nie mogę pani dać więcej czasu bez nakazu sądowego.

- Bardzo dziękuję. Z pewnością uda nam się do tej pory coś załatwić. - Odłożyła słuchawkę. - Jaki jest numer do tego sędziego?

Matt uniósł notes w taki sposób, by mogła od-
czytać numer.

Urzednicy sądowi przekazywali ją sobie z rąk
do rąk przez całe pół godziny, każąc jej czekać
przy telefonie i słuchać nagranej muzyki. W końcu
dowiedziała się, że sędzia pojawi się w pracy do-
piero następnego dnia.

- O dziewiątej rano musi być w sali sądowej
- oznajmiła Mattowi. - To skomplikowana sprawa,
więc będzie zajęty przez cały dzień.

- Musimy coś wymyślić... - mruknął Matt, a po
chwili dodał: - Chyba mam pomysły.

Wyjął aparat komórkowy, przejrzał książkę te-
lefoniczną i wystukał jakiś numer. Skrzywił się
z niechęcią, gdy usłyszał głos automatycznej sek-
retarki, ale zostawił swoje nazwisko. Potem za-
dzwonił do Claude'a Pichante'a, ojca Jasona. Po-
nownie musiał nagrać wiadomość.

- Jeśli żaden z nich nie odezwie się w ciągu
godziny, będziemy musieli sięgnąć po plan B
- rzekł do Kerry.

- A na czym polega plan B?

- Mamy godzinę, żeby go opracować - odparł
z uśmiechem. - Chyba zaczniemy od detektywa
Rothberga.

Mijały minuty. Matt porozumiał się z Rothber-
giem, ale nie uzyskał od niego żadnych sugestii.
Kerry traciła już nadzieję, kiedy odezwał się jego
telefon komórkowy.

- Matt Anderson... - powiedział do słuchawki.

- Claude, jestem ci wdzięczny za to, że zechciałeś się odezwać.

Wytłumaczył panu Pichante, na czym polega problem. Kerry modliła się tymczasem, by okazał się on pomocny w walce z miejscową biurokracją. Po krótkiej wymianie zdań Matt podziękował swemu rozmówcy i przerwał połączenie.

- Właśnie skończył partię golfa i idzie na lunch do klubowej restauracji. Przed chwilą spotkał na polu golfowym sędziego Sądu Najwyższego. Będzie próbował się z nim skontaktować i poprosić go o pomoc.

- Och, Matt, dziękuję ci! - zawołała, kładąc rękę na jego ramieniu. - Jesteś po prostu cudowny...

- Jeśli będziesz tak na mnie patrzeć, to spędzimy ten dzień w łóżku - ostrzegł ją stłumionym głosem, pochylając się do jej ucha. - W twoim towarzystwie ciągle muszę sobie przypominać, że jestem dżentelmenem.

Kerry miała ochotę go poprosić, by o tym zapomniał, ale znów zwyciężył w niej zdrowy rozsądek. Doszła do wniosku, że nie może stracić głowy podczas tygodniowych wakacji, i postanowiła zmienić temat.

- Czy czekając na jego telefon, możemy zwiedzić Dzielnicę Francuską?

- Oczywiście.

Przez dwie godziny spacerowali po ruchliwych uliczkach, oglądając kościoły, muzea i sklepy.

Potem wrócili do hotelu i usiedli w ogródku przylegającym do jej pokoju.

Kerry zaczynała wpadać w panikę. Czas mijał, a szanse pożegnania Patti malały. W jej umyśle zrodziło się podejrzenie, że cały pomysł był od początku niemądry, a nawet absurdalny. Była więc niemal zdziwiona, kiedy telefon Marta w końcu się odezwał.

- Bardzo dziękuję, że zechciał pan do mnie zadzwonić, panie sędzio - rzekł Mart do słuchawki.

Potem przedstawił swemu rozmówcy całą sytuację i odpowiedział na kilka pytań. Podał mu też nazwisko Kerry, wspominając, że była ona przyjaciółką zmarłej, a teraz pragnie ją odpowiednio pochować. Zanotował kilka szczegółów, podziękował uprzejmie i w końcu się rozłączył.

- Wygraliśmy - oznajmił z radością.

- Co to znaczy?

- Sędzia wyrazi zgodę. To nie ten sędzia, którego nazwisko podano ci w zakładzie medycyny sądowej, ale on również może nakazać wydanie zwłok. Dzwoni teraz do biura. Jego sekretarz przygotowuje dokument, a on podpisze go za jakieś pół godziny. Pracownicy przedsiębiorstwa pogrzebowego mogą odebrać ten nakaz, a potem zabrać z kostnicy zwłoki Patti. Podał mi telefon solidnej firmy i powiedział, że możemy powołać się na jego nazwisko, kiedy tam zadzwonimy.

- Och, to wspaniale! - zawołała, chwytając go za ramię. - A ja byłam już bliska rezygnacji.

Matt wystukał jakiś numer i po chwili rozmawiał z dyrektorem przedsiębiorstwa pogrzebowego.

- Czy możecie to zrobić jeszcze dziś po południu? - spytał wyjaśnwszy, dlaczego zależy mu na czasie. - Dziękuję bardzo. To dla nas bardzo ważne. Kiedy możemy odebrać... to znaczy...

Zerknął na Kerry, a ona zorientowała się, że nie chce w jej towarzystwie używać słowa „prochy”.

- Tak, w urnie... Czy jest zamknięta? W porządku... Tak... Po dziewiątej rano... Czy można zapłacić kartą kredytową? Dobrze. A więc do zobaczenia.

- Ile to będzie kosztować? - spytała Kerry, kiedy zakończył rozmowę.

- Zapłacimy rachunek po połowie - odrzekł, podawszy jej sumę. A kiedy zaczęła protestować, dodał: - Wiem, że to był twój pomysł, ale ja też chcę zrobić coś dla Patti.

Kerry poczuła, że ma łzy w oczach. Nie potrafiła ich powstrzymać.

- Cały czas myślę o tym, jak daleko ona mogła zajść. Wydała mi się bardzo inteligentna. Przeżyłam to samo z moją kuzynką. Była urocza, utalentowana i uczciwa. Podobna do Patti.

- Rozumiem, co czujesz - szepnął Matt, gładząc dłonią jej policzek.

- Ona chciała zostać uzdrowicielką. Studiowała pod kierunkiem tej starej królowej. Musiała być dobrym człowiekiem.

Dalsze jej słowa stłumił gwałtowny skurcz gardła. Matt odsunął krzesło od stołu, wziął ją na ręce i posadził sobie na kolanach.

- Przy mnie możesz się spokojnie wypłakać - powiedział cicho, a ona oparła głowę na jego ramieniu i zalała się łzami. Po kilku minutach pociągnęła nosem i zdobyła się na blady uśmiech.

- Zachowuję się żenująco - mruknęła ze wstydem.

- Zachowujesz się jak normalny człowiek.

Poczuła nowy przypływ łez, ale tym razem zdołała je powstrzymać. Oparła głowę na ramieniu Matta i spojrzała mu w oczy.

- Kerry - szepnął czułym tonem.

Jego pocałunek obudził w niej na nowo wszystko, co przeżyła poprzedniego wieczoru. Było to nie tylko pożądanie, lecz również poczucie radości i nadziei na przyszłość. Jej krew płynęła bardzo szybko, a serce biło jak oszalałe.

Objęła go z całej siły i przywarła do niego mocno, a po chwili cały jej świat zniknął w gęstej mgle...

Tuż przed kolacją wzięła relaksującą kąpiel, a potem uczesała się i zrobiła manikiur. Włożyła spodnie, bawełnianą koszulkę oraz sweter, na wypadek gdyby wieczór zrobił się chłodny, a później zadzwoniła do swojej siostry.

- Cześć, to ja.

- Kerry! - krzyknęła Sharon z taką radością,

jakby nie widziała jej od trzech lat, a nie trzech dni.

- Czy dobrze się bawisz? Czy poznałaś już kogoś zachwycającego faceta?

Kerry wybuchnęła śmiechem i postanowiła odpowiedzieć szczerze na drugie pytanie.

- Owszem, poznałam zachwycającego faceta. Bawię się dobrze, ale powstały pewne komplikacje.

- Jakiego rodzaju?

- To długa historia, ale powiedz mi najpierw, jak się czują dzieci.

- Mają straszną wysypkę - westchnęła Sharon.

- Lekarz powiedział, że mieliśmy szczęście. Ta szczepionka nie zawsze zapobiega ospie wietrznej, ale przynajmniej znacznie łagodzi jej przebieg. Dzięki Bogu. Jestem pewna, że Ryan i ja dostalibyśmy szał, gdyby one jeszcze bardziej narzekały i drapały się po całym ciele. Ciagle pytają, kiedy wróci ich ukochana ciocia, która będzie im czytać bajki. Powiedziałam im, że jeśli będą niegrzeczne, to nie wrócisz nigdy.

Kerry zaśmiała się cicho.

- A teraz powiedz mi o tych komplikacjach - zażądała Sharon. -I o tym zachwycającym mężczyźnie.

- No cóż, muszę chyba zacząć od początku - stwierdziła Kerry. Potem opowiedziała siostrze o sobotnim lunchu, podczas którego poznała Patti, o swej wizycie w muzeum wudu, o Królowej Patrycji i o Madame Jolie.

- O rany! - zawołała Sharon. - Ja nie ośmieliłabym się nawet dotknąć węża, a tym bardziej pozwolić go na sobie powiesić. Co by było, gdyby postanowił cię udusić?

- Jakoś tego nie zrobił. Więc przestań gadać i daj mi skończyć.

Ale Sharon przerywała jej tak często, że minęła godzina, zanim dotarła do Matta.

- Matt Anderson - powtórzyła jej siostra.
- Kerry Anderson... to nie brzmi źle...

- Sharon, nie wyciągaj pochopnych wniosków. Przecież my się prawie nie znamy. - Westchnęła.

- I wygląda na to, że nie zdążymy się bliżej poznać. Choć chwilami mam wrażenie, że znam go od dawna. Nie spotkałam jeszcze mężczyzny, którego tak bardzo polubiłabym w tak krótkim czasie. Czy to nie jest dziwne?

- Bynajmniej. Czy poszłaś już z nim do łóżka?

- Myślałam o tym - wyznała Kerry. - I to bardzo intensywnie.

Sharon roześmiała się głośno.

- Pamiętaj, że żyje się tylko raz. Nieczęsto będziesz miała okazję przeżyć przygodę w tak ciepłym i romantycznym miejscu jak Nowy Orlean. Czy oglądałaś wiadomości telewizyjne? Mamy tu dziesięć stopni mrozu i sporo śniegu.

- U nas jest dwadzieścia pięć stopni ciepła, więc można umrzeć z gorąca.

Sharon skwitowała tę wiadomość ponownym wybuchem śmiechu, a Kerry opowiedziała jej

o swej wizycie w klubie golfowym, podczas której wypijała trzy kieliszki wina i koktajl.

- Matt zachował się jak prawdziwy dżentelmen i nie próbował wykorzystać mojego stanu. Muszę przyznać, że ja nie zawsze jestem damą. Podczas każdego spotkania mam ochotę zaciągnąć go do mojego apartamentu.

- Więc dlaczego tego nie robisz?

- Czyżbyś uważała, że powinnam spróbować?

- Oczywiście. Ty jesteś za bardzo opanowana i rozsądna. Powinnaś choć raz stracić głowę, przynajmniej na jakiś czas. Tylko nie zapomnij o środkach ostrożności.

- Widzę, że twoim zdaniem powinno to wyglądać mniej więcej tak: „Cześć, Matt. Czy zrobimy to u ciebie czy u mnie? Jeśli nie masz prezerwatyw, to zaraz po nie pójde do sklepu”.

- Jesteś za mało zblazowana, żeby rozegrać to w taki sposób - zapewniła ją siostra. - Ale możesz przecież się odprężyć i spokojnie poczekać na rozwój wydarzeń. Kto wie? To może być początek pięknego romansu ze szczęśliwym zakończeniem.

- Zgodziłabym się na krótki romans, nawet bez gwarancji happy endu.

Przez jej głowę przelatywały różne obrazy. Widziała Marta w szortach odsłaniających jego muskularne nogi i szczupłe biodra. W dżinsach i w koszuli, które miał na sobie podczas obrzędów uzdrowicielskich. W kosztownym garniturze, w którym brylował w gronie miejscowej elity, dbając zarazem o to,

by ona czuła się czarująca jak królowa. Wszystkim tym wizerunkom towarzyszyła napełniająca jej serce fala zachwytu i szczęścia.

- Nareszcie zacznasz mówić rozsądnie - oznajmiła Sharon. - Siedzę teraz przy komputerze. Czy chcesz, żebym spróbowała znaleźć jakieś dane dotyczące zamieszkałej na terenie stanu Luizjana rodziny Ruoui?

- Tak. Oboje z Mattem chcemy odszukać dom, w którym Patti spędziła dzieciństwo, i rozsypać tam jej prochy. Ta miejscowość nazywa się chyba Cordon Rouge. Mam nadzieję, że jej duch znajdzie tam spokój. Tak przynajmniej sugerowała ta królowa wudu.

- Większość z nas patrzy na okres dzieciństwa jak na epokę szczęścia. Mam już coś na temat rodziny Ruoui pochodzącej z okolic Nowego Orleanu... Huczny ślub, który odbył się ponad trzydzieści lat temu... Panna młoda pochodziła z dobrego domu... Jeśli to byli krewni Patti, musiało się to wszystko odbywać w czasach, kiedy mieli pieniądze lub przynajmniej udawali, że są bogaci.

- Wspaniale. Czy możesz poszukać jakiegokolwiek wzmianki o Patrycji lub też Patti Ruoui? Ja...

- O Boże, z dziecinnego pokoju słyszę odgłosy wojny - przerwała jej Sharon. - Muszę lecieć. Porozumiem się z tobą, kiedy tylko będę mogła. Do usłyszenia i baw się dobrze!

Kerry odłożyła słuchawkę i siedziała przez chwilę bez ruchu, rozmyślając o swej znajomości

z Mattem. Była ciekawa, czy zamknął na klucz drzwi dzielące ich apartamenty. I jak by się zachował, gdyby je teraz otworzyła. Miała ochotę zastosować się do rady siostry i przeżyć podczas tej wyprawy miłą przygodę. Perspektywa ta wydawała się jej bardzo kusząca. Lata powściągliwości przyniosły jej tylko blizny w sercu i dotkliwą samotność. Poza tym miała prawo przypuszczać, że nigdy więcej nie przeżyje tak egzotycznych wakacji.

Wzięła głęboki oddech i postanowiła zaryzykować... jeśli Matt wyrazi na to ochotę. Pamiętała wyraz jego twarzy, gdy jej obiecywał, że będą jeszcze mieli okazję do zbliżenia, i była pewna, że on też nie miałby nic przeciwko temu. No, powiedzmy, niemal pewna.

Wstała i usłyszała pogodny brzęk swej bransoletki. Zdała sobie sprawę, że jakiś promień słońca przeniknął przez szparę w okiennej zasłonie i oświetla teraz jej rękę. Pewnie właśnie dlatego odniosła nagle wrażenie, że rozgrzana bransoletka niemal przypala jej skórę.

Stała obok biurka Luca Cartera i podziwiała misternie ułożony bukiet. Chciała porozmawiać z Lukiem o istniejących w tym regionie ogrodach botanicznych, gdyż wiedziała, że będzie ją o nie pytać jej babka.

Odwrócony do niej tyłem Luc rozmawiał z kimś cicho przez komórkę. Nie słyszała poszczególnych

słów, ale jego głos zdawał się pobrzmiwać gniewem.

- Nie mogę... - zaczął, ale nie dosłyszała dalszego ciągu. - To zaciemnienie i tak narobiło mnóstwo szkód.

Kerry zdała sobie sprawę, że rozmowa musi dotyczyć minionego weekendu i jego wpływu na piękny stary hotel. Cały personel był najwyraźniej bardzo lojalny wobec rodziny Marchandów. Westchnęła i ruszyła w kierunku swego pokoju, by się przekonać, czy Matt już wrócił do hotelu. Ogrody botaniczne mogą poczekać.

Luc nacisnął guzik telefonu, by przerwać połączenie. Wyczuł instynktownie, że ktoś chce z nim porozmawiać, ale kiedy się odwrócił, nie zobaczył nikogo.

Sytuacja wymyka się najwyraźniej z jego rąk. Ukradł z hotelowej galerii obraz Wyetha, by postawić rodzinę Marchandów w kłopotliwej sytuacji, ale zwrócił go, zanim zarządzająca galerią Sylvie zdążyła kogokolwiek o tym powiadomić. Sądził, że zepsuje opinię hotelu, wsypując cukier do przewodu zasilającego w paliwo generator prądotwórczy. Awaria tego agregatu wyszła na jaw dopiero w chwili, w której nastąpiło zaciemnienie - to był jedyny szczęśliwy dla niego zbieg okoliczności. Chcąc dodatkowo zirytować gości, skierował kilku z nich do niewłaściwych pokoi. Jego akcja przyczyniła się w pewnym stopniu do zwiększenia chaosu.

Ale Danowi i Richardowi to nie wystarczało. Naciskali na niego, by zrobił więcej. Zaczynał żałować, że zawarł porozumienie z oboma braćmi. Współpracując z nimi w Tajlandii, przekonał się, że ich etyka zawodowa stoi pod znakiem zapytania. Chcieli nadwerężyć opinię Hotelu Marchand, by go tanio kupić i zaraz potem korzystnie sprzedać. Tak jak postąpili ze swymi poprzednimi nieruchomościami.

Nerwowym gestem przesunął po czole dłonią i zdał sobie sprawę, że nie jest już pewien, czy ma prawo szkodzić swej ciotce i jej córkom. Chyba nie były one tak podłymi kobietami, jak mu się kiedyś wydawało. Prawdziwą wiedźmą była tylko babka Celeste - osoba odpowiedzialna za wszystkie życiowe niepowodzenia jego ojca.

Zadowolony, że nikt nie prosi go w tej chwili o informacje ani o zarezerwowanie stolika w jakiejś modnej restauracji, rozsiadł się na wygodnym fotelu.

Odsunął na bok wszystkie wątpliwości i przypomniał sobie, że ułożył swój plan bardzo precyzyjnie. Wszystko musi się udać. Jeśli zachowa zimną krew i nie będzie się rzucał w oczy, hotel prędzej czy później znajdzie się na dnie...

Matt nie ujawnił przed Kerry całej prawdy o swych planach na bieżący dzień. W tej chwili jechał do pewnej restauracji, której właściciel prosił go o dokonanie przeglądu piwnicy win. Ale

w ciągu minionej godziny przebywał w krematorium, gdzie wypełniał niezbędne formularze i dokonywał wyboru urny oraz dekoracji.

Nie chciał narażać Kerry na udział w tych przygnębiających zajęciach, gdyż widział wyraźnie, że nadal grozi jej depresja będąca następstwem samobójstwa kuzynki i okoliczności śmierci Patti.

Na samą myśl o Kerry uśmiechnął się pogodnie i poczuł przyspieszone bicie serca. A także pragnienie, by jak najprędzej znaleźć się w jej towarzystwie. Zdał sobie jednak sprawę, że to ostatnie nie będzie możliwe.

Przez całą resztę popołudnia skupiał uwagę na swym zadaniu. Wraz z właścicielem przejrzał jedną z najbardziej obszernych list win, z jakimi miał do czynienia w jakiegokolwiek restauracji. Były w niej licznie reprezentowane gatunki pochodzące z Francji i Kalifornii, ale nie brakowało też trunków sprowadzanych ze stanu Nowy Jork, Wirginii, Australii i Afryki Południowej. Poddali degustacji dwanaście butelek, uznając dwie za doskonałe, a pozostałe za bardzo dobre.

Kiedy niemal trzy godziny później skończył swoją pracę, marzył tylko o tym, by jak najprędzej wrócić do hotelu. Wychodząc pospiesznie z restauracji, o mało nie wpadł na swego znajomego.

- Jak się miewasz, Jason? - spytał zdawkowym tonem.

- Co ty do cholery knujesz? - spytał z nieukrywaną wrogością Jason Pichante.

Matt spojrział na rozwścieczonego młodego człowieka.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi - stwierdził spokojnym tonem.

- Rozmawiałeś dziś rano z moim ojcem. Powiedział mi, że starasz się zdobyć zgodę na... na odebranie z kostnicy... szczątków Patti...

- Owszem. Ona była przyjaciółką Kerry. Ponieważ najwyraźniej nie ma żadnej rodziny, oboje postanowiliśmy coś dla niej zrobić. Stara królowa wudu, która była jej duchową przewodniczką, stwierdziła, że powinniśmy zorganizować kremację zwłok.

Jason słuchał tych wyjaśnień, nie odrywając wzroku od trotuaru. Jego twarz była tak nieruchoma, jakby wyrzeźbiono ją z kamienia. Ponieważ nie odezwał się ani słowem, Matt mówił dalej:

- Powiedziała nam też, żebyśmy rozsypali prochy Patti tam, gdzie znajdzie wieczny spokój. Czy możesz nam wskazać takie miejsce? Miejsce, w którym była kiedyś szczęśliwa?

Jason miał tak rozszerzone źrenice, że jego tęczyki wydawały się niemal czarne. Matt pomyślał, że odbijają one stan jego ducha, i poczuł odrobinę współczucia.

- Było takie miejsce... - mruknął Jason tak cicho, że Matt musiał pochylić się w jego stronę, by go usłyszeć. - Ale nie wiem, czy znalazłaby tam wieczny spokój.

- Cordon Rouge? - spytał Matt.

Na dźwięk jego słów młody człowiek drgnął nerwowo i zacisnął dłonie w pięści.

- Tak. Jej dom rodzinny... Dawno temu.

- Czy wiesz, jak tam trafić?

Jason milczał przez dłuższą chwilę, a potem wyjaśnił Mattowi, jak dotrzeć do małego miasta o nazwie Indigo, położonego na południowy zachód od Nowego Orleanu.

- Mieszkańcy tego miasteczka wskażą wam drogę na plantację. Teraz leży ona na terenie rezerwatu przyrody, więc jest własnością publiczną.

- Dziękuję. Powiem o tym Kerry.

Jason kiwnął głową i najwyraźniej zamierzał odejść, ale nagle się zatrzymał.

- Czy wybieracie się tam w najbliższym czasie?

- Jutro.

Młody człowiek ponownie kiwnął głową i bez słowa przeszedł na drugą stronę ulicy. Matt zauważył, że wchodzi do oddziału banku należącego do rodziny Piéhante'ów, i zastanawiał się przez chwilę, czy Jason jest jego pracownikiem. Potem ruszył szybkim krokiem w stronę hotelu.

Kiedy wszedł na dziedziniec, od razu poczuł przypływ optymizmu. I po raz kolejny uświadomił sobie, jak bardzo jego życie zmieniło się na korzyść od chwili, w której poznał Kerry.

Siedziała przy stoliku pod parasolem, w towarzystwie dwóch kobiet. Kiedy podszedł, powitała go tak serdecznie, że z trudem powstrzymał się, by

ją objąć. Zachowaj zimną krew, upomniał się w duchu. Choć Kerry wydawała się spełnieniem wszystkich jego marzeń, nie zamierzał tracić głowy dla żadnej kobiety.

- Poznałeś już Charlotte - ciągnęła Kerry.
- A to jest jej matka, pani Anne Marchand. Oповідаłam im o kremacji Patti i o naszych planach na jutrzejszy dzień.

Matt uściśnął dłoń pani Marchand, która musiała mieć około sześćdziesięciu lat, lecz wyglądała o wiele młodziej i była nadal bardzo atrakcyjną kobietą. Natomiast jej córka wydawała się tak podenerwowana i spięta, jakby ostatnio źle sypiała.

Pewnie od sobotniego wieczoru, domyślił się Matt. Spojrzał na Kerry, która miała na sobie sportowe spodnie i obcisły sweter. Wydała mu się tak piękna, jak nigdy dotąd.

- Usiądź z nami - zaproponowała z uśmiechem.

Matt zajął wolne krzesło stojące między Kerry i Anne.

- Muszę wyznać, że jestem pod wrażeniem tego, co oboje robicie dla tej nieszczęsnej młodej kobiety - oznajmiła Anne, potrząsając głową. - Dajecie piękny przykład życzliwości, jaką należy okazywać nieznanym.

Nastąpiła chwila ciszy nasyconej wielkim smutkiem. Matt zauważył, że w oczach Kerry pojawiły się łzy.

- Wstąpiłem po drodze do krematorium - rzekł

łagodnym tonem. - Wszystko przebiega zgodnie z planem.

Położyła dłoń na jego ramieniu i spojrzała na niego w taki sposób, jakby dokonał jakiegoś heroicznego wyczynu.

- Dziękuję, Matt. Zdejmujesz mi ciężar z serca.
- Odwróciła się do obu kobiet. - Zamierzamy odnaleźć dawny dom Patti i rozsypać tam jej prochy.

- Ten policjant mówił, że w restauracji, w której pracowała, nie wiedzą nic o jej krewnych - oznajmiła Charlotte.

- Oboje z Kerry przeprowadziliśmy prywatne śledztwo i ustaliliśmy miejsce jej pochodzenia - oświadczył Matt. - Ta plantacja należała kiedyś podobno do jej rodziny. - Odwrócił się do Kerry.
- To niedaleko Lafayette. Jeśli wyjedziemy między dziewiątą a dziesiątą rano, powinniśmy mieć mnóstwo czasu. Załatwiłem już formalności związane z wynajmem samochodu.

- Och, ja w ogóle nie pomyślałam o samochodzie - wyznała Kerry, uderzając się dłonią w czoło.
- Tak czy owak, masz rację. Wyjedźmy jak najwcześniej.

- Przyjechaliście tu na wakacje, a tymczasem spędzacie cały czas na pomaganiu innym - stwierdziła z podziwem Anne.

- Mam dla was propozycję - dodała Charlotte.
- Tak się składa, że po tej nieszczęsnej sobocie sporo osób odwołało rezerwację. Zostańcie tu przez następny tydzień jako nasi goście. Tego wy-

maga elementarne poczucie sprawiedliwości. A jeśli to niemożliwe, wróćcie jak najprędzej do Nowego Orleanu i pozwólcie nam zadbać o to, żeby wasz pobyt był przyjemny i wolny od przykrych niespodzianek.

- Wasza propozycja jest bardzo miła - oświadczyła Kerry. - Jeśli chodzi o mnie, to mogę zostać kilka dni dłużej. Nie mam żadnych spotkań przed przyszłym czwartkiem. A jak jest z tobą? - spytała, zerkając na Matta i stwierdziła z radością, że kiwa głową.

- Muszę napisać artykuł oparty na obserwacjach, jakich dokonałem w tym mieście. Mogę to zrobić równie dobrze tutaj, jak w Nowym Jorku.

- To wspaniale! - zawołała Anne, a potem wstała od stołu i pożegnała się, życząc wszystkim miłego dnia.

- Czy zechcecie zjeść dziś kolację na koszt hotelu? - spytała Charlotte po odejściu matki. - I tak zamierzamy obniżyć koszt waszych posiłków. Nie chcę słuchać żadnych protestów.

- Mój wydawca będzie zachwycony - oznajmił Matt, gdy zostali sami. - Koszt mojego pobytu w Nowym Orleanie okaże się znacznie niższy, niż oczekiwał.

- A wynajem samochodu?

- Zapłacę za niego z własnej kieszeni. To jest prywatna podróż, która, mam nadzieję, sprawi mi przyjemność. Zwłaszcza że odbędę ją w twoim towarzystwie.

- Ja też bardzo się na nią cieszę - odparła z pogodnym uśmiechem Kerry.

Matt ponownie poczuł przyspieszone bicie serca. Miał wrażenie, że oboje znajdują się pod przemożnym wpływem magii. Co więcej, wcale mu to nie przeszkadzało. Cieszył się, że poznał Kerry i może przebywać w jej towarzystwie. Ale był pewien, że nie jest na tyle głupi, by się w niej zakochać.

scandalous

ROZDZIAŁ ÓSMY

W środę wsiedli do wynajętego samochodu już przed dziesiątą rano. Na tylnym siedzeniu stała drewniana urna, na której wyrzeźbiono znaki Ju-Ju i liczne błyskawice. Kerry doszła do wniosku, że muszą one być odpowiednikami grzmotu, który symbolizował Ducha Uzdrawiciela.

Odetchnęła głęboko i przymknęła oczy. Czowała nerwowe podniecenie. Nie wiedziała, jak to jest możliwe, ale była równocześnie wesoła i smutna.

Myśląc o Patti, przypomniała sobie swoją ukochaną kuzynkę, która oddaliła się od świata żywych, by umrzeć w samotności. Instynkt podpowiadał jej, że Patti w chwili śmierci miała przy sobie swego partnera, którym był zapewne Jason. Ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że tej pięknej młodej kobiecie również dokuczała samotność.

- Jesteś dziś spokojna i milcząca - zauważył Matt, kiedy wyjechali z miasta na autostradę.

- Sądzę, że większość mężczyzn byłaby mi za to wdzięczna - odparła żartobliwym tonem.

- Ja nie jestem, bo podejrzewam, że źródłem twojego milczenia może być smutek. A poza tym lubię z tobą rozmawiać.

Jego głos był tak dźwięczny i głęboki, że poczuła w sercu ostre ukłucie bólu. Wiedziała, że będzie nieszczęśliwa, żegnając się z Nowym Orleanem.

I z nim.

Rozluźniła pas bezpieczeństwa i odwróciła się w taki sposób, by usiąść do Matta przodem. Miał pociągający profil i ostre rysy. Z jego twarzy emanowała dojrzałość i odpowiedzialność. Zerknąwszy na urnę, zdała sobie sprawę, że Matt jest człowiekiem umiejącym stawiać na swoim. Gdyby nie on, zadanie, jakiego się podjęła, byłoby o wiele trudniejsze.

- Opłakuję śmierć Patti, ale nie czuję bólu - wyznała cicho. - Czuję się tak, jakbym straciła przyjaciółkę sprzed wielu lat. Nie mogę zmienić niczego, co wydarzyło się w jej życiu, więc zapamiętam tylko to, że potraktowała mnie życzliwie, kiedy tuż po przyjeździe do miasta byłam trochę zagubiona. Może to zabrzmieć dziwnie, ale w pewnym sensie nadała sens tej podróży, którą uważałam wtedy za stratę czasu, choć oczywiście nie mogłam tego powiedzieć ani siostrze, ani grupce wspólnych przyjaciół.

- Ale teraz już tak nie myślisz, prawda?

Emocje, które nagle poczuła Kerry, były zbyt ulotne, by zdążyła je zidentyfikować.

- Nie, teraz już tak nie myślę - odparła drżącym głosem.

- Jestem szczęśliwy, że cię poznałem, choć

okoliczności nie były sprzyjające - oznajmił Mart, rzucając jej przelotne spojrzenie. - Bardzo szczęśliwy.

Kiwnęła potakująco głową.

Jechali przez jakiś czas autostradą w kierunku zachodnim, a potem skręcili na drogę, która prowadziła do miasta New Iberia, stolicy krainy Cajun. Na południowy zachód od szosy rozciągały się słone moczary. Niektóre odcinki drogi przebiegały po grobli przebiegającej nad zbiornikami wodnymi i porośniętej trzcina.

Skutki straszliwego huraganu, który przeszedł przez te tereny dwa lata wcześniej, były nadal widoczne. Po obu stronach szosy widzieli liczne obalone drzewa i zmiążdżone przez wiatr lub wodę domy. Niektórzy mieszkańcy tych okolic postanowili najwyraźniej nie wracać do swych gospodarstw.

- Popatrz na to drzewo - szepnęła Kerry, choć piękne białe ptaki nie mogły jej usłyszeć.

- To żurawie - wyjaśnił Matt.

Kerry spojrzała na niebo.

- Chmury robią się coraz ciemniejsze - stwierdziła z lekkim niepokojem.

- W telewizji zapewniali, że w tym tygodniu nie będzie padać.

- Tak... Zapowiadano też, że w stanie Minnesota mogą nastąpić nieznaczne opady śniegu. Tymczasem spadło go już ponad trzydzieści centymetrów.

Oboje wybuchnęli śmiechem i zaczęli rozmawiać o drobiazgach. Wkrótce dotarli do St. Martinville. Mart zwolnił, a potem zatrzymał samochód na przydrożnym parkingu.

- Jest tu coś, co chciałbym ci pokazać - powiedział, ruszając przed siebie.

Kerry bez wahania poszła za nim, choć w normalnych warunkach spytałaby go, dlaczego się zatrzymują i co będą oglądać. Na tym polega zaufanie, pomyślała, gdy Matt wziął ją za rękę i poprowadził na drugą stronę ulicy. Ufała temu człowiekowi. Ta świadomość wywołała w niej kolejną falę sympatii.

- Och! - zawołała z zachwytem, gdy zatrzymali się przed posągiem kobiety, której ramiona i plecy przysłaniał długi płaszcz.

Podstawę pomnika stanowił kamienny grobowiec podobny do tych, które widziała na nowoorleańskim cmentarzu.

- Ewangelina... - przeczytała na głos, podchodząc bliżej do kamiennej figury.

- Longfellow uwiecznił ją w swoim poemacie jako symbol nieprzemijającej miłości - mruknął Matt.

- Która nigdy nie została spełniona - dodała szeptem Kerry. - Kiedy po latach poszukiwań odnalazła wreszcie Gabriela, okazało się, że poślubił już inną kobietę i ułożył sobie życie bez niej.

Spojrzała na Marta i poczuła ukłucie lęku. Co by było, gdyby nie spotkała tego mężczyzny? Co bę-

dzie, jeśli w przyszłym tygodniu się rozstaną i nigdy więcej nie zobaczą?

- Może nie powinienem był cię tu przywozić - zauważył, marszcząc brwi. - Nie chciałem cię zasmucać, ale nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś tak wrażliwa.

- Jestem ci bardzo wdzięczna. Byłabym rozczarowana, gdybym się dowiedziała, że byliśmy tak blisko tego pomnika i nie skorzystaliśmy z okazji, żeby go obejrzeć.

- Jest już po dwunastej - oznajmił, zerknąwszy na zegarek. - Chyba powinniśmy jechać dalej.

Wrócili do samochodu i dotarli niebawem do miasteczka Indigo. Matt wyjaśnił jej, że jego nazwa pochodzi od powszechnie uprawianej niegdyś w tym regionie rośliny, z której wyrabiano niebieską farbę. Zatrzymali się na głównym placu, a właściwie trawniku, by zjeść lunch, który Matt zamówił w hotelu Marchandów. Kerry była zachwycona i uznała to za kolejny przejaw jego troskliwości.

- Skąd wiedziałeś, że uwielbiam pikniki? - spytała, siadając wygodnie na trawie i otwierając plastikowy pojemnik z kurczakiem, makaronem, jarzynami i plasterkami pomarańczy.

- Domyśliłem się, bo ja też za nimi przepadam - odparł, obrzucając ją czułym spojrzeniem, po którym poczuła się tak, jakby wypiła dwa kieliszki wina. - Zauważyłem już, że mamy z sobą wiele wspólnego.

Kiwnęła głową zastanawiając się, czy jej szampański nastrój nie jest za bardzo widoczny.

- Spójrz na ten dom, który stoi po drugiej stronie placu - powiedziała, by zmienić temat. - Jest moim zdaniem bardzo ładny.

- Masz rację. Pójdziemy go obejrzeć zaraz po lunchu.

Pół godziny później stanęli przed ozdobnym budynkiem, w którym mieścił się sklep z antykami. Z wywieszonej na nim tablicy informacyjnej wynikało, że była to niegdyś siedziba opery, którą bogaty miejscowy plantator wybudował dla swojej żony.

- To naprawdę cudowne z tego strony - stwierdziła z zachwytem Kerry.

- Masz rację. Mężczyźni lubią sprawiać przyjemność ukochanym kobietom - odparł Matt, delikatnie mierzwiąc jej włosy.

Poczuła, że robi jej się gorąco, ale stłumiła w sobie radosne podniecenie i spojrzała na zegarek.

- Jeśli chcemy wrócić do miasta przed zmrokiem, musimy ruszać w drogę.

- Czyżbyś podejrzewała, że po zapadnięciu ciemności zamienimy się w wampiry? - spytał ze śmiechem Matt.

- Sama nie wiem - mruknęła, wsiadając do samochodu i zapinając pas. - Może w wilkołaki?

Czuła się dziwnie wzruszona. Zarówno grobowiec, jak i budynek opery przywiodły jej na myśl potęgę prawdziwej miłości i poruszyły w jej duszy jakieś struny, których istnienia nawet się nie domy-

ślała. Odetchnęła głęboko i postanowiła zapanaować nad odruchami. Wygłosiła kilka zdawkowych uwag na temat piękna krajobrazu oraz mijanych po drodze zabytkowych budowli i po chwili poczuła się spokojniejsza.

Mart wyjął z kieszeni kartkę, na której zanotował informacje dotyczące trasy, i uważnie je przeczytał. Potem zjechał na wąską boczną drogę, a później, gdy dotarli do skrzyżowania, skręcił ponownie w lewo.

- Spróbuj się zabawić w mojego nawigatora i powiedz mi, jak mam dalej jechać - poprosił, podając jej kartkę.

- Kto ci powiedział, jak się można tam dostać?

- Jason Pichante. Spotkałem go wczoraj na ulicy. Sprawdziłem wszystkie informacje na mapie.

- Dobra robota. - Wahala się przez chwilę, a potem dodała: - Kiedy widzieliśmy go w tym magazynie, odniosłam wrażenie, że jest w nim mnóstwo złości.

- Myślę, że jest wściekły nie tylko na ojca, lecz również na siebie samego.

- Może dlatego, że zostawił Patti bez opieki? Jestem przekonana, że to on był z nią w dniu jej śmierci.

- Być może - mruknął Mart, wzruszając ramionami. - A tymczasem my znaleźliśmy się najwyraźniej w ślepych zaułku. Czy przegapiłem zakręt?

- Chyba nie... - Kerry zerknęła na kartkę z opisem trasy. - Zrobiliśmy wszystko zgodnie z in-

strukcją. Widzę za tymi drzewami jakiś dom. Może to tutaj...

Matt cofnął się i skręcił na zarośnięty chwastami podjazd. Po chwili ujrzeli starannie utrzymany trawnik, a za nim niewielki budynek. Wyszła z niego kobieta i stanęła na ganku, najwyraźniej chcąc się im przyjrzeć. Miała na sobie długą czarną spódnicę i białą, wykrochmaloną bluzkę.

- Nie wygląda to na plantację - mruknął Matt. Potem podszedł do kobiety, przedstawił się i wyjaśnił, skąd się wzięli. - Plantacja, której szukamy, nazywała się kiedyś Cordon Rouge - oznajmił na zakończenie. - O ile wiem, leży teraz na terenie rezerwatu przyrody.

- Trudno tam się dostać - odrzekła kobieta. - Droga jest w fatalnym stanie, od dawna nikt jej nie naprawiał.

Była wysoka i szczupła, a jej skóra miała kolor kawy z mlekiem. Podobnie jak w przypadku starej królowej wudu, Kerry nie potrafiła określić jej wieku, ale domyślała się, że musi mieć co najmniej osiemdziesiąt lat.

- Po co chcecie tam jechać?

Matt i Kerry zerknęli na siebie, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Chcemy wyświadczyć przysługę naszej przyjaciółce - odparł w końcu Matt.

- Czy to była młoda kobieta?

Kerry poczuła nerwowy dreszcz. Matt kiwnął głową.

- Wejdźcie i odpocznijcie - poprosiła nieznajoma. - Macie za sobą długą podróż, więc potrzebujecie czegoś, co doda wam sił.

Weszli na ganek, a kobieta zniknęła we wnętrzu domu, by powrócić po chwili z dwiema wysokimi szklankami mrożonej herbaty i talerzem pełnym ciastek. Postawiła tacę na niskim stoliku, usiadła na trzcinowym bujanym fotelu i spojrzała na nich badawczo swymi zielonymi oczami.

- Co się stało Patti? - spytała cicho.

Kerry głośno wciągnęła powietrze do płuc. Matt pochylił głowę, jakby chciał wyrazić podziw dla przenikliwości pani domu.

- Umarła - odparł po chwili.

- Z jakiego powodu?

Matt wyjaśnił, że Patti najwyraźniej zatrzymała się miłosnym napojem. Kobieta nie skomentowała tej informacji ani jednym słowem. Zapadła cisza, która wydawała się naładowana elektrycznością. Choć dzień był ciepły, Kerry poczuła zimny dreszcz. Stara kobieta wpatrywała się w horyzont, jakby widząc na nim rzeczy, które dla nich były niedostrzegalne. W końcu zrobiła znak krzyża i przerwała milczenie.

- A więc dzięki Bogu nie odebrała sobie życia...

- Czy pani ją znała? - zapytał Matt.

- Ja, jej ojca i jej dziadka. Jestem Atta. Kiedy Patrick Ruoui popełnił samobójstwo, byłem w ich domu gospodynią. Podpalił dom i stodołę, a potem

stanął nad moczarami i strzelił sobie w głowę. Nigdy nie pojęłam, jak mógł postąpić tak samolubnie.

- Samolubnie? - powtórzyła Kerry.

- Człowiek, który odchodzi w taki sposób, zostawiając pogrążone w żałobie dziecko własnemu losowi, jest skończonym egoistą. Matka Patti umarła rok wcześniej. Dziewczynka potrzebowała go bardziej niż kiedykolwiek. To było haniebne - dodała stanowczym tonem.

- Czy groziła mu utrata plantacji? - spytał Matt.

Spojrzał w oczy starej kobiety i odniósł wrażenie, że odbija się w nich mądrość wielu stuleci.

- Nie było żadnej plantacji.

- Patti twierdziła, że Cordon Rouge było jej domem - wtrąciła Kerry.

- Nie, nie. To była stara posiadłość, w której się urodziłam. Została zabrana przez władze stanowe z powodu zaległości podatkowych i już siedemdziesiąt lat temu stała się rezerwatem przyrody. Wszystko, z wyjątkiem tego kawałka ziemi i mojego domu. Pradziadek Patti przekazał go w testamencie mojej matce. Patti i jej rodzice mieli w tej okolicy inną, mniejszą nieruchomość. Był to kawałek ziemi, który przylegał niegdyś do dawnej plantacji. Został on kupiony i przekazany ojcu Patricka, zanim jego dziadek stracił resztę majątku.

Kerry zdała sobie sprawę, że miała zupełnie błędne wyobrażenie o Patti, która wcale nie mieszkała na wielkiej, choć zaniedbanej plantacji.

- A więc to było kłamstwo - mruknęła. - Ta plantacja i jej życie...

- Być może - przyznała Atta. - Kto wie, co dzieje się w głowie człowieka? - Wskazała palcem bransoletkę z talizmanami. - Nosi pani na rękę trzy kości. Czy wie pani, co one oznaczają?

- Nie.

- Są symbolami trzech światów albo trzech bytów: świata materialnego - rozłożyła ręce, ukazując wszystko, co było dla nich widzialne - świata, który tworzymy w swoim umyśle, i świata duchowego, o którym wiemy bardzo niewiele.

Kerry pomyślała o Patti i zaczęła się zastanawiać, gdzie powinni wyspać prochy, aby zapewnić spokój jej udręczonej duszy.

- Czy może nam pani powiedzieć, gdzie znaleźć jej dom? Miejsce, w którym mieszkała przed śmiercią rodziców?

Atta kiwnęła głową.

- To była malutka plantacja bawełny. Ale Patrick nie był ani farmerem, ani biznesmenem. Marzył o powrocie do czasów dawnej świetności. Przekazał te marzenia Patti. Ale nigdy nic z tego nie wyszło.

Kerry poczuła nagłe ukłucie żalu. Przyszło jej do głowy, co musiała przeżywać Patti, kiedy jej ojciec się zastrzelił.

- Co się wydarzyło po śmierci Patricka Ruoui?
- spytał Matt.

Atta spojrzała na niego badawczo.

- Kiedy dom został zamknięty, zaczęłam pracować w gospodarstwie ciotki...

- Ciotki Patti? Tej, u której ona mieszkała?

- Tak. To był dla niej trudny okres. Nikt jej nie chciał. Ciotka okazała się słaba, a wuj okrutny. Ten piękny, bogaty dom nie był właściwym miejscem dla dziecka.

Kerry poczuła, że Matt chwyta ją za rękę, by dodać jej otuchy.

- Ale Patti była niezwykłą dziewczyną - ciągnęła Atta. - Miała dobry, silny charakter. Przeżyła. Kiedy wyjechała na studia do Nowego Orleanu, wiedziałam, że już nigdy tu nie wróci.

- I tak się stało.

- Opowiedzcie mi o jej śmierci - zażądała stara kobieta. Jej spokojny już głos przypominał szelest liści poruszających się w powiewach wiatru.

Matt oznajmił jej, że znalazł zwłoki Patti w swoim pokoju hotelowym podczas uroczystych obchodów święta Trzech Króli. Opowiedział też o ceremonii uzdrowicielskiej i o starej królowej wudu.

Atta zamknęła oczy i zaczęła się powoli kiwać w przód i w tył.

- Ta tragedia zmieni wasze życie - stwierdziła po chwili ciszy.

„Musisz iść świetlistą drogą...”

Kiedy słowa królowej wudu zabrzmiały w uszach Kerry, ścisnęła mocno dłoń Matta. Poczowała w głowie zamęt, który zdawał się promieniować na całe ciało.

- Kerry i ja dokonaliśmy obrządku oczyszczenia, czyli kremacji - oznajmił Matt. - Chcemy umieścić jej prochy w miejscu, w którym była kiedyś szczęśliwa. Dlatego szukamy tej plantacji.

- Wchłonęły ją na nowo bagna.

- Więc może powinniśmy jednak tam pojechać?

Atta patrzyła na nich przez dłuższą chwilę, wyraźnie zdezorientowana. W końcu kiwnęła głową.

- Nigdy bym na to nie wpadła, ale być może ma pan rację. Do wszystkich tych działań zainspirowały was duchy, więc tylko wy znacie prawdę. Ale zastanówcie się, zanim rozsypiecie prochy. Jeśli jej duch ma znaleźć spokój, ten obrządek musi być odprawiony zgodnie z rytuałem. - Znów spojrzała badawczo na Kerry. - To pani została wybrana, więc będzie pani wiedziała, jak postąpić.

Kerry kiwnęła głową, jakby chcąc dać do zrozumienia, że bierze na siebie narzucony jej obowiązek.

- Jak znajdziemy tę małą plantację?

Atta udzieliła im wskazówek, które miały ich doprowadzić na miejsce. Zaznaczyła przy tym, że stara droga od dawna nie była używana, więc będzie zarośnięta, ale przejezdna. Podziękowali jej serdecznie i zaczęli schodzić po schodkach. Nagle Matt się zatrzymał.

- Czego mamy szukać, gdybyśmy zechcieli dotrzeć do Cordon Rouge, a raczej tego, co zostało z tej plantacji?

- Jeśli pojedziecie dalej tą drogą, którą jeździły niegdyś powozy, doprowadzi was ona na miejsce, ale znajdziecie tam tylko ruiny.

Wskazała im drogę, którą przyjechali. Kerry zdała sobie sprawę, że okraża ona dom staruszki i biegnie dalej... przez rosnący za nim cyprysowy gaj... aż do Cordon Rouge.

Matt posuwał się ostrożnie zaniedbaną drogą w kierunku dawno opuszczonej farmy, nie przestając zerkać na niebo. Miejsce białych obłoków, które oglądali z rana, zajęły na nim teraz ciemne burzowe chmury.

Dziękował Bogu za to, że farma, na której urodziła się Patti, jest oddalona od domku staruszki tylko o milę, ale dojazd i tak zajął mu dwadzieścia minut. Przydrożne chwasty uderzały głośno o maskę wynajętego samochodu. Chwilami było tu tak grząsko, że musiał jechać bardzo blisko starego płotu, by nie utknąć w błocie.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił, gdy dotarli do końca drogi. Wsiadł z samochodu i zaczął poruszać rękami, by uśmierzyć ból pleców i ramię.

Zerknął na pobladłą twarz Kerry i doszedł do wniosku, że popełnił błąd, przywożąc ją w to miejsce. Wiedział jednak, że gdyby tego nie zrobił, dotarłaby tutaj w jakiś sposób na własną rękę. Odetchnął głęboko i stanął obok niej przed maską samochodu.

- Ten zakątek jest piękny - szepnęła z zachwytem. - Ale zarazem dziki i odludny.

Spojrzeni na spalone resztki domu. Był to najwyraźniej dość skromny piętrowy budynek, z którego zostały tylko kominy i fundamenty. Wszystko było zarośnięte dzikim winem.

- Tam chyba musiał być kiedyś ogród - rzekła Kerry, wskazując przestrzeń na tyłach ruin. Ale mimo usilnych poszukiwań nie znaleźli żadnych śladów ludzkiej działalności. Cały obiekt był tak dalece pozbawiony życia, jakby jego dusza już dawno stąd odeszła.

Za domem majaczyły ruiny jakiejś szopy i fragmenty przewróconego płotu. Natura upomniała się o swoje prawa. Podmokłe tereny zarósł dziki ryż, a cyprysy były oplecione porostami. Wysokie do pasa chwasty zniechęcały do spacerów po okolicy.

- Uważaj na te osty - ostrzegł Matt, przyciągając Kerry do siebie.

- Tak... one wyglądają bardzo groźnie - stwierdziła, opierając głowę o jego ramię. Stali na końcu wyłożonej cegłami ścieżki. Nie było tu furki, ale resztki płotu dowodziły, że teren był niegdyś ogrodzony.

- Ten ogród był chyba tutaj - mruknął Matt.

Kerry przytaknęła ruchem głowy, a potem raz jeszcze zerknęła na ruiny domu i wydała głębokie westchnienie.

- Nie możemy zostawić prochów w takim miejs-

cu - powiedziała cicho. - To nie jest jej duchowy dom.

Matt milczał, wiedząc dobrze, że w tym przypadku Kerry nie kieruje się logiką, lecz instynktem.

- W takim razie poszukamy innego miejsca.

Kerry spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Dziękuję ci za to, że akceptujesz opinię, której w żaden sposób nie umiałabym uzasadnić. Po prostu czuję, że ona nie chciałaby tu zostać.

- Rozumiem. - Matt przypomniał sobie swoją siostrę, która w okresie dzieciństwa była mu bardzo bliska. Musiał przyznać, że od tego czasu nigdy nie rozumiał się tak dobrze z innym człowiekiem. Miał wrażenie, że odczytuje instynktownie wszystkie myśli Kerry, że ich dusze wiąże z sobą jakaś niewidzialna nić. - Kerry, kochanie...

Pocałował ją, a ona zarzuciła mu ręce na szyję i przycisnęła usta do jego warg. Potem objęła nogami jego biodra i przywarła do niego całym ciałem. Jęknął z rozkoszy, ponieważ pocałunek stawał się z każdą chwilą bardziej namiętny. Smak jej ust przywodził mu na myśl wszystkie młodzieńcze marzenia o poznaniu idealnej kobiety. Od dawna nie wierzył w spełnienie tych marzeń, ale teraz wydały mu się nagle zupełnie realne.

Przesunął dłonią po jej plecach i biodrach, a potem dotarł do miejsca, w którym kryło się źródło rozkoszy. Gdy zaczął ją pieścić przez cienki materiał, nerwowo wciągnęła powietrze i jeszcze mocniej ścisnęła go nogami.

- Matt... - szepnęła drżącym głosem.

- Ja czuję to samo... - wyznał cicho. Był na wpół przytomny z pożądania i tak szczęśliwy, jak chyba nigdy dotąd. Pocałował ją jeszcze raz i w tym momencie usłyszał huk grzmotu. Niechętnie uniósł głowę. - Burza. Musimy się stąd zabrać.

Niebo rozdarł błysk pioruna, a nad ich głowami rozległ się ogłuszający trzask. Matt postawił Kerry na ziemi i chwycił jej rękę.

- Do samochodu!

Gdy tylko otworzyli drzwi, z nieba runęły strugi deszczu. Matt zapalił silnik, ostrożnie wycofał auto i wjechał na drogę, którą tu dotarli.

- Mam nadzieję, że uda nam się wydostać - powiedziała Kerry. - W tej okolicy ziemia szybko zamienia się w grzęzawisko.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby utknąć tu na jedną noc - odparł z przewrotnym uśmiechem.
- Oczywiście pod warunkiem, że będę przebywał w twoim towarzystwie.

Rzucił jej uwodzicielskie spojrzenie, a potem skoncentrował uwagę na prowadzeniu samochodu, chcąc wydostać się z podmokłych terenów, zanim zaleje je woda. Kiedy dotarli do dawnej drogi dla powozów, padał już tak gęsty deszcz, że nie dostrzegł domku Atty.

W jakąś godzinę później dotarli do miasteczka. Matt poczuł się bezpieczniej. W gruncie rzeczy bał się przymusowego uwięzienia na nieznanym sobie

obszarach. Tu, w mieście, perspektywa powodzi wydawała się mniej groźna.

- Pada tak mocno, że chyba powinniśmy... - zaczęła Kerry, ale potem przerwała nagle, jakby przerażona własną odwagą.

- Zatrzymać się na noc? - dokończył za nią Matt.

- Ale przecież w gruncie rzeczy jesteśmy zaledwie o dwie godziny drogi od Nowego Orleanu. A główne drogi nie powinny być zagrożone...

W jej głosie nie było wielkiego przekonania, a Matt zorientował się z radością, że ona też nie ma wielkiej ochoty na dalszą podróż.

- Jeśli chodzi o mnie, to chętnie bym się gdzieś zatrzymał. W St. Martinville, blisko figury Ewangeliny, zauważyłem hotel. Co powiesz na to, żebyśmy tam zajrzeli?

Czekał na jej odpowiedź z zapartym tchem. Ale ona nie wahała się ani przez chwilę.

- To doskonały pomysł! - zawołała z radością.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy ponownie dotarli do St. Martinville, na ulicach miasteczka było niemal pusto. Pod osłoną marynarki Matta wbiegli po schodach do hotelu. Mieścił się on w zabytkowym, lecz niedawno odnowionym piętrowym wiktoriańskim budynku, który został najwyraźniej odbudowany po huraganie Katrina.

Z hotelowym holem sąsiadowała rozległa, oszklona sala jadalna z dużym aneksem, który przypominał werandę. Zdobiły go liczne donice z kwiatami i paprociami. Ustawione wokół stołów wyściełane krzesła i wiklinowe fotele tworzyły przytulną atmosferę.

- Bardzo mi się tu podoba - rzekła Kerry, zatrzymując się na ganku, by strząsnąć krople deszczu. - Mam nadzieję, że nie wzbudzimy niczyich podejrzeń, choć nie mamy bagażu.

- Chcesz powiedzieć, że mogą nas wziąć za parę kochanków ukrywających się przed współmałżonkami, albo coś w tym rodzaju? - spytał dramatycznym szeptem Matt.

- Coś w tym rodzaju - przyznała ze śmiechem. Potem wskazała oszklone drzwi prowadzące do jadalni, w której siedziało już przy wieczornym

posiłku kilka grupek hotelowych gości. - Prowadź, a ja pójdę za tobą.

- Najpierw musimy się dowiedzieć, jak wygląda nasza przyszłość - oznajmił Matt, biorąc ją pod rękę i kierując się w stronę recepcji.

Urzędująca w niej kobieta okazała się właścicielką hotelu. Z jej identyfikatora wynikało, że nazywa się Margaret Beaulieu. Poinformowała ich, że dysponuje wolnymi pokojami.

- Przy tak paskudnej pogodzie nie powinno się podróżować - dodała z miłym uśmiechem.

- Drogi są niebezpieczne - przyznał Matt. - Właśnie dlatego postanowiliśmy nie wracać do Nowego Orleanu, lecz zatrzymać się na noc. - Odwrócił się do Kerry. - Chyba powinniśmy również zawiadomić dyrekcję Hotelu Marchand, że przyjedziemy dopiero jutro.

- Nie sądzę, żeby ktoś o nas pytał, ale Charlotte może się niepokoić naszą nieobecnością, więc uważam, że to dobry pomysł.

- Chętnie to załatwię - wtrąciła się pani Beaulieu. - Chodziłam do szkoły z Anne Marchand, więc znam całą rodzinę. - Położyła na blacie formularz meldunkowy. - Czy woła państwo dwuosobowy pokój, czy apartament?

Matt zerknął na Kerry i wyczytał w jej oczach wszystko, czego chciał się dowiedzieć.

- Apartament - odrzekł, a potem wypełnił formularz meldunkowy, podając swoje nazwisko oraz adres i wpisując Kerry jako swego gościa.

Na myśl o tym, że będzie figurować w książce gości jako „Kerry Anderson, małżonka”, poczuła lekki dreszcz zadowolenia. Ale rozsądek nie pozwalał jej spodziewać się po tym związku zbyt wiele. Nie miała pojęcia, na ile zaangażowany jest Matt, więc postanowiła nie traktować ich znajomości zbyt poważnie.

Wiedziała, że dramatyczne wydarzenia ostatnich kilku dni mogły osłabić jej zdolność prawidłowej oceny sytuacji. Chciała więc zachować zimną krew i nie budować zamków na lodzie. Jej poprzedni czteroletni związek nauczył ją ostrożności. Ciężko przeżyła rozstanie z narzeczonym, choć do tej pory nie mogła zrozumieć, dlaczego tak długo żyła iluzjami. Dlaczego wcześniej nie dostrzegła oczywistej prawdy, czyli tego, że po prostu do siebie nie pasowali.

Postanowiła, że będzie kierować się nowym hasłem, które brzmiało: korzystaj z życia. Zerknęła na Matta i doszła do wniosku, że korzystanie z życia w jego towarzystwie może być bardzo przyjemne. Odwzajemnił jej uśmiech, a potem wypełnił do końca formularz i wręczył go, wraz ze swą kartą kredytową, pani Beaulieu.

Jego spojrzenie sprawiło, że Kerry poczuła nagły przypływ pożądania. Miała ochotę natychmiast wziąć go w ramiona i całować aż do utraty tchu. Pomyślała o tym, jak wyglądałaby reakcja właścicielki hotelu, i wybuchnęła śmiechem. Potem weszła za Mattem na piętro i zatrzymała się przy

wejściu do ostatniego pokoju. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Mart uniósł ją w górę i postawił na rzeźbionym stołeczku stanowiącym podnózek wielkiego obrotowego fotela.

A potem zaczął ją całować. Robił to tak intensywnie, że zabrakło jej tchu. To było cudowne przeżycie.

Przywarła do niego całym ciałem. Miała wrażenie, że połączyli się w jeden organizm. Kiedy poczuła jego nabrzmiałą męskość, uniosła jedną stopę i postawiła ją na jego biodrze.

- Matt... - szepnęła, kiedy oderwał wargi od jej ust, by nabrać powietrza, i objął ją jeszcze mocniej. Tak mocno, że niemal omdlewała z rozkoszy.

- Marzyłem o tej chwili przez cały dzień - wyznał cichym głosem, pokrywając pocałunkami jej szyję.

- Ja też... Nie wiem, czy wybuchnę, czy stracę przytomność, ale dzieje się ze mną coś dziwnego.

Matt uniósł głowę i głęboko wciągnął powietrze.

- To jest tylko rozgrzewka - oznajmił z uśmiechem. - Musimy coś zjeść, zanim zamkną restaurację, ale potem będziemy mieli całą noc tylko dla siebie.

Poczuła lekki zawód, ale słysząc jego namiętny szept, doszła do wniosku, że warto poczekać na chwilę, w której dojdzie do spełnienia jej marzeń.

Odświeżyli się nieco, a potem zeszli do restauracji i dołączyli do trzech innych siedzących w niej par. W kominku huczał ogień, było ciepło i przytu-

Inie. Kilkunastoletnia dziewczyna, która przedstawiła się jako wnuczka właścicielki, posadziła ich przy ustronnym stoliku obok okna.

- Bardzo mi się tu podoba - oznajmiła Kerry, ogarniając wzrokiem całe wnętrze. Między stołami stały donice z roślinami, zapewniającymi klientom pełną dyskrecję.

- Mnie też - odrzekł Matt, choć patrzył tylko na nią.

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Kerry nie mogła oderwać od niego wzroku. Wszystko razem wydawało jej się zdumiewające. Na myśl o tym, co ją czeka, odczuwała radosne podniecenie. Wiedziała, że niedługo znajdzie się w ramionach wspańskiego mężczyzny, który z pewnością zaspokoi jej pożądanie. Tymczasem musiała jednak wrócić do rzeczywistości, gdyż przy stole pojawiła się kelnerka, która przyniosła im po szklance wody oraz koszyk pełen świeżych bułeczek.

Oboje zamówili na przekąskę owoce morza - ona sałatkę z krabów, a on porcję krewetek. Matt zajrzał do karty i wybrał z niej butelkę rose.

- Jest to lekko musujące wino, w którym czuje się aromat owoców. Myślę, że będzie ci smakowało. - Uniósł w górę swój kieliszek. - Wypijmy za naszą podróż.

- Za naszą podróż - powtórzyła jak echo Kerry. Potem stuknęła się z nim kieliszkiem i wypiała pierwszy łyk rose. - Mmm... bardzo dobre. Jaka jest różnica między musującym winem a szampanem?

- Szampan pochodzi z regionu Francji, który nazywa się Szampanią. Reszta świata produkuje tylko wina musujące. Francuzi usiłują chronić nazwę swego produktu, ale jest to walka skazana na klęskę.

Pochylił się nad stołem w jej kierunku, a ona odniosła wrażenie, że jego oczy jeszcze bardziej pociemniały. Z trudem przełknęła ślinę, nie będąc w stanie wykrztusić ani słowa.

- Zdradzę ci wszystkie tajemnice dotyczące wina, ale kiedy indziej. Teraz chcę się dowiedzieć wszystkiego o tobie. Opowiedz mi swoje najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa... bez względu na to, czy są dobre, czy złe.

Kerry zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

- Jako mała dziewczynka rozgniewałam się kiedyś okropnie na moją matkę. Nie pamiętam już, o co poszło, ale wiem, że przebiegłam na drugą stronę drogi do domku babci, bo miałam nadzieję, że mnie pocieszy i poczęstuje ciasteczkami. Wykrzykiwałam wtedy na cały głos najbrzydsze słowo, jakie znałam.

- Czyżby to było słowo czteroliterowe?

Kiwnęła głową, usiłując zachować powagę, a Matt głośno zachichotał.

- Czy ktoś cię usłyszał?

- Moja siostra doniosła na mnie mamie, która zabroniła mi przez miesiąc wychodzić z domu. Ale jako osoba szlachetna wybaczyłam jej, kiedy ukończyła dwadzieścia pięć lat, i od tej pory jesteśmy dobrymi przyjaciółkami.

Jego głośny śmiech zdawał się przenikać wprost do jej duszy. Miała wrażenie, że przeżywa wszystko w sposób niezwykle intensywny. Zarówno zakąski, jak i podane później dania główne - okoń morski i samogłów - miały wyborny smak. A ciepłe ciasto z owocami okazało się jednym z najlepszych deserów, jakie w życiu jadła.

To wszystko dzięki niemu, szepnęła jej dusza.

Oczywiście, potwierdziło z radością serce.

Uciszyła głos rozsądku, który ostrzegał ją przed zbyt pochopnym i zbyt głębokim zaangażowaniem uczuciowym. Postanowiła traktować ich związek jak wakacyjną przygodę i nie oczekiwać niczego więcej.

Kiedy podano im kawę, Matt zapytał ją o dalsze plany dotyczące prochów Patti.

- Ta stara kobieta mówiła, że będziesz wiedziała, co powinniśmy zrobić. Czy masz jakąś koncepcję?

Kerry kiwnęła głową.

- Zastanawiałam się, czy nie wsypać ich do Missisipi, żeby spłynęły z prądem. Czy to byłoby nielegalne?

- Nie jestem pewien. Mnie też przyszło to do głowy. Albo może do tej płytkiej zatoki...

- W okolicach plantacji Cordon Rouge? Nie jestem pewna, czy ona była tam szczęśliwa. Moja siostra odnalazła rodzinę Ruoui w Internecie. Powiedziała mi przez telefon, że wuj i ciotka Patti nadal mieszkają w tych okolicach, więc... - Urwała i z namysłem zmarszczyła brwi.

- O co chodzi? - spytał Matt.

- Patti nie podała w miejscu pracy adresu najbliższych krewnych. Wynika z tego, że chciała się od nich odciąć. Czy uważasz za możliwe, że zostali powiadomieni o jej śmierci i odmówili zajęcia się pogrzebem?

- Sam się nad tym zastanawiałem.

- Z tego, co mówiła Atta, wynika, że nie byli kochającymi krewnymi. Dlaczego oni jej nie lubili?

- Między ojcem Patti a jej ciotką toczyły się jakieś spory dotyczące prawa do własności ziemi. Ciotka była pewnie zła, że jej brat odziedziczył całą posiadłość.

- Ale i tak stracił tę plantację.

- Zgadza się. Chyba nie mógł znieść krytycznych uwag siostry i jej męża. Kiedy szukałem informacji w urzędzie ziemskim, odkryłem, że Patti nie dostała po ojcu żadnego spadku, bo jej ciotka i wuj odkupili farmę, płacąc zaległe podatki.

- Więc dlaczego nie uprawiają tej ziemi? - spytała z irytacją Kerry.

Matt wzruszył ramionami.

- Odniosłam wrażenie, że Patti nie miała żalu do rodziny, która tak źle ją potraktowała. Jak powiedziała nam Atta, była dobrą dziewczyną.

Matt obserwował Kerry bardzo uważnie. Słyszał w jej głosie współczucie dla młodej kobiety, której życie ułożyło się tak fatalnie. I doszedł do wniosku, że ona też jest bardzo dobrą, szlachetną dziewczyną. Przyciągała jego wzrok tak silnie, jak-

by była cennym i pięknym dziełem sztuki. W jej towarzystwie życie wydawało mu się cudowną przygodą. Nie był tak szczęśliwy już od wielu lat.

- Ale nie potrafiła się odnaleźć - ciągnęła Kerry po chwili namysłu. - Miała wielkie możliwości, ale nigdy ich do końca nie wykorzystała. Mam nadzieję, że znalazła wreszcie prawdziwą miłość w związku z Jasonem.

Matt poczuł złość na młodego człowieka, który pragnął Patti, choć nie chciał się do tego przyznać nawet przed samym sobą. Ale jego irytacja była zabarwiona współczuciem.

- Czy myślisz, że ją kochał?

- Chyba tak, ale nie na tyle, żeby przeciwstawić się ojcu albo zrezygnować z wygodnego życia i wspólnie z nią rozpocząć nowe.

- Będzie pewnie żałował tego tchórzostwa aż do śmierci.

Kerry patrzyła w ogień tak intensywnie, jakby spodziewała się, że dostrzeże w nim przyszłość. Matt położył rękę na jej dłoni, przywołując ją do rzeczywistości.

- Czy pójdziemy już na górę? - spytał łagodnie.

Jej uśmiech, przeznaczony wyłącznie dla niego, powiedział mu wszystko, czego pragnął się dowiedzieć. Przypomniał sobie, że chce jej przekazać kilka przedmiotów, które należały kiedyś do Patti. Ale ta sprawa może poczekać do rana. Noc należy do niego...

Kiedy wchodzili do przestronnego apartamentu, w którym stało olbrzymie łóżko, serce Kerry biło tak mocno, jakby zamierzało wyskoczyć z jej piersi. Łóżko było przygotowane do snu, a na marmurowych blatach nocnych stolików leżały miętowe czekoladki. Dwie niewielkie lampki z ozdobnymi kloszami, pomalowanymi w kolorowe kwiaty, rzucały przyćmione światło podkreślające przytulną atmosferę.

Kerry doceniła wszystkie uroki pokoju, a kiedy zajrzała do łazienki, zachwyciła się ogromną staroświecką wanną na metalowych nóżkach. W jej wyobraźni natychmiast pojawiły się bardzo interesujące sceny.

- To cudowny apartament. Cieszę się na długą, relaksującą kąpiel w tej wielkiej wannie. Choć prawdę mówiąc - dodała z przewrotnym uśmiechem - relaks jest ostatnią rzeczą, o jakiej w tej chwili marzę...

- Myślę, że to świetny pomysł - powiedział Matt, kładąc ręce na jej ramionach. - Każda nowa przygoda miłośna to piękne, ale dość nerwowe przeżycie, prawda?

Kerry odetchnęła z ulgą.

- A więc ty też jesteś zdenerwowany?

Matt uniósł jej podbródek w górę i spojrzał w oczy.

- Chyba trochę inaczej niż ty, ale wcale nie mniej. Chcę, abys wiedziała, że zastosuję się do wszystkich twoich wskazówek. Wszystko, co bę-

dziemy robić, musi być przyjemne dla obu stron. Czy mnie rozumiesz?

Kerry kiwnęła głową, a potem zarzuciła mu ręce na szyję i mocno przytuliła go do siebie.

- Matt... - szepnęła. - Ja chcę wszystkiego!

- Ja też, kochanie - odparł, biorąc ją na ręce i niosąc w stronę łóżka. Potem z uśmiechem położył ją na pościeli, wszedł do łazienki, odkręcił do końca kurki, sprawdził temperaturę wody i wrócił do pokoju.

Podczas jego krótkiej nieobecności Kerry zrzuciła buty i podłożyła sobie pod plecy kilka poduszek. Matt usiadł obok niej i zaczął rozpinać perłowe guziki jej zielonej bluzki. Marzył o tej chwili wiele razy w ciągu całego dnia. Kiedy skończył, zsunął bluzkę z jej ramion i ujrzał beżowy biustonosz w paski. Rozbawiony jego widokiem uśmiechnął się lekko, a potem sprawnie go zdjął.

- Och, kochanie... - mruknął. - Jesteś niewiarygodnie piękna...

Pokusa była zbyt wielka. Pochylił się nad nią i zaczął całować jej piersi, które zdażyły już nabrznieć. Delikatnie pieścił językiem jej skórę, aż do chwili, w której nie mógł dłużej opanować pożądania.

- Muszę zobaczyć cię całą - powiedział, odsuwając się od niej lekko, co wywołało cichy pomruk protestu.

W tym momencie przypomniał sobie o wodzie, która pewnie wypełniła już całą wannę. Wrócił do

łazienki i zakręcił krany. Potem dokończył rozbierania Kerry.

- Nie ruszaj się - poprosił i szybko zrzucił z siebie ubranie. Kiedy się odwrócił, jego pożądanie było już widoczne. Kerry wyciągnęła do niego rękę, a on uniósł ją bez wysiłku z łóżka i ruszył w kierunku łazienki.

- Pani kąpiel jest już gotowa - oznajmił, wkładając ją delikatnie do wody.

- Tu jest cudownie! - zawołała z zachwytem.
- Mam nadzieję, że się do mnie przyłączysz.

- A czy chcesz?

- Bardzo. Bardzo, bardzo...

Matt wszedł do wanny i usadowił się w niej, a potem przytulił Kerry do siebie w taki sposób, że dotykała plecami jego klatki piersiowej.

- Wyobraź sobie, że jestem twoim niewolnikiem - szepnął jej do ucha, a potem zaczął ją namiętnie całować.

Kiedy ich usta się zetknęły, oboje poczuli przypływ pożądania. Kerry nigdy nie wyobrażała sobie, że miłosna ekstaza może być aż tak obezwładniająca. Omdlała z rozkoszy, zapomniała o całym świecie; ważny był dla niej tylko ten moment i tylko ten mężczyzna.

Matt nigdy dotąd nie czuł się tak ożywiony. Pieszcząc ciało Kerry, dotarł wkrótce do bioder. Gdy posunął się odrobinę dalej, usłyszał cichy jęk rozkoszy.

- Matt - szepnęła - chodźmy do łóżka...

Czując jej rosnące pożądanie, pomógł jej wyjść z wanny i owinał ręcznikiem. Potem zaniósł ją do łóżka, odrzucił pościel i położył się obok niej.

Miała wrażenie że wznosi się na niebotyczne wyżyny, których istnienia nawet nie podejrzewała. Gdy w końcu osiągnęła szczyt, wymówiła cicho jego imię i przywarła do niego całym ciałem. Potem przez dłuższy czas leżeli oboje bez ruchu, jak pływacy wyrzuceni na brzeg przez morskie fale.

- Nigdy w życiu nie przeżyłam czegoś tak wspaniałego - wyszeptała Kerry kilka minut później.

W jej głowie zrodziło się marzenie o tym, by przedłużyć ten moment szczęścia, przedłużyć go w nieskończoność, spędzić u boku Matta resztę życia... Ale odpędziła od siebie tę myśl, wiedząc, że jest absurdalna. Przecież został im już tylko niecały tydzień wspólnego pobytu w Nowym Orleanie.

- Czy wiesz, co powiedział mnichom Dom Perignon, kiedy stwierdził, że wyrabiane przez nich białe wino przeszło proces powtórnej fermentacji, stając się szampanem? - spytał Matt.

- Nie - odparła, patrząc mu głęboko w oczy.

- Co im powiedział?

- Bracia, oto pijemy niebiański napój. - Dotknął palcem jej ust. - Ja też tak się czuję.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy następnego ranka wyruszyli w drogę powrotną do Nowego Orleanu, Kerry czuła się wspaniale. Przed wyjazdem zjedli obfite śniadanie. Potem nastąpiło namiętne interludium, w czasie którego odkryli ponownie fascynujące możliwości, jakie stwarza wielka staroświecka wanna.

Gdy opuścili krainę Cajun, poczuła lekki smutek. Miała wrażenie, że zostawia za sobą jakąś część siebie samej. Zerknęła na Matta, zastanawiając się, czy on przeżywa to w podobny sposób.

- No? - mruknął, odwracając głowę w jej kierunku.

- Jak to możliwe, że ty zawsze wiesz, kiedy chcę cię o coś zapytać lub o czymś porozmawiać?

- Widocznie jesteśmy bratnimi duszami - odparł z uśmiechem. - No więc o co chodzi?

- Przyszło mi do głowy, że chyba powinniśmy pogadać z Ashley lub innymi młodymi ludźmi, którzy przygotowują tę defiladę łodzi. Może ktoś z nich zna miejsce, w którym dusza Patti znalazłaby wieczny spokój.

- Ja też mam pewien pomysł - oznajmił Matt.

- Sekretarka zakładu medycyny sądowej dała mi

paczuszkę. Schowałem ją do wewnętrznej kieszeni marynarki. Miałem zamiar ci zaproponować, żebyśmy zostawili ją tam, gdzie rozsypiemy prochy tej dziewczyny.

- Co w niej jest?

- To, co miała przy sobie w chwili śmierci.

Kerry poczuła dreszcz. Obejrzała się i dostrzegła sportową marynarkę Matta. Wyjęła z jej wewnętrznej kieszeni dużą żółtą kopertę i ją otworzyła. Znalazła w niej małą portmonetkę, parę tanich odpustowych kolczyków i złoty pierścionek z zawitym splotem zamiast oczka. Portmonetka zawierała dwudziestodolarowy banknot i kilka monet.

- Ten pierścionek był dla niej bardzo ważny - rzekła ze smutkiem Kerry, obracając go w palcach i bezskutecznie szukając jakiegoś wrytego napisu. - Była do niego ogromnie przywiązana.

W tym momencie zorientowała się, że są już w pobliżu Hotelu Marchand. Matt zjechał w boczną uliczkę prowadzącą pod główne wejście. Ich nieobecność trwała tylko dwa dni, ale ona miała wrażenie, że od wyjazdu upłynęły długie lata.

- Powinniśmy też chyba zajrzeć do mieszkania Patti i zobaczyć, co w nim zostało - dodała pod wpływem nagłego impulsu. - Nie chodzi mi o meble, ale o jej garderobę i przedmioty osobistego użytku.

- Sekretarka z medycyny sądowej powiedziała mi, że możemy to wszystko oddać jakiejś miejscowej instytucji dobroczynnej, która zna sposób

postępowania w podobnych przypadkach. Dala mi ich listę, a ja wybrałem jedną z nich na własną rękę. Nie masz mi tego chyba za złe, prawda?

Kerry pokręciła przecząco głową.

Matt zaparkował samochód i zgasił silnik.

- Ta sekretarka zapewniła mnie, że wszystko będzie załatwione zgodnie z prawem, bo ci ludzie mają duże doświadczenie. Wydawało mi się, że nie powinnaś być narażona na stres związany z oglądaniem jej rzeczy i podejmowaniem decyzji. I tak miałaś już dość silnych przeżyć.

- Nie poradziłabym sobie z tym wszystkim bez ciebie - szepnęła Kerry, ściskając czule jego ramię.

Przez chwilę patrzył jej w oczy, a potem odpiął oba pasy bezpieczeństwa i pocałował ją w usta.

- Te wakacje musiały być dla ciebie bardzo stresujące - zauważył cicho. - Może kiedyś przyjedziesz tu jeszcze raz i spędzisz czas bardziej bez troski.

Zauważyła, że nie wspomina o swoim ewentualnym udziale w takiej wyprawie, i pomyślała ze smutkiem, że chyba nigdy już nie wróci do Nowego Orleanu.

- Dzięki tobie mój pobyt był bardzo przyjemny - odparła, zdobywając się na uśmiech.

Wysiedli z samochodu i ruszyli w stronę holu. Wszystko wyglądało tak samo jak poprzedniego dnia. Podłogę zdobił czarno-złoto-czerwony dywan, ozdobne rośliny i meble stały na swoich miej-

scach, obsługa krzątała się bezszelestnie. Kerry, która czuła się zupełnie inaczej niż przedtem, była niemal zdziwiona, że całe otoczenie nie odbija zmian, jakie zaszły w jej duszy.

Pozdrowiła skinieniem głowy Luca Cartera, który uśmiechnął się do nich z za swego biurka.

Matt wstąpił do jej apartamentu i zostawił w nim urnę, a potem poszedł do siebie, by się przebrać. Kerry też miała ochotę na odświeżającą kąpiel.

Nie miała pojęcia, co będzie dalej. Matt różnił się zasadniczo od wszystkich znanych jej dotąd mężczyzn. Był bardziej opiekuńczy, bardziej troskliwy. I okazał się cudownym kochankiem...

Usiadła wygodnie, splótła ręce na piersiach i zaczęła rozmyślać. Była przerażona, że angażuje się za bardzo w związek, który miał być przecież tylko wakacyjną przygodą. Siostra radziła jej, by korzystała z życia, ale ona czuła, że jej emocjonalne uzależnienie od Matta staje się zbyt niebezpieczne. Nie przeżyła dotąd miłostnego zaślepienia, ale była teraz zaniepokojona siłą swych uczuć. Podejrzała, że śmierć Patti wyolbrzymia w jej oczach znaczenie całej przygody i przyczynia się do zakłócenia proporcji. I zapewne tak było.

Może powinna postąpić zgodnie ze swym pierwotnym planem. Wyjechać z Nowego Orleanu w niedzielę, wrócić do normalnego życia i odzyskać zdolność logicznego myślenia. Ale wtedy zaczęłyby za nim tęsknić...

Usłyszała pukanie do drzwi łączących ich pokoje

i wzdrygnęła się nerwowo. Kiedy je otworzyła, ujrzała na progu Matta.

- Czy nie masz nic przeciwko temu, żeby zostawić je otwarte? - spytał z uśmiechem, a ona kiwnęła głową. Kerry... - powiedział czułym tonem i chwycił ją w ramiona. - Wszystko będzie dobrze - szepnął po chwili, jakby czytając w jej myślach. Potem zaczął ją całować i robił to tak namiętnie, że znów poczuła przypływ pożądania.

- Nie spodziewałam się, że tak szybko znów cię zapragnę... To znaczy po wczorajszym wieczorze i po dzisiejszym poranku.

Przerwała nagle i poczuła, że się gwałtownie rumieni. Och! - westchnęła w duchu. Zachowuję się jak moja cioteczna babka Martha, którą obie z Sharon nazywałyśmy „obłudną świętoszką”.

Matt roześmiał się głośno, a potem powoli i niechętnie wypuścił ją z objęć.

- W takim razie co powiesz na to, żebyśmy wypili kawę, zjedli kilka bułeczek i ułożyli plany na najbliższą przyszłość?

- Uwielbiam tutej sze bułeczki - odparła z radosnym uśmiechem.

- Ja też - oznajmił, prowadząc ją do stolika.
- Czy możemy dziś po południu porozmawiać z osobami przygotowującymi tę defiladę? - spytał, gdy podano im zamówione przysmaki.

Kerry kiwnęła głową tak energicznie, że cukier, którym posypane było ciastko, zsunął się z jej brody na serwetkę. Gdy przypomniała sobie, że

nadal stoi przed nimi problem Patti, ogarnęło ją przygnębienie.

- Nie bądź smutna - poprosił Matt, wyczuwając zmianę jej nastroju. - Patti z pewnością nie chciałaby, żebyś miała wyrzuty sumienia lub żałowała tego, co się stało.

Kerry pomyślała o Jasonie i o miłości, jaką Patti zapewne go darzyła.

- Myślę, że powinniśmy powiedzieć Jasonowi o tym pierścionku. Zamiast oczka jest na nim miłosny węzeł, więc pewnie dostała go od niego. Może chciałby go odzyskać.

Matt patrzył w przestrzeń, mieszając kawę.

- Chyba masz rację. Pojedziemy tam dziś po południu. Około drugiej?

- Zgoda.

- Po lunchu będziemy pewnie potrzebowali godziny lub dwóch na odpoczynek - oznajmił niewinnym tonem.

Kerry wybuchnęła głośnym śmiechem. Cukier znów opadł białą chmurą na jej czarne spodnie, a Matt zachichotał. Ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach spojrzeli na nich z uśmiechem. Kerry przypomniała sobie słowa piosenki: „Ali the world loves the lover”.

Czyżby...? Czy to możliwe, by byli w sobie naprawdę zakochani?

Ona sama była tego pewna. Ale nie wiedziała, jak odpowiedziałby na to pytanie Matt.

Wokół platformy tłoczyli się liczni młodzi ludzie. Wymachiwali narzędziami, oglądali rysunki techniczne, toczyli spory i wybuchiali śmiechem. Wyniki ich pracy stawały się coraz bardziej widoczne. Z jakiegoś niepojętego powodu budowany przez nich obiekt pływający przypominał Kerry konia trojańskiego, który miał wyglądać jak dar, ale został skonstruowany po to, by stać się narzędziem podstęp.

Ashley dostrzegła ich, gdy zatrzymali się w otwartych wrotach hangaru, i natychmiast do nich podeszła.

- Chyba bardzo się wam tu spodobało, bo inaczej nie przyszlibyście po raz drugi - powiedziała z uśmiechem. - Zapraszam do środka.

- Widzę, że ogród jest już prawie skończony! -zawołała z zachwytem Kerry. - Czy miałbyś ochotę trochę popracować? - spytała Matta.

- Dlaczego nie?

Uśmiechnął się tak czarująco, że miała ochotę mocno go objąć. Co zrobiła już raz podczas popołudniowej drzemki. Na wspomnienie miłosnych uniesień, jakie przeżyła tego dnia, znów poczuła dreszcz pożądania.

- To wspaniale. - Ashley, która kierowała brygadą pod nieobecność Jasona, wręczyła im rękawice i sznury, a potem podała Mattowi kombinerki. - Bierzcie się do roboty! - zawołała przyjaznym tonem, wskazując im stanowisko pracy.

W godzinę później nadszedł czas na krótką

przerwę. Wzięli z wózka napoje i ciastka, a potem usiedli na podłodze, plecami do ściany hangaru.

- Czy przyjdzie tu dziś Jason? - spytała Kerry. Ashley wahała się przez krótką chwilę.

- Sama nie wiem - odparła po chwili wahania.

- Miał zwyczaj przychodzić codziennie kilka minut po drugiej, ale ostatnio...

- Nie jest tak punktualny? - dokończył pytającym tonem Matt.

Ashley zmarszczyła brwi i odwróciła wzrok.

- W tej rodzinie dzieje się coś złego - mruknęła cicho. - Jason jest bardzo nieszczęśliwy.

Kerry dostrzegła w jej oczach niepokój i zaczęła podejrzewać, że Ashley darzy uczuciem młodego Pichante'a. Zastanawiała się, czy jest ona osobą, którą jego rodzina uzna za odpowiednią partnerkę i zechce zaakceptować.

Spojrzała na Matta i poczuła silne ukłucie bólu. Czy ona, higienistka z małego miasteczka, może być odpowiednią partnerką dla światowego znawcy win?

Przecież on wszędzie czuje się dobrze, pomyślała z nadzieją. Potrafi być równie czarujący i przyjazny w stosunku do robotników zatrudnionych przy budowie platformy, jak w stosunku do członków ekskluzywnego klubu golfowego, który odwiedziliśmy zaledwie kilka dni temu.

Policzyła w pamięci. Tak, degustacja win odbyła się w poniedziałek wieczorem. Dziś był czwartek. Poznali się w sobotę. A więc nie upłynął od tej

pory nawet tydzień, a oni czuli się tak, jakby byli z sobą związani już od miesięcy...lat..od zawsze...

Powiedział jej, że jego rodzina jest od dawna bogata. Choć miała wrażenie, że nie jest z nią związany bardzo blisko, mimo wszystko pochodził z innego świata, do którego ona nigdy nie miała dostępu.

Dlaczego ja rozmyślam o sprawach, które nie mają nic wspólnego z moim życiem? - spytała się w duchu. Przecież w przyszłym tygodniu będziemy dla siebie tylko czułym wspomnieniem. Parą obcych ludzi, którzy spotkali się w dość niesamowitych okolicznościach i przeżyli kilkudniową przygodę. Westchnęła, a potem uświadomiła sobie, że musi teraz zająć się innymi sprawami.

- Ashley? Matt i ja chcemy zorganizować dla Patti obrzędy uzdrowicielskie...

- Jedna z naszych pracownic mówiła mi, że byliście w ubiegłą sobotę na uroczystości, w której uczestniczyła stara królowa wudu - przerwała jej Ashley. - Podobno ta królowa powiedziała, że powinnaś wziąć udział w ceremonii oczyszczenia.

Kerry zaczęła się zastanawiać, czy tą pracownicą nie była młoda królowa wudu, która odprowadziła ich do taksówki.

- Powiedziano nam, że kremacja może zastąpić oczyszczenie. To jest już załatwione. Teraz chcemy rozrzucić prochy w miejscu, w którym jej duch zazna spokoju. Czy możesz nam coś w tej sprawie doradzić?

Ashley wyglądała przez chwilę tak, jakby zamierzała wybuchnąć płaczem. Potem potrząsnęła głową.

- Czy próbowaliście odnaleźć tę plantację, o której wam mówiłam?

- Patti nie mieszkała w Cordon Rouge - wtrącił Matt. - To była ruina wchłonięta na powrót przez bagna, już na długo przed jej urodzeniem.

- W takim razie nie mam pojęcia... - Jej twarz nagle się rozjaśniła. - Idzie Jason. Może on wpadnie na jakiś pomysł. - Wstała z podłogi. - Jason! Podjedź do nas!

Kerry wymieniła znaczące spojrzenia z Mattem, który zmarszczył brwi, a potem wzruszył lekko ramionami, jakby godząc się z czymś, co jest nieuniknione.

- Posłuchaj, Jason - zaczęła Ashley. - Kerry i Matt mają do ciebie kilka pytań dotyczących Patti. Nie wiedzą, co zrobić z jej prochami. Pomyślałam sobie, że może zechcesz podsunąć im jakiś pomysł... - Zerknęła na zegarek. - Muszę wracać do pracy.

Odeszła szybkim krokiem. Kerry, Matt i Jason patrzyli na siebie badawczo, nie odzywając się ani słowem.

- Wyjdźmy na dwór - odezwał się nagle młody Pichante, ruszając w stronę drzwi tak pospiesznie, jakby grunt palił mu się pod nogami.

Matt wziął Kerry pod rękę i poprowadził ją w kierunku wyjścia z hangaru. Idąc za Jasonem,

dotarli do pobliskiego parku i zatrzymali się obok ławki stojącej w cieniu wielkiego omszałego dębu. Wiejący od rzeki wiatr kołysał gałęziami drzewa, które cicho szeleściły.

- Czego ode mnie chcecie? - spytał Jason niechętnym, niemal opryskliwym tonem.

Matt kiwnął głową w kierunku Kerry, która wzięła głęboki oddech, po czym zapytała:

- Czy byłeś przy Patti w chwili jej śmierci?

Twarz Jasona była tak nieruchoma, jakby została wyrzeźbiona z ciemnego kamienia. Obrzucił ich chłodnym spojrzeniem, ale nie odezwał się ani słowem.

- Czy to ty kupiłeś jej ten napój? - ciągnęła Kerry, czując, jak wzbiera w niej lodowaty gniew. Jego milczenie wydawało jej się profanacją miłości, którą darzyła go Patti. - Czy opuściłeś ją, kiedy źle się poczuła?

Twarz Jasona gwałtownie zbladła, a na jego policzkach pojawiły się czerwone plamy. Wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy po raz pierwszy pytali go o Patti. Kilkakrotnie otworzył usta, ale zamknął je, nie wydobywając głosu. W końcu odwrócił się w kierunku drzewa i ukrył twarz w dłoniach.

Kerry poczuła emanujący od niego ból, zmieszany ze wstydem i żalem do samego siebie. Zaczęła nerwowo drzeć. Matt podszedł bliżej i położył dłoń na jej plecach, a ona przywarła do jego ręki, będącej dla niej źródłem siły.

Po dłuższej chwili, kiedy doszła do wniosku, że chyba powinni odejść, Jason zaczął mówić. Jego głos był tak ochrypły, że z trudem chwyтали poszczególne słowa, zagłuszane przez szum przejeżdżających samochodów.

- Byłem wtedy przy niej - wymamrotał.

- Wcale... wcale jej nie opuściłem. Powiedziała mi, że źle się czuje i idzie do toalety, ale potem zobaczyłem, że wchodzi do jednego z ogródków przy apartamentach. Pobiegiłem tam, żeby ją uratować... na wypadek, gdyby ktoś jej zarzucił chęć kradzieży.

- A potem? - spytała Kerry.

- Przez chwilę nie mogłem jej znaleźć. Przez otwarte drzwi apartamentu widziałem zapaloną lampę. Łóżko było pościelone i... i leżała na nim Patti. Zacząłem jej tłumaczyć, że musimy stamtąd wyjść, ale ona chwyciła mnie za rękę i nie chciała puścić. Zdałem sobie sprawę, że ma duszności. Chciałem zastosować sztuczne oddychanie, ale ona... potrzęsnęła głową... dotknęła mojej twarzy... a potem po prostu zamknęła oczy, jakby zasypiała.

- Co było dalej? - nalegał Matt.

- Wpadłem w panikę. Pomyślałem sobie, jak by to wyglądało, gdyby znaleziono mnie z Patti w hotelowym pokoju. Wybuchłby skandal. Mój ojciec byłby wściekły. Podczas nadchodzącego dorocznego przyjęcia zamierzał ogłosić moje zaręczyny z kimś innym.

- Mój Boże... - wyszeptała Kerry, myśląc o cierpieniu Patti i o smutnym losie Jasona.

- Patti odeszła i nie mogłem już dla niej nic zrobić, więc się stamtąd wyniosłem.

Matt otoczył Kerry ramieniem, podszedł wraz z nią do ławki i usiadł obok niej.

- Nie możecie mi postawić żadnych zarzutów, których nie postawiłem już sobie sam - dodał drżącym głosem Jason.

- Czy ją kochałeś? - spytała cicho Kerry.

- Tak - odparł, wykrzywiając usta w gorzkim uśmiechu. - Ale nie na tyle, żeby przeciwstawić się woli ojca. Albo zaryzykować skandal. Nie zdawałem sobie sprawy, że zdanie innych ludzi nie powinno mieć dla mnie żadnego znaczenia. - Odwrócił się w kierunku hangaru. - Jeśli nie macie do mnie żadnych innych spraw, to...

- Mamy - przerwała mu Kerry, wyjmując z torebki złoty pierścionek. - Zakład medycyny sądowej przekazał nam rzeczy Patti. Ten pierścionek był jedynym wartościowym przedmiotem. Czy dostała go od ciebie?

- Tak. Miał być symbolem prawdziwej miłości. Ale moje uczucie nie okazało się chyba wystarczająco silne...

Kerry wyciągnęła w jego stronę rękę, w której trzymała pierścionek.

- Wygląda na dość kosztowny. Pewnie chcesz go odzyskać.

- *Mon Dieu...* - wymamrotał Jason, a potem

potrząsnął głową. - Nigdy. Nie mogę... nie mogę go nawet dotknąć...

Przez chwilę panowała zupełna cisza.

- Więc co mam z nim zrobić? - spytała w końcu Kerry.

- Nie wiem. Wszystko mi jedno. Wrzucicie go do rzeki.

Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w kierunku hangaru, najwyraźniej mając nadzieję, że praca oderwie jego myśli od bolesnego tematu Patti.

Znad rzeki dobiegła skoczna melodia grana na jakimś egzotycznym instrumencie. Mieli przez chwilę wrażenie, że przebywają w zupełnie nie-realnym świecie.

- Dobrze się czujesz? - spytał Matt.

Kerry kiwnęła głową i uśmiechnęła się lekko, by go przekonać, że mówi prawdę.

- To chyba dziwne, ale bardzo mi go żal - powiedziała cicho. - On chyba na to nie zasłużył.

- Stracił coś, czego już nigdy nie odzyska...
- mruknął Matt. - Szacunek do samego siebie.

Przez resztę popołudnia Matt traktował Kerry bardzo łagodnie. Przez niemal dwie godziny spacerowali nad rzeką. W pewnej chwili wyjęła z torebki pierścionek, zastanawiając się, czy nie rzucić go do wody i nie oddać wodnym duchom. Potem westchnęła i odłożyła go na miejsce.

Matt nie był obojętny na los Patti i cierpienia

Jasona, ale wiedział dobrze, że Kerry przeżywa to wszystko o wiele silniej niż on. Była dobrym człowiekiem, przywiązującym wielką wagę do spraw rodziny.

Związek z byłą narzeczoną nauczył go, że ludzie nie zawsze są tacy, jacy się wydają. Nie miał jednak wątpliwości, że Kerry naprawdę współczuje parze młodych kochanków.

O zmroku wrócili do hotelu. Kerry wyglądała na zmęczoną, ale Matt żywił nadzieję, że jest już pogodzona z losem. Zjedli kolację w cichej o tej porze restauracji, a potem wrócili do apartamentu Kerry i usiedli w ogródku, by wypróbować słodką odmianę Merlota, którą Matt znalazł w karcie win.

- Zachowałeś się dziś wspaniale, Matt - powiedziała Kerry po trwającym niemal godzinę milczeniu.

- Nie zrobiłem nic wielkiego.

- Mylisz się. Wyczułeś w jakiś sposób, że powinnam spacerować, ale nie chcę rozmawiać ani nawet myśleć. Pewnie było to dla ciebie nudne, ale jestem ci wdzięczna za to, że nie zostawiłeś mnie samej.

- Nigdy się nie nudzę w twoim towarzystwie.

Kerry patrzyła na niego w milczeniu.

- Myślę... myślę, że powinnam jednak wyjechać już w niedzielę, tak jak zaplanowałam...

Matt nie był zaskoczony jej decyzją, ale poczuł w całym ciele bolesny dreszcz. To również nie wydało mu się zadziwiające.

- Nie podejmujemy żadnych pospiesznych decyzji - poprosił cichym głosem. - Być może jutro ujrzymy wszystko w znacznie bardziej korzystnym świetle.

Jej uśmiech był uroczy, ale niezbyt przekonujący.

- Dokładnie to samo mówi często moja babcia.

- Mam nadzieję, że wierzysz we wszystko, co ona powie - oznajmił pogodniejszym tonem.

- Absolutnie - odparła, kiwając głową. - Chyba wrócę do pokoju, włączę telewizor i obejrzę wieczorne wiadomości, żeby się przekonać, czy świat jeszcze istnieje.

- Dobry pomysł.

Zniknęła we wnętrzu apartamentu i zamknęła za sobą drzwi. Matt siedział jeszcze przez chwilę w ciemnościach, a potem poszedł do siebie. Drzwi łączące ich pokoje były zamknięte. Zrozumiał, że Kerry potrzebuje chwili samotności, i nie miał do niej o to pretensji. Ale wcale nie był z tego zadowolony.

Włożył spodnie od piżamy i usiadł na fotelu, by obejrzeć dziennik. Odniósł wrażenie, że świat wygląda tak samo jak pięć dni wcześniej, kiedy przyjechał do Nowego Orleanu. Ale on sam czuł się zupełnie inaczej.

Usłyszał jakiś szelest, spojrzał w kierunku drzwi i dostrzegł stojącą w nich Kerry.

Miała na sobie skromną piżamę i czerwony szlafrok. Ale kiedy spojrzał w jej oczy, dostrzegł

w nich zachęcający błysk. Podszedł do niej i bez słowa chwycił ją w ramiona.

Znacznie później, po wielu pocałunkach i pieszczotach, usiedli na łóżku, by wypić ostatni kieliszek wina. Spojrzał w jej oczy i zauważył, że zniknął z nich już wyraz smutku.

- Kerry...

- Tak? - spytała, tłumiąc ziewnięcie.

- Nie wyjeżdżaj już w niedzielę. Nie chcę się z tobą tak szybko rozstawać...

- Zastanowię się nad tym - odrzekła cicho i zamknęła oczy, jakby chcąc dać mu do zrozumienia, że nie chce o tym dłużej rozmawiać.

scandalo.it

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Leniwie popijała gorącą kawę, którą Matt przyniósł jej do łóżka. Po wspólnym śniadaniu, które zjedli w jej apartamencie, Matt wyszedł na spotkanie z dziennikarzem miejscowej gazety, który chciał przeprowadzić z nim wywiad dotyczący jego wrażeń z pobytu w Nowym Orleanie.

Słyszając ich rozmowę telefoniczną, Kerry zorientowała się, że Matt napisał kilka cenionych książek i jest naprawdę autorytetem w kręgach koneserów win.

Oparta wygodnie o poduszki czytała ostami artykuł tego dziennikarza, zatytułowany: „Znawca wyraża aprobatę”. Był to opis degustacji, która odbyła się kilka dni wcześniej w klubie golfowym. Redakcja zapowiadała obszerny reportaż, który miał się ukazać w najbliższą niedzielę.

Westchnęła ciężko i zajrzała na strony, na których drukowano nekrologi, ale nie znalazła tam nic na temat Patti. Zadzwoiła więc do redakcji i zapytała, czy nie otrzymali jakichś informacji na temat Patti Ruoui.

- Dostaliśmy kopię policyjnego meldunku i zamieściliśmy w środe wzmiankę o znalezieniu

zwłok - oznajmiła kobieta, która odebrała telefon.
- Nie wiemy na ten temat nic więcej.

Kerry podziękowała jej i odłożyła słuchawkę. W środę... Tego dnia oboje z Mattem pojechali na poszukiwanie plantacji Cordon Rouge. Była ciekawa, czy ciotka i wuj Patti przeczytali notatkę o jej śmierci.

Nagle zdała sobie sprawę, że musi tam powrócić. Znaleźć miejsce, o którym marzyła Patti, choć nie zaznała tam szczęścia. Wiedząc, że będzie to ostatni etap jej poszukiwań, postanowiła zatelefonować do siostry. Na początek zapytała o zdrowie dzieci.

- Czują się już o wiele lepiej - oznajmiła Sharon. - A co u ciebie?

- Odkryłam dzisiaj coś, co dotyczy Matta.

- Czyżby się okazało, że ma znajemę w jakimś interesującym miejscu? - spytała ze śmiechem siostra. - A może stwierdziłaś, że jest wspaniałym kochankiem?

- Nie zauważyłam żadnych znamion - odparła uczciwie Kerry. - Ale odpowiedź na twoje drugie pytanie brzmi twierdząco.

- Och, moja droga, widzę, że naprawdę przeżywasz romans - z udawaną zazdrością zawołała Sharon. - A my tu mamy tylko burze śnieżne.

- Wracając do tematu, odkryłam, że Matt nie tylko pochodzi z bogatej rodziny, lecz w dodatku zarabia ciężkie pieniądze pisaniem. Ma swoją stałą rubrykę w modnym kolorowym czasopiśmie

i jest autorem kilku książek, które odniosły spory sukces.

- O mój Boże! Matt Anderson? Oczywiście! Klub Dobrej Książki, do którego należę, promował przed dwoma laty „Udane życie”. Ta książka była przez kilka miesięcy na listach bestsellerów. Z jego biogramu wynika, że napisał jeszcze dwie inne, które również świetnie się sprzedały. Jedna była poradnikiem dla ludzi, którzy zakładają własną piwnicę win. Nie pamiętam, co było tematem drugiej, ale tak czy owak widzę, że obracasz się w wyższych sferach!

Kerry przyznała jej rację, a potem zaczęła mówić o Patti i o tym, że chce znaleźć właściwe miejsce dla jej prochów.

- Czy dowiedziałas się czegoś na temat rodziny Ruoui?

- Niezbyt wiele - odparła Sharon. - Poczekaj chwilę, bo muszę zajrzeć do wydruku. Znalazłam w Internecie nazwę plantacji, na której mieszkają jej ciotka i wuj. Jak wynika z moich informacji, leży ona wśród bagien, naprzeciwko dawnej rezydencji państwa Ruoui.

Kerry zapisała wszystkie szczegóły, a potem na nowo podjęła rozmowę z siostrą.

- Widzę, że spędzasz wiele czasu z Mattem - stwierdziła Sharon. - Czy myślisz, że pozostaniecie w kontakcie, kiedy oboje wrócicie do domu?

- Nie sądzę. Bądź co bądź żyjemy w innych światach. Jestem pewna, że w stanie Minnesota

Matt umarłby z nudów. - Zdobyła się na cichy wybuch śmiechu, mający świadczyć o tym, że cała sprawa nie wydaje jej się zbyt ważna.

- Będziecie pewnie wymieniać kartki świąteczne... a może on zaprosi cię na długi weekend do Nowego Jorku? Mogłabyś wybrać się do teatru albo na degustację win i poznać jego snobistyczną rodzinę.

- Matt nie jest wcale snobem.

- Wygląda na to, że masz rację - przyznała Sharon. - Z tego, co mówisz, wydaje się fajnym facetem. Chyba nie powinnaś z niego tak łatwo rezygnować.

- Nie mamy z sobą wiele wspólnego... - Urwała, zdając sobie sprawę, że wyznała okrutną prawdę.

Cóż ona mogłaby mieć wspólnego z nowojorskim koneserem win i znanym, bogatym pisarzem?

Niewiele. Owszem, przeżyła z nim upojną przygodę, ale ich związek nie polegał tylko na seksie. Matt okazał się wyrozumiałym i opiekuńczym partnerem, kiedy przeżywała chwile rozpacz z powodu śmierci Patti.

- No cóż, pora podawać lunch - mruknęła Sharon. - Posłuchaj... czy nadal planujesz powrót w niedzielę?

- Owszem. Uważam, że tak będzie najlepiej.

- Hmm... - mruknęła z zadumą Sharon. - Tak czy owak dobrze się nad tym zastanów. I uważaj na siebie.

- Dobrze - odrzekła Kerry i odłożyła słuchawkę. Potem spojrzała w przestrzeń i mruknęła do siebie: - Jestem zakochana... Czy to możliwe? W ciągu niespełna tygodnia?

Zdała sobie sprawę, jak bolesne będzie rozstanie z Mattem. Znacznie bardziej niż pożegnanie z byłym narzeczonym, któremu po prostu zwróciła pierścionek zaręczynowy i życzyła wszystkiego dobrego u boku nowej ukochanej. Znacznie bardziej bolesne.

Kiedy Matt wrócił do hotelu, Kerry była już przygotowana do zasadniczej rozmowy. Postanowiła przeprowadzić ją podczas lunchu.

Po pogawędce z siostrą zadzwoniła do linii lotniczych i dowiedziała się, że może wracać w najbliższą niedzielę albo w następującą po niej środę. W obu samolotach było jeszcze mnóstwo wolnych miejsc.

Nie była pewna, czy postąpiłaby słusznie, przedłużając pobyt w Nowym Orleanie. Wiedziała, że każdy kolejny dzień jeszcze bardziej utrudni jej rozstanie z Mattem.

Pamiętała, że musi wypełnić swoją misję i znaleźć miejsce spoczynku dla prochów Patti. Doszła do wniosku, że jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, zrobi to w ciągu następnego dnia. A potem odleci w niedzielę, zgodnie z pierwotnym planem.

Matt zdjął marynarkę i krawat, a potem podwinął

rękawy koszuli i podszedł do niej z radosnym uśmiechem.

- Cieszę się, że mam to już za sobą - oznajmił, całując ją w policzek. - Wolę przeprowadzać wywiady niż ich udzielać. No dobrze, jak wyglądają nasze plany na dzisiejszy dzień?

Tuż przed jego powrotem włożyła długą, szeroką spódnicę w złote słoneczniki, i elegancką białą bluzkę. Dostrzegła jego pełen zachwyty wzrok i poczuła ogromną radość.

Jej włosy pojaśniały w ciągu wielu godzin, jakie spędziła w minionym tygodniu na słońcu, i pięknie kontrastowały z opaloną twarzą. Zerknęła w lustro i stwierdziła, że nigdy w życiu nie wyglądała lepiej.

Podczas całego lunchu, który jedli w jakiejś nieznaney im dotąd francuskiej restauracji, Matt nie mógł oderwać od niej wzroku. Czuł, że coś się między nimi zmieniło, ale nie potrafił określić charakteru tej zmiany. Kerry jak zwykle prowadziła z nim ożywioną rozmowę, ale wyraźnie unikała jego wzroku.

Tak, to właśnie się zmieniło. Miał wrażenie, że ona coś przed nim ukrywa, i był tym zaniepokojony.

- Zabawmy się w turystów - zaproponowała podczas lunchu. - Ponieważ nie jesteście już na dziś z nikim umówiony, obejrzyjmy French Market. Chodziłam już po Bourbon Street, ale nie byłam nad jeziorem. A ty?

- Jeszcze nie. Dobra, a więc mamy już plany na popołudnie. A wieczorem możemy zjeść kolację w Chez Remy. Nasz recepcjonista mówił mi, że orkiestra zaczyna grać o dziewiątej. Mam ochotę znowu z tobą zatańczyć.

W ciemnych oczach Kerry zaśnił radosny błysk.

- Zgoda - powiedziała z uśmiechem. - Bardzo lubię tańczyć, szczególnie z kimś takim jak ty.

- Uważaj, żeby mi się nie przewróciło w głowie.

Oboje wybuchnęli śmiechem, a potem wyszli na zatłoczoną ulicę. Zwiedzili French Market, na którym Kerry targowała się zawzięcie z ulicznym sprzedawcą, od którego chciała kupić skórzane portfele i portmonetki dla członków swej rodziny. Matt obserwował z rozbawieniem, jak zmusza go do kolejnych obniżek cen, a potem proponuje mu jeszcze niższą sumę za wszystkie wybrane towary.

Kiedy właściciel kramu pokręcił przecząco głową, chwyciła Matta za ramię, najwyraźniej zamierzając odejść.

- Niech pani poczeka! - zawołał sprzedawca. - Tracę pieniądze przeznaczone na naukę mojego dziecka, ale zgadzam się. - Kiedy transakcja została zakończona, stwierdził przyjaznym tonem: - Robienie z panią interesów to prawdziwa przyjemność.

- Mnie też było bardzo miło - odparła Kerry.

- Ile musiałbym ci zapłacić za to, żebyś zajęła się od dziś moimi finansami? - spytał Matt, kiedy odeszli od stoiska.

- Dla ciebie wymyślę specjalną stawkę - odparła z przewrotnym uśmiechem.

- Ha! Pewnie policzysz mi podwójnie!

Żartując i dowcipkując, dotarli do Basin Street i znaleźli sklep jubilerski polecony im w hotelu.

- Luc Carter z Hotelu Marchand mówił nam, że macie tu wielki wybór talizmanów - powiedział do sprzedawcy Matt.

- To prawda - zapewnił go ekspedient. - Znajdzie je pan na tych trzech półkach. Czy mają być wykonane ze srebra, czy ze złota?

Matt zerknął na przegub ręki Kerry.

- Srebro bardziej pasuje do bransoletki, którą nosi ta pani.

- Matt, nie zamierzasz chyba kupować tego talizmanu dla mnie? - wtrąciła Kerry, szeroko otwierając oczy.

- A komu miałbym go kupić? Czyżbyś zapomniała, że brakuje ci Ducha Mądrości?

- Pamiętam o tym, ale nie musisz...

- Ach, w takim razie będzie to talizman w kształcie węża - oznajmił sprzedawca, wyjmując z szafki dwie tacki z breloczkami.

- Nie powinieneś...

Matt położył palec na jej ustach.

- Będę szczęśliwy, jeśli zechcesz go ode mnie przyjąć. Chcę, żeby ci przypominał nasze wspólnie przeżyte dni.

- I tak nigdy o nich nie zapomnę. - Kerry uśmiechnęła się do pracownika sklepu. - Spędzi-

łam właśnie w waszym cudownym mieście fascynujący tydzień.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej z radością, a Matt zdał sobie sprawę, że Kerry potrafi wywierać pozytywny wpływ na otoczenie. On też czuł się w jej towarzystwie doskonale.

- Który ci się podoba? - spytał, wskazując tacki z talizmanami.

Obejrzała dokładnie wszystkie okazy i wybrała najprostszy breloczek, który był też zapewne najtańszy. Matt zauważył inny, który wzbudził jego zachwyty.

- A co powiesz o tym? - spytał. - On przypomina pytona, tego, z którym cię sfotografowano.

Nie wspomniał o tym, że wykonane ze szmaragdów ślepiec węża przypominają mu zielone oczy Kerry. Kiedy się kochali, miał wrażenie, że ich odcień zmienia się na turkusowy. Poczł dreszcz pożądania, ale postanowił zapomnieć o momentach uniesienia i skupić uwagę na chwili obecnej.

- To musiała być Madame Jolie - stwierdził sprzedawca, obrzucając Kerry pełnym zachwyty spojrzeniem.

- Owszem - odparła, pochylając się nad ladą, by dokładnie obejrzeć wskazany jej przez Matta talizman. - Czy to są szmaragdy?

- Tak, proszę pani. Małe, ale prawdziwe. I bardzo pięknie oszlifowane.

Luc Carter zapewnił ich, że wskazany przez niego sklep jest znany z uczciwej i fachowej

obsługi. Dlatego Matt przyprowadził Kerry właśnie tutaj.

- Jego oczy są podobne do twoich - szepnął, pochylając się w taki sposób, że jego usta niemal dotykały jej ucha. - Weźmiemy go - zwrócił się do sprzedawcy.

- A ile on kosztuje? - zapytała z niepokojem Kerry.

Kiedy się dowiedziała, że sklep udzieli im dziesięcioprocentowego rabatu, spojrzała na Matta z triumfalnym uśmiechem. Potem wybrała jeszcze talizman będący symbolem Ducha Uzdrowiciela i targowała się przez chwilę, by uzyskać jak najlepszą cenę. W końcu poprosiła sprzedawcę, by przy mocował oba breloczki do jej bransoletki.

Kiedy wyszli ze sklepu, nie odzywała się przez dłuższą chwilę. Matt, widząc że zerka na talizmany, spytał, czy jest z nich zadowolona.

- Jeszcze jak! Jestem ci bardzo wdzięczna za to, że mi je kupiłeś.

- Więc o co chodzi? Dlaczego się nie cieszysz?

- Bo nie wiem, jaki prezent mogłabym kupić tobie.

Matt roześmiał się, a ona patrzyła na niego podejrzliwie, dopóki się nie uciszył.

- Kochanie, w ciągu dwóch ostatnich dni dałaś mi najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek od kogoś dostałem. - Objął jej twarz i pocałował ją delikatnie w usta. Zbyt delikatnie. - Mówię poważnie.

- No dobrze, chyba ci wierzę.

Trzymając się za ręce, szli ulicą rozstawioną przez słynnego bluesa napisanego na jej cześć. Kiedy wrócili do hotelu, ich cienie były już bardzo długie. Zostawili zakupy w jej pokoju, wrócili na dziedziniec i usiedli przy ulubionym stoliku, by wypić wieczornego drinka.

- O co chodzi? - spytała Kerry, czując na sobie badawczy wzrok Matta.

- Zastanawiam się, jak to możliwe, że nie zdobył cię do tej pory jakiś mądry facet. - Chwycił ją za rękę i przesunął kciukiem po jej serdecznym palcu. - Nie wspominałaś nigdy o rozwodzie, więc zakładałam, że nie byłaś dotąd zameżna.

- To prawda, ale byłam zaręczona. Przez całe cztery lata.

- A więc dość długo. Kiedy doszło do zerwania?

- Pół roku temu. To on chciał odzyskać wolność. Spotkał swoją dawną sympatię i zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. To było podczas rocznicowego spotkania uczniów naszej byłej klasy.

- Czy mieszkaliście razem w okresie narzeczeństwa?

- Nie. On miał mieszkanie, a ja mały dom odziedziczony po stryjecznym dziadku, o którym ci opowiadałam.

- Tym, który miał problemy z alkoholem?

- Tak. Remont tego domku sprawił mi wielką

przyjemność. Stoi na dwuhektarowej parceli obejmującej jezioro, w którym roi się od ryb. Dał mi go chyba właśnie dlatego, że kiedy składaliśmy mu wizyty, zawsze lubiłam je łowić.

- A jak ułożyły się twoje stosunki z byłym narzeczonym?

- Nie mam do niego pretensji. Jeśli ta nowa dziewczyna zapewnia mu choćby dziesiątą część tych doznań, które odczuwam, kiedy... kiedy ty i ja...

- Kiedy się kochamy?

- Tak. Jeśli tak jest, to postąpił słusznie. Nigdy nie przeżywałam niczego tak intensywnie i nie wydawało mi się to tak podniecające. Nie wiedziałam nawet, że można doznawać takiej rozkoszy.

- Rozumiem, co masz na myśli - mruknął czułym tonem.

Kerry puściła jego rękę i zamieszała słomką koktajl z rumu i soku tropikalnych owoców.

- Kiedy poznałam ciebie, zdałam sobie sprawę, czego mi brakowało w poprzednim związku. Czulałam się w nim bezpiecznie. Był oparty na wzajemnym szacunku i wspólnych zainteresowaniach, ale nie sądzę... żeby to była miłość.

- Rozumiem.

- Wyznałam ci moje wszystkie tajemnice - powiedziała z uśmiechem. - Teraz kolej na ciebie. Czy łączył cię z kimś kiedykolwiek poważny związek?

- Byłem przez krótki czas zaręczony... chyba

przed sześcioma laty. Odkryłem, że ona traktuje akces do mojej rodziny jako bilet wstępu do sfery, która była dla niej przedtem niedostępna. Teraz jest żoną człowieka, który zaspokaja jej towarzyskie ambicje.

- Bardzo przeżyłeś rozstanie?

- Początkowo było mi ciężko. Teraz, kiedy się przypadkowo spotykamy, bo mamy wspólnych przyjaciół, rozmawiamy o pogodzie, a potem każde z nas idzie w swoją stronę.

- Takie wyjście jest chyba najlepsze - rzekła Kerry, jakby aprobując jego postawę, a on uśmiechnął się do niej czule i zamówił dwa następne koktajle.

Siedzieli jeszcze przez chwilę w milczeniu. Zapadał już zmrok i dziedziniec był pełen gości, którzy chcieli odpocząć po całodziennym zwiedzaniu miasta. Matt zauważył, że Kerry dotyka od czasu do czasu obu otrzymanych o niego w prezencie talizmanów, przytroczonych do jej bransoletki. Miał nadzieję, że będą jej one przypominać wspólnie przeżyta wakacyjną przygodę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Czuję się trochę dziwnie, jadąc znowu tą drogą - powiedziała Kerry, kiedy dojechali wynajętym samochodem do St. Mattinville i Matt zwolnił, by nie przekraczać dozwolonej na obszarze miasta szybkości.

Po chwili ujrzała kamienny posąg przedstawiający Evangelinę, a potem hotelik, w którym spędzili noc w drodze powrotnej do Nowego Orleanu i zostali kochankami.

Na myśl o tym poczuła radosny dreszcz. Co jakiś czas spoglądała ukradkiem na Matta, który skupiał całą uwagę na prowadzeniu samochodu. Był taki przystojny i taki dobry, nie tylko w łóżku. Można go było po prostu nazwać dobrym człowiekiem. Tego właśnie określenia używali jej rodzice, kiedy chcieli wyrazić swoje najwyższe uznanie wobec kogoś ze swych znajomych.

- Nasza podróż zaczyna się od nowa - mruknął Matt, uśmiechając się do niej promiennie.

- Ale tym razem musimy wypełnić misję do końca.

- Czy nadal chcesz wrócić do domu już jutro?

- Raczej tak... - Chyba że przedstawiś mi jakiś

przekonujący powód, dla którego powinnam zostać dłużej, pomyślała ze smutkiem.

Matt kiwnął głową, nie przestając się uśmiechać. Była w pewnym sensie zadowolona z tego, że szanuje jej decyzję. Dał jej do zrozumienia, że chciałby ją nakłonić do przedłużenia pobytu, ale nie usiłował na nią wpływać.

Więc dlaczego nie mogłabym tu spędzić jeszcze trzech dni? - spytała się w duchu. Albo nawet całego tygodnia?

Bo wtedy rozstanie z Mattem byłoby jeszcze bardziej bolesne, podpowiedział jej wewnętrzny głos. Mogłabyś się rozpłakać i błagać go o przedłużenie znajomości, a na to nie możesz sobie pozwolić. Więc lepiej trzymaj się pierwotnego planu.

Westchnęła cicho i zaczęła myśleć o czekającym ją zadaniu. Postanowiła omówić z Attą swój plan dotyczący prochów Patti, ale była coraz bardziej przekonana, że jest on zasadny i logiczny.

- Dlaczego wzdychasz? - spytał Matt, spoglądając na nią badawczo.

- Bo nie potrafię podjąć ostatecznej decyzji. Gdy tylko jestem pewna, jak chcę postąpić, jakiś wewnętrzny głos mówi mi, że nie mam racji.

- To zupełnie naturalne. Któż może być w stu procentach pewny, że potrafi odczytać życzenia innej osoby? - Milczał przez chwilę, a potem dodał cicho: - Chyba że chodzi o nasz przypadek...

- Chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem powinnam zostać jeszcze na trzy dni?

- Oczywiście.

Spojrzał na nią groźnie, a ona się zaśmiała. Był zbyt przystojny, by mógł jej się wydać niebezpieczny.

- Śmieję się, ile chcesz, niemądra kobieto, ale wiedz, że łamiesz mi serce.

- Część mnie chciałaby zostać z tobą, ale druga część jest już gotowa do wyjazdu.

Matt kiwnął głową.

- To był dla ciebie trudny tydzień. Poznałaś Patti i zostałam wciągnięta w jej życie, które pod wieloma względami było tragiczne. Masz prawo być wyczerpana.

- Dziękuję ci, że to rozumiesz, Matt - wyszeptała po chwili milczenia. - Właśnie dlatego tak trudno mi myśleć o opuszczeniu Nowego Orleanu. I ciebie.

- Przecież nie musimy rozstawać się na zawsze.

- Sharon uważa, że możemy się od czasu do czasu widywać. Przekonuje mnie, że kilkudniowa wizyta w Nowym Jorku, połączona z wyprawą do teatru lub na degustację wina, byłaby cudownym przeżyciem. Ale ona była przez ostatni tydzień uwięziona w domu przez burzę śnieżną, a w dodatku skazana na towarzystwo trójki chorych dzieci.

- Czy Nowy Jork wydaje ci się interesujący?

- Tak, oczywiście...

- Ale?

Już teraz myśl o konieczności rozstania stawała

się dla niej coraz bardziej bolesna. Nie chciała przeciągać ich znajomości do momentu, w którym nagle zdadzą sobie sprawę, że są parą obcych ludzi trzymających się kurczowo wspomnień o wspólnie przeżytym tygodniu. Wolała pożegnać się z Mattem w atmosferze sympatii i życzliwości.

- To były chyba najlepsze wakacje w moim życiu. A zarazem jedne z najgorszych. - Zerknęła na tylne siedzenie, na którym stała drewniana urna ozdobiona symbolami wudu.

- Chyba rozumiem, co masz na myśli, i czuję to samo.

- Nasze drogi skrzyżowały się w bardzo dramatyczny sposób, kiedy zostaliśmy uwikłani w wydarzenia, na które nie mieliśmy wpływu.

- Masz rację - przyznał Matt.

- Ale to nie jest nasze prawdziwe życie. Ja mieszkam w małym miasteczku na środkowym zachodzie Ameryki, a ty w wielkiej metropolii, czyli w Nowym Jorku. Zanim upłynie ten tydzień, oboje wrócimy do swoich światów.

- I nasze drogi nigdy więcej się nie zejdą...
- dokończył Matt.

- Tak... - szepnęła cicho, nie mogąc opanować wzruszenia.

- Ale weź pod uwagę, że spotkaliśmy się w wyniku zrzędzenia losu. Nasze drogi po prostu musiały się skrzyżować. Tak chciało przeznaczenie.

Zmrużyła oczy, zaskoczona jego słowami. Potem dotknęła swojej bransoletki i namacała amulet

złożony z trzech kości. Trzy życia, trzy światy, trzy różne drogi... A może jedna świetlista droga, wiodąca ku przyszłości?

- Czy chcesz się tu zatrzymać? - spytał Matt, kiedy dotarli do małego schludnego domku stojącego wśród kwiatów.

- Tak. Chcę, żeby Atta dowiedziała się, co zamierzamy zrobić.

Matt wjechał na podjazd i wyłączył silnik. Kerry podeszła do drzwi i zapukała. Cisza. Dom wydawał się pusty. Zastukała ponownie, ale i tym razem nikt nie zareagował. Wróciła więc do samochodu.

- Chyba nie ma jej w domu.

- Może wyruszyła na zakupy lub postanowiła odwiedzić kogoś z rodziny.

- Pewnie tak. Choć nie sądzę, żeby miała jeszcze wielu krewnych - mruknęła Kerry, wsiadając do samochodu.

Jechali teraz wąską zarośniętą przez chwasty drogą, z trudem pokonując liczne nierówności.

- Zbudowano ją jeszcze w epoce konnych powozów - zauważył Matt. - Czy możesz sobie wyobrazić eleganckie karety zaprzężone w starannie dobrane konie, wypełnione eleganckimi damami i dżentelmenami wybierającymi się na bal?

- Cały podjazd był z pewnością oświetlony latarniami - dodała Kerry. - W domu płonęło ponad sto świec.

- Ty byłąbyś najpiękniejszą kobietą na tym ba-

lu... - ciągnął Matt, wyobrażając ją sobie w pięknej sukni i zastanawiając się, kto mógłby być jej partnerem.

- Popatrz! - przerwała mu Kerry. - Tam, między drzewami, widzę jakiś dom, a raczej to, co z niego zostało.

- To mogą być resztki plantacji Cordon Rouge.

Skrećili w prawo i wjechali na szeroki, półokrągły podjazd, który doprowadził ich do ruin rozległego budynku. Musiała to być niegdyś imponująca rezydencja. Wśród splątanych pnączy winorośli widoczne były liczne kominy i rozpadające się już fundamenty. Ocalały jakimś cudem drewniany ganek ozdobiony był drewnianymi kolumnami, na których wspierały się resztki balkonów. Choć dach dawno się zawalił, można było ocenić wielkość budynku na podstawie zarysu fundamentów. Wydawał się co najmniej dwukrotnie obszerniejszy niż dom, w którym mieszkała Patti.

- Nikt tu nie mieszka już od siedemdziesięciu lat, ale łatwo sobie wyobrazić, że całe otoczenie musiało wyglądać wspaniale - stwierdził z podziwem Matt.

Kerry kiwnęła głową, a potem wysiadła z samochodu, zabierając ze sobą urnę. Przyciskając ją oburącz do piersi, zaczęła przedzierać się przez gęste krzaki.

- Tu musiała być niegdyś fontanna - oznajmiła, widząc kamienną sadzawkę znajdującą się w centralnym punkcie naprzeciw wejścia do domu. - A tu

tak zwany *parterre*, czyli ogród pełen kwiatów i ozdobnych roślin. Choć nic po nim nie zostało oprócz wykładanych ceglami ścieżek, podobają mi się te zdziczałe róże, które rosną w samym rogu.

- Czy nie uważasz, że właśnie tu należałoby zostawić prochy Patti? - spytał Matt, który chciał jak najprędzej wywieźć Kerry z terenu byłej plantacji. Znając jej wrażliwość, obawiał się, że panujący tu posępny nastrój może ją doprowadzić do nawrotu depresji.

- Masz rację - odparła. - Rozsypiemy je wzdłuż czterech boków ogrodu.

Mówiła tak cicho, jakby nie chciała zakłócić spokoju duchów błakających się po tym ponurym zakątku. Matt, nie umiejąc rozproszyć jej niepokoju, patrzył w milczeniu, jak rozrzuca zawartość urny na cztery strony świata. Kiedy skończyła, odetchnął z wyraźną ulgą.

- Myślę, że powinniśmy już wracać - powiedział cicho.

Kerry kiwnęła głową, ale nie ruszyła się z miejsca.

- W tej sadzawce jest coś w rodzaju postumentu. Możemy teraz na nim ustawić tę urnę.

Wspięła się na obudowę sadzawki i umieściła rzeźbione naczynie na wąskiej półce, stanowiącej górną ścianę kamiennej kolumnienki.

- Na pewno stała tu jakaś figurka lub waza, ale kiedyś, dawno temu, ktoś musiał ją stąd zabrać

- powiedziała, podając mu rękę, by łatwiej wspiąć się na obudowę sadzawki.

Kiedyś, dawno temu... - powtórzył w myślach Matt. To brzmi jak początek jakiejś bajki. Kiedyś, dawno temu, mieszkała na tej magicznej plantacji pewna mała dziewczynka wraz z rodzicami. Plantację otaczały dęby i sosny, a w pobliskich stawach roiło się od raków i ryb. Życie było beztróskie i szczęśliwe...

Ale oczywiście wcale takie nie było.

Zaczął się zastanawiać, jak będą oboje wspominać ten wspólnie przeżyty tydzień. Czy łatwo im będzie wrócić do swoich własnych światów? Kerry dała mu wyraźnie do zrozumienia, że tego właśnie pragnie.

- Ta ścieżka prowadzi nad staw - powiedziała nagle. - Chodźmy zobaczyć, jak tam jest.

Trzymając się za ręce, ruszyli przed siebie, mijając po drodze pustą sadzawkę, w której była niegdyś fontanna. Słońce nadal stało dość wysoko nad czubkami cyprysów, które porastały brzegi. Matt nie wierzył w złośliwe duchy ani zjawy, ale przyszło mu do głowy, że w nocy cała ta okolica musi wyglądać dość przerażająco.

- Musimy już jechać - przypomniał jej cichym głosem.

- Po drugiej stronie rozlewiska stoi jakiś dom - zauważyła Kerry. - Właśnie podjeżdża do niego samochód.

- I to niejeden - dodał Matt, wytyżając wzrok.

- Pewnie odbywa się właśnie jakieś przyjęcie - oznajmiła z tak czarującym uśmiechem, że z trudem opanował ogarniające go pożądanie. - Tam właśnie mieszkała wraz z mężem ciotka Patti. Moja siostra ustaliła ich adres, korzystając z Internetu. W drodze do Cordon Rouge zauważyłam nad jedną z mijanych bram ich nazwisko. Kiedy Patti została sierotą, przygarnęli ją do swego domu.

Zauważył, że Kerry ponownie dotyka bransoletki. Widząc jej smutek, objął ją odruchowo i przytulił. Wydawała się tak delikatna i krucha, że nie śmiał jej mocno uścisnąć.

- Atta powiedziała, że Patti nie była tam szczęśliwa - przypomniała Kerry, wskazując ruchem głowy odległy dom.

- Owszem.

- Ale ja myślę, że była szczęśliwa tutaj.

Oboje odwrócili się równocześnie, jak na komendę, i spojrzeli na starą plantację. Potem Kerry uśmiechnęła się do Matta z radością.

- Postąpiliśmy słusznie. Jestem tego pewna. Po prostu to czuję. - Uniosła rękę, by mógł zobaczyć bransoletkę. - Zrobiliśmy dziś dobre Ju-Ju. Wszystkie niespokojne duchy będą teraz mogły znaleźć tu wymarzony spokój.

Otworzyła dłoń, a on ujrzał na jej palcu złoty pierścionek Patti. Przez chwilę myślał, że wrzuci go do wody, ale ona stała przez chwilę nieruchomo, a potem schowała go do kieszeni džinsów. Najwyraźniej nie była jeszcze pewna, co z nim zrobić.

W drodze powrotnej minęli domek Atty, ale ponieważ na ganku nie było nikogo, Matt pojechał dalej. W chwilę później ujrzeni wiejski kościół, a za nim niewielki cmentarz.

- Czy możemy na chwilę się tu zatrzymać?
- spytała nieśmiało Kerry.

Spełnił jej prośbę, choć uważał, że oboje mieli już tego dnia dość stresujących przygód. Wjechał na doskonale utrzymany podjazd i zaparkował w cieniu wielkiego dębu.

- To może być parafialny cmentarz, na którym pochowano rodziców Patti - wyjaśniła Kerry, odruchowo podając mu rękę, kiedy wysiedli z samochodu.

- Przypominasz mi moją siostrę. Odkąd skończyła cztery lata, zawsze chwyciła mnie za rękę, kiedy przechodziliśmy na drugą stronę ulicy.

- Bardzo to lubię - mruknęła Kerry, obrzucając go czułym spojrzeniem. - Czy byłeś zaprzyjaźniony z siostrą?

- Tak. Kiedy chodziłem do szkoły średniej, a potem do college'u, i miałem kłopot z jakąś dziewczyną, często dzwoniłem do niej, żeby wyjaśniła mi tajemnice kobiecej psychiki. Nie zawsze stosowałem się do jej rad, ale przeważnie miała rację. Kiedy dorośliśmy, została moją najbliższą przyjaciółką.

- Sharon i ja też jesteśmy sobie bliskie. - Zaważała się na chwilę. - To dobrze, że miałeś taką siostrę. Każdy człowiek potrzebuje kogoś, z kim

może znaleźć wspólny język, zwłaszcza wtedy, kiedy rodzice są... Chciałam powiedzieć...

- Dobrze wiem, co chciałaś powiedzieć, Kerry
- zapewnił ją Matt. - Moi rodzice żyli własnym życiem. Ja robię to samo. Ale jeśli będę miał kiedyś rodzinę, chciałbym być częścią życia moich dzieci.

Spojrzała na niego z aprobatą, w taki sposób, jakby uważała go za najmądrzejszego mężczyznę na świecie.

- Popatrz! - zawołała, wskazując jakiś grobowiec. - Ruoui. Tak nazywała się rodzina Patti.

Obejrzelili kilka stojących w pobliżu pomników i przekonali się, że ludzi o tym nazwisku chowano tu od kilku pokoleń.

- Prawie dwieście lat - mruknął z zadumą Matt.
- To długa historia.

- Tak, a Patti wiedziała także, skąd przyjechał jej pierwszy przodek, który się tu osiedlił. Powiedziała mi, że jest spokrewniona z Józefiną Bonaparte. Kiedy widzę tę długą listę jej antenatów, jestem gotowa w to uwierzyć.

- Ciekawe, czy była ostatnią przedstawicielką tej rodziny.

- Chyba tak... - wyszeptała Kerry, marszcząc brwi. - Nie miała rodzeństwa, a jej ciotka umarła bezdzietnie. - Spojrzała na granitowe i marmurowe grobowce. - Mogę sobie wyobrazić, że Patti przychodziła tu jako dziecko z rodzicami i słuchała barwnych opowieści ojca o swoich przodkach. To

musiało jej dawać poczucie przynależności, nie sądzisz?

Matt kiwnął potakująco głową.

- A teraz ta ciągłość została zerwana...

Chodzili wśród grobowców, odczytując nazwiska, daty i wyryte na płytach sentencje.

- Krewni tego człowieka proszą Boga, żeby jego podróż była udana niezależnie od tego, dokąd go doprowadzi - oznajmił Matt, zatrzymując się przy jednym z nich. - Najwyraźniej nie mieli większych nadziei na to, że spędzi on wieczność w raju.

Kerry z trudem powstrzymała wybuch śmiechu.

- O co chodzi? - spytał Matt.

- Kiedy obie z Sharon byłyśmy jeszcze małymi dziewczynkami, zabrano nas na pogrzeb pewnej ciotecznej babki. Była jedyną siostrą naszej babuni i traktowała nas bardzo surowo. Kiedy Nana rzuciła garść ziemi na jej trumnę, obie z Sharon wyrecytowałyśmy głośno: „Z prochu powstałaś, w proch się obrócisz, lecz dzięki Bogu już tu nie wrócisz”. Myślałam, że moja matka umrze ze wstydu, ale wszyscy inni, nie wyłączając babci i pastora, wybuchnęli śmiechem. To nas chyba uratowało od dożywotniego zakazu wychodzenia z domu.

- Gdyby moja siostra namówiła mnie do zrobienia czegoś w tym rodzaju, nasz ojciec dostałby chyba zawału.

Przeczytali jeszcze kilka napisów, a potem wrócili do samochodu i ruszyli w kierunku miasta. Matt spojrzał w oczy Kerry i dostrzegł w nich

zadowolenie zabarwione odrobiną nostalgii. On sam, po raz pierwszy od dawna, czuł się bardzo szczęśliwy.

- Jesteś bardzo dobrym kierowcą - oznajmiła Kerry, kiedy Matt zaparkował pod hotelem. - Ja zawsze wjeżdżam na trotuar albo ustawiam auto w taki sposób, że jego tył wystaje na jezdnię. Musi być w tym jakiś sekret, którego nikt mi dotąd nie zdradził.

- Większość ludzi boi się podjechać zbyt blisko do stojącego przed nimi pojazdu.

Trzymając się za ręce, weszli do holu i dostrzegli Jasona, który poderwał się na ich widok z fotela i podszedł do Kerry.

- Muszę z tobą porozmawiać - oznajmił, zerkając na Matta. - W cztery oczy.

- Zaczekam w pokoju - powiedział Matt, kiedy Kerry kiwnięciem głowy dała mu znać, że godzi się zostać sama z Jasonem.

Usiedli przy małym stoliku ustawionym we wnęce, w której mogły się zmieścić tylko dwie osoby. Hol był niemal pusty, gdyż większość gości wyszła już na ulice, by wziąć udział w niedzielnym festiwalu.

Kerry spojrzała uważnie na młodego człowieka. Na jego przystojnej twarzy malował się nadal wielki ból. Miał ciemne kręgi pod oczami i liczne zmarszczki, których nie dostrzegła podczas poprzednich spotkań.

- Czy chcesz ten pierścionek? - spytała cicho.
- Zachowaj go dla swojej córki - odparł, potrząsając głową. - I ostrzeż ją przed konsekwencjami zakochania się w tchórze. Tak, jestem tchórzem
- dodał, widząc jej pytające spojrzenie. - Chcę ci opowiedzieć przebieg tej nocy, zanim stąd wyjadę.
- Opuszczasz Nowy Orlean?
- Tak. Powiedziałem już o tym rodzicom. I mojej narzeczonej. - Wziął głęboki oddech. - Tego wieczoru... w dniu święta Trzech Króli... powiedziałem Patti, że jestem zaręczony i że zostanie to ogłoszone podczas przyjęcia, które wydają moi rodzice. Była wstrząśnięta. Zapewniłem ją, że między nami nic się nie zmieni...
- Co to miało znaczyć? - spytała ze zdumieniem Kerry. - Zaproponowałeś jej, żeby pozostała twoją kochanką, kiedy ożenisz się z inną?
- Tak... - odparł z gorzkim uśmiechem. - Siedzieliśmy na dziedzińcu tego hotelu. Trochę tańczyliśmy, a ona była zadowolona, bo jacyś turyści podziwiali nasze stroje. Kiedy jej powiedziałem o zaręczynach, oznajmiła, że nie chce mnie nigdy więcej widzieć. Zacząłem ją błagać, żeby pozwoliła mi wszystko wytłumaczyć... Ojciec tej dziewczyny miał weksle podpisane przez mojego ojca i groził, że odda je do protestu. Gdybym się nie zgodził na ten ślub, nasza rodzina byłaby zrujnowana. Miałem wrażenie, że Patti to rozumie.
- Czy zgodziła się na zostanie trzecią osobą w tym układzie?

- Nie. Dała mi do zrozumienia, że w chwili ogłoszenia zaręczyn zerwie ze mną znajomość.

- Dzielna dziewczyna - mruknęła Kerry.

Jason wyjrzał przez okno na ruchliwą ulicę. Miał taki wyraz twarzy, jakby przebywał w innym czasie i innym miejscu.

- Na dziedzińcu pojawiła się jakaś kobieta sprzedająca kwiaty i ziołowe napoje. Kupiłem dwa flakoniki eliksiru miłości. Wręczyłem jeden z nich Patti i poprosiłem, żeby go wypiała, bo wtedy na zawsze pozostanie ze mną. A ona mnie ostrzegła, że to może związać nas ze sobą na zawsze i unieвозмоżliwić moje podyktowane rozsądkiem małżeństwo... Jakies pół godziny później zrobiło jej się niedobrze. Poszła szukać toalety i przez pomyłkę znalazła się w jednym z apartamentów, do których można było wejść przez ogródek... - Spojrzał na Kerry, a potem odwrócił wzrok. - Wiesz, co było dalej.

- Zostawiłeś jej zwłoki, bo nie chciałeś, żeby wyszło na jaw, że spędzałeś z nią noc, choć byłeś zaręczony z inną, prawda? Po prostu bałeś się skandalu.

- To by naraziło na szwank opinię mojej rodziny.

Kerry powoli wypuściła powietrze z płuc. Miała wrażenie, że otaczające ją powietrze jest kruche i delikatne, więc nie wolno jej wykonywać żadnych gwałtownych ruchów.

- Nie znam twojej narzeczonej, ale Patti była

jedną z najbardziej czarujących kobiet, jakie znałam. Nie mówię o jej urodzie, tylko o życzliwości, jaką mi okazała podczas pierwszego dnia w tym mieście. - Przypomniała sobie słowa Atty. - Była dobrym człowiekiem. Więc dlaczego twoja rodzina nie chciała jej zaakceptować?

- Nie miała pieniędzy, pozycji społecznej ani wpływów politycznych. - W jego ciemnych oczach pojawił się wyraz takiej rozpacz, że Kerry poczuła przypływ litości. - Myślałem, że uda mi się zdobyć wszystko, czego chciałem: miłość, udane małżeństwo i szacunek otoczenia. Kiedy zdałem sobie sprawę, że mogłaby mi to zapewnić tylko Patti, było już za późno.

Kerry odprowadziła go do wyjścia. Zatrzymali się przez chwilę w progu, zdając sobie sprawę, że stoją na granicy dwóch światów. Mieli za plecami wytworne wnętrza eleganckiego hotelu, symbolizujące lata dawnej świetności, jaką cieszyła się rodzina Patti w Cordon Rouge.

Przed nimi ciągnęła się ruchliwa ulica - współczesny świat. Skomercjalizowany i brutalny, ale żywy i bogaty w możliwości.

Jason mógł wybierać - wrócić do świata swej rodziny i stracić samego siebie, albo wyjść na ulicę i znaleźć nowe życie.

- Życzę ci wszystkiego dobrego w twojej podróży, dokądkolwiek cię doprowadzi - rzekła Kerry.

Ku jej zdumieniu Jason ucałował ją w oba policzki.

- Dziękuję ci za to, że zajęłaś się sprawami Patti. Byłaś chyba jedyną osobą, która jej nie zawiodła.

- Istniałam w jej życiu tylko jeden dzień.

Jason wciągnął głęboko powietrze i wyjrzał na ulicę.

- Chcę cię o coś zapytać. Gdzie...

Zamilkł nagle i milczał przez całą minutę, nie mogąc wydobyć głosu.

- Matt i ja rozsypaliśmy jej prochy w Cordon Rouge, w miejscu, w którym kiedyś znajdował się ogród - oznajmiła Kerry, a on kiwnął głową, szybkim krokiem ruszył przed siebie i po chwili zniknął w ulicznym tłumie.

- Życzę ci przede wszystkim spokoju ducha - szepnęła cicho, a potem wróciła do holu, by poszukać człowieka, który był dla niej w tej chwili najważniejszy na świecie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kerry rozejrzała się po pokoju i mruknęła do siebie:

- Chyba wszystko. - Potem zatrzasnęła dużą walizę i zajrzała do małej torby, którą zamierzała zabrać na pokład jako ręczny bagaż.

Matt obiecał odwiedzić ją na lotnisko wczesnym popołudniem, po lekkim lunchu. Zjedli go w jednej z niedawno otwartych, modnych restauracji. Potem wsiedli do wynajętego samochodu i wyruszyli w drogę.

- A więc zostajesz w Nowym Orleanie jeszcze na cały tydzień? - zapytała Kerry.

- Tak. Mój wydawca zamówił u mnie kilka artykułów poświęconych miejscowym winiarniom.

- Zazdroszczę ci słońca - wyszeptła, usiłując powstrzymać napływające do jej oczu łzy, a potem szybko zmieniła temat. - Cieszę się, że nastroje panujące w Hotelu Marchand uległy poprawie. Luc Carter powiedział mi, że sytuacja wraca do normy. Przeżyli ciężki tydzień, a już przedtem nie było im łatwo. Huragan wyrządził wielkie szkody i przyczynił się do zmniejszenia liczby turystów. Wiem też od Charlotte, że jej matka, Anne, przeżyła niedawno ciężki atak serca.

- Mam wrażenie, że bardzo się z nią zaprzyjaźniłaś.

- Kilka razy zaprosiła mnie na kawę. To bardzo miła kobieta. Powiedziała mi, że w Hotelu Marchand zawsze znajdzie się dla mnie wolny pokój.

Kiedy znaleźli się na lotnisku, Kerry nie mogła skupić myśli. Matt odprawił jej bagaż, a potem stanął wraz z nią w ustronnym zakątku poczekalni.

- Dziękuję ci za wszystko - powiedziała cicho.
- Przeżyłam kilka pięknych dni.

- Było cudownie. Czy pozwolisz mi do siebie kiedyś zadzwonić?

- Oczywiście.

- A czy mógłbym ci kiedyś złożyć wizytę?

Kerry była tak zdumiona, że na chwilę zabrakło jej tchu.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę chciałbyś przyjechać do White Bear Lake - wykrztusiła w końcu.

- Gotów jestem zjawić się w każdym zakątku świata, w którym będziesz.

Kerry czule dotknęła jego policzka.

- Nie potrafiłabym odbyć tej podróży bez ciebie. Nie wyobrażam sobie nikogo, kto potrafiłby poradzić sobie z tą sytuacją lepiej niż ty.

- Takie było zrządenie losu - zauważył bez cienia ironii, a potem dotknął talizmanów zwisających z jej bransoletki i delikatnie ucałował ją w policzek. - To nie jest pożegnanie, Kerry. Będziemy w kontakcie.

Kiedy odszedł, stała przez chwilę nieruchomo, zastanawiając się, czy mówił serio.

- Nie ruszaj się - powiedziała Sharon, a Kerry wykrzywiła się w lustrze do siostry, która rozjaśniała jej włosy specjalną płukanką. - Będiesz teraz o wiele ładniejsza. Kiedy wróciłaś z Nowego Orleanu, wyglądałaś wspaniale. Siedź spokojnie, już prawie skończyłam.

Kerry westchnęła ciężko. Jej urodziny przypadały dopiero w walentynki, czyli w najbliższą środę, ale ich rodzice wydawali na jej cześć uroczyste przyjęcie już dziś, w sobotę.

Z nieznanym jej powodów Sharon postanowiła zabawić się w dobrą wróżkę i zadbać o to, by wyglądała tego wieczoru jak księżniczka. Za oknem świeciło słońce, odbijając się od lśniącej warstwy niedawno spadłego śniegu. Niebo było ciemnobłękitne. Jakiego oczy, kiedy się kochaliśmy... - pomyślała ze smutkiem, czując przyspieszone bicie serca.

Matt dotrzymał słowa i telefonował do niej najpierw niemal co wieczór, ale od kilku dni nie dawał znaku życia.

- No dobrze, ta płukanka musi zostać na twoich włosach przez dwadzieścia minut - oznajmiła Sharon. - Teraz zastanówmy się, jak się ubierzesz. Nie mogę uwierzyć, że nie kupiłaś w Nowym Orleanie ani jednej nowej kreacji. Chcę, żebyś wyglądała pięknie, a ty nie robisz się coraz młodsza.

- Trzydziestopięcioletnia kobieta nie jest jeszcze

staruszką! - zawołała Kerry, rzucając w nią poduszką.

- Mów za siebie. Ja mam trzydzieści trzy, a czuję się czasem jak Matuzalem.

- To dlatego, że masz dzieci.

Ze śmiechem podeszły do szafy. Sharon wybrała dla siostry czarne spodnie, czarną kamizelkę i zielono-czarny sweterek.

- Ten zestaw wydaje mi się skromny, a zarazem bardzo szykowny. Idealny strój na kolację u rodziców.

Kerry wzięła prysznic i umyła głowę, a potem przebrała się i za namową siostry włożyła czarne, wizytowe buty. Potem przejrzała się w lustrze i stwierdziła, że istotnie wygląda bardzo korzystnie. Prawie tak, jak podczas wyprawy do Nowego Orleanu. Na myśl o tej przygodzie uśmiechnęła się pośępnie i po raz nie wiadomo który powstrzymała napływające do oczu łzy.

- Czy na pewno jesteśmy na miejscu? - spytał kierowca.

Matt ponownie zerknął na kartkę z adresem i doszedł do wniosku, że musi to być dom, w którym mieszka Kerry. Podróż z lotniska nie była łatwa, bo śnieg, który zasypał wiejskie drogi, bardzo utrudnił orientację.

- Chyba tak - odparł, wręczając taksówkarzowi kilka banknotów. - Proszę zatrzymać resztę.

Idąc w kierunku drzwi, czuł dziwne podniece-

nie, zmieszane ze sporą dozą lęku. Wiedział, że jeśli popełnił błąd, idąc za głosem instynktu, cała podróż okaże się katastrofą.

Gdy usłyszał kroki, jego serce zaczęło bić bardzo szybko. A kiedy w drzwiach stanęła Kerry, dostało jeszcze większego przyspieszenia.

- Matt! - krzyknęła, szeroko otwierając oczy.

- Mój Boże. Jesteś jeszcze ładniejsza niż wtedy, kiedy cię poznałem.

- Co tu robisz?

- Powiedziałaś, że mogę cię odwiedzić, kiedy zechcę. Czy pozwolisz mi wejść?

- Oczywiście... - wyjąkała z przejęciem. - Czy chcesz się u mnie zatrzymać? - spytała, dostrzegając jego walizkę.

- Owszem. Miałem nadzieję, że mnie zaprosisz.

Cofnęła się, by mógł wejść do domu, a on przekroczył próg, postawił bagaż na podłodze i chwycił ją w ramiona.

- Matt... - szepnęła mu do ucha. - Za kilka dni są moje urodziny. Twój przyjazd to najpiękniejszy prezent, jaki mogłam sobie wyobrazić.

- Wiem o urodzinach, bo byłem przez cały czas w kontakcie z twoją siostrą. Wybaczysz mi chyba, że porozumiałem się z nią za twoimi plecami. To ona podała mi twój adres. Co więcej, wyjednała mi zaproszenie na dzisiejsze przyjęcie u waszych rodziców. Ale mam dla ciebie jeszcze jeden prezent.

- Naprawdę? Chyba nic nie może mnie ucieszyć bardziej niż twoja obecność.

- A co powiesz na to? - spytał, unosząc rękę i otwierając dłoń, na której leżał złoty pierścion z dużym diamentem.

- Matt... czy ty...?

- Owszem. Proszę cię o rękę i mam nadzieję, że wyrazisz zgodę.

Ku jej zdumieniu przyklęknął na jedno kolano, uniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

- Czy zostaniesz moją żoną i uczynisz mnie najszczęśliwszym mężczyzną na świecie? - spytał z uśmiechem.

Kiwnęła głową i uniosła lewą dłoń, a on bez trudu wsunął pierścion na jej palec.

- Nie mogę w to wszystko uwierzyć - rzekła Kerry. - Patti powiedziała mi, żebym szła świetlistą drogą, która poprowadzi mnie od wieczoru Trzech Króli do letniego przesilenia dnia z nocą. Marzę o jak najbliższym terminie ślubu, ale jakaś częśćka mojej osoby mówi mi, żeby poczekać z tym do czerwca, do początku lata.

- Zrobimy, jak zechcesz.

- Och, Matt! - mruknęła cicho, ponownie zrzucając mu rękę na szyję. A w duchu szepnęła: - Dziękuję ci, Patti, moja jednodniowa przyjaciółko. Dziękuję ci za to, że wskazałaś mi drogę.